tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 49 (1248)
4-10.12.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAROSŁAW MAKOWSKI ABP GĄDECKI KONTRA PAPIEŻ FRANCISZEK

TRUDNY CZAS DLA POLSKICH NIEMCÓW

WITOLD BEREŚ SKĄPANI W WAZELINIE

DRUGI FRONT UKRAIŃSKI – WOJNA TIROWCÓW

CO Z TĄ POLICJĄ?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
49 >
9 771509 311300

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

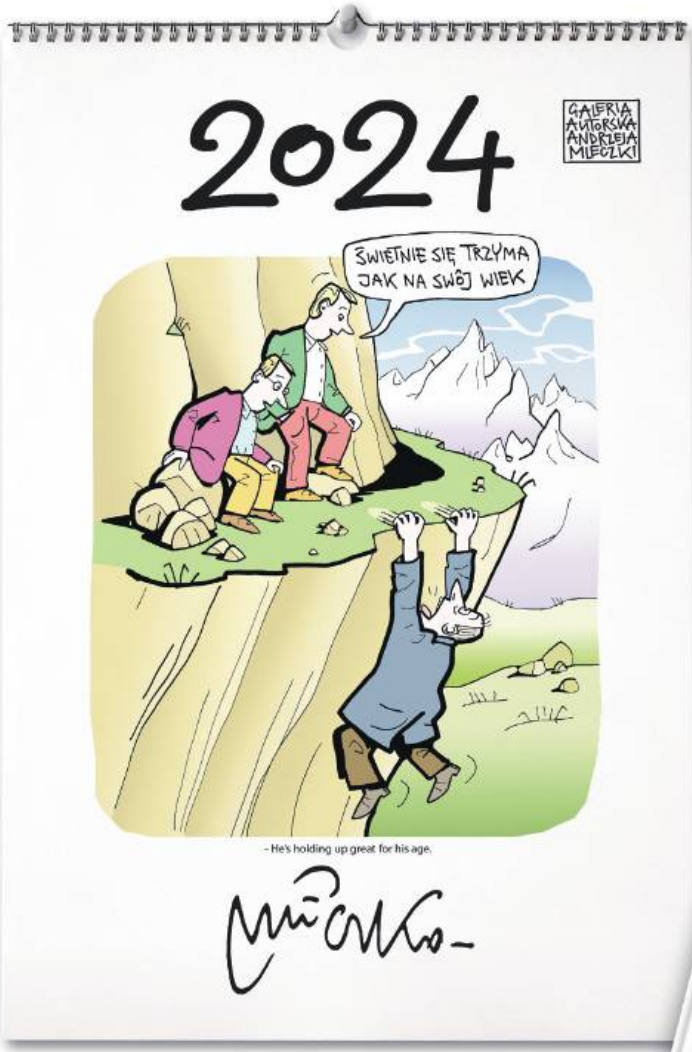

KALENDARZ ŚCIENNY

KALENDARZ BIURKOWY

NOWY ALBUM:
"BIZNES, SEX, POLITYKA"

sklep.mleczko.pl

eprasa.pl 257ab95923

Robert Walenciak

Upiór PiS

To wyglądało jak wizyta upiora z dawnych czasów. Tak zaprezentowali się w nowym Sejmie panowie Cenckiewicz i Zybertowicz, ogólnie mówiąc: komisja ds. badania wpływów rosyjskich.

Komisję wymyśliło PiS, żeby unurzać przeciwników politycznych w błocie pomówień. Tuska, Sikorskiego… Że zdrajcy. A potem ich skazać albo przynajmniej wyeliminować z życia publicznego.

W MSZ zatrudniono więc Cenckiewicza, aby tam szukał kwitów pasujących do tej tezy. W ten sposób skompilował materiał na telewizyjny serial godny tych, które demaskowały Wolną Europę w czasach minionych.

Drugim członem tej operacji była komisja, która miała badać rosyjskie wpływy. Założenie było proste – komisja bada, a potem wydaje wyrok zakazujący danej osobie pełnienia funkcji publicznych przez 10 lat. Wydaje ów wyrok po uważaniu, jakby kto pytał.

Oto plan marzenie Kaczyńskiego, Macierewicza i wszystkich najbardziej zapiekłych pisowców – mogą kogo chcą oskarżyć i odebrać mu prawa publiczne. To oni – a nie żaden sąd – będą decydować, kto może być posłem, ministrem itd. Prezydent Duda był tym zachwycony. Podpisał ustawę powołującą tę komisję. A potem bronił jej jak lew podczas różnych spotkań.

Do czasu. Bo odezwała się ambasada USA. Wtedy zmienił zdanie, zgłosił projekt odbierający komisji prawo eliminowania ludzi.

Komisja więc powstała w sierpniu. Nie wnikajmy w jej prace, bo nie ma sensu. Ważne jest to, co stało się w ubiegłym tygodniu – nowy Sejm odwołał jej członków, na co Cenckiewicz z Zybertowiczem odpowiedzieli tzw. raportem cząstkowym ze swojej pracy. A w nim oskarżyli Tuska o uleganie wpływom rosyjskim i rekomendowali (bo mogą już tylko rekomendować, nie kazać), by nie mógł pełnić funkcji publicznych.

Oto wyszło szydło z worka! Mamy czarno na białym, po co ta komisja, jaki był jej cel – napisać, że Tuska i jego ludzi trzeba wyeliminować. A kwity, które zebrała, to tylko ornament. W tym sensie miała ona znaczenie ustrojowe – bo dawała Kaczyńskiemu narzędzie do eliminowania każdego, do samowładztwa.

Czas to świństwo wyrzucić na śmietnik. I to całkowicie. Słyszę, że posłowie KO przekonują, że dobrze by było komisję zostawić, żeby zbadała rosyjskie koneksje Macierewicza, Kaczyńskiego, Glapińskiego… Nie ma wątpliwości – spotykali się oni z rosyjskimi agentami, Kaczyński sam do tego się przyznał. Ale przestrzegałbym przed przenoszeniem publicystycznych teorii do prawa karnego. To nie ta cywilizacja. Od tropienia wrogów i wrogich wpływów są nie posłowie i działacze polityczni, tylko kontrwywiad i powiązane z nim służby. Niech one tropią, niech pilnują bezpieczeństwa państwa.

Postawmy sprawy na nogach i zabierzmy nasze państwo szaleńcom i ludziom bez zasad. Wszyscy dobrze na tym wyjdziemy.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 257ab95923

W NUMERZE

KRAJ

8 **Co z tą policją?**
– rozmowa z gen. Adamem Rapackim

14 **Drugi front ukraiński**
Wojna tirowców

17 **Sejm wie lepiej**
Polityka na całego

18 **Nieświęty Mikołaj**
Skompromitowany rzecznik praw dziecka

22 **Nie zabierajcie ludziom szczęścia**
– rozmowa
z prof. Marianem Szamatowiczem

26 **Skąpani w wazelinie**
– rozmowa z Witoldem Beresiem

30 **Tożsamość w ukryciu,**
czyli ta niebezpieczna niemieckość
Problemy mniejszości

ZAGRANICA

34 **Kobietobójstwo**
Korespondencja z Rzymu

37 **Wyspa tonie**
Czkawka po brexicie

HISTORIA

40 **Wbrew Kremlowi**
Dekada Gierka

KOŚCIÓŁ

44 **Arcybiskup kontra papież**
Gądecki w natarciu

KULTURA

48 **Nasza planeta to tykająca bomba**
– rozmowa z Piotrem Biedroniem

51 **Śmierć w blasku słońca**
Piękno natury van Gogha

52 **Qulturalia**

66 **Emeryt z wielkiej płyty**

PSYCHOLOGIA

54 **Najwyżej dostaniesz tróję**
– rozmowa z dr. hab. Konradem Piotrowskim

OBSERWACJE

57 **Moje ciało jest moje**
Rozmowy o otyłości

EKOLOGIA

60 **Kanada – kraj wody**
Rekordowe jeziora

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
Upiór PiS

21 **Jan Widacki**
Teatrzyk Pinokia

29 **Andrzej Romanowski**
Interregnum

43 **Roman Kurkiewicz**
Śmierć dziewczynki pod banerem.
I Kissingera

47 **Tomasz Jastrun**
Spektakl i otchłań

53 **Wojciech Kuczok**
Teatralia końca kaczyzmu

26
KRAJ

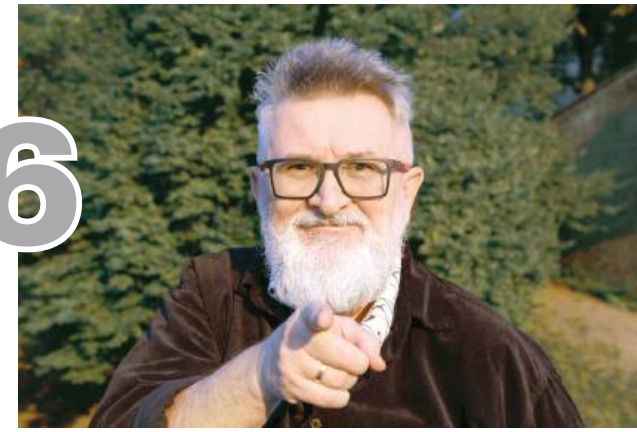

SKĄPANI W WAZELINIE
– rozmowa z Witoldem Beresiem

57
OBSERWACJE

MOJE CIAŁO JEST MOJE
Rozmowy o otyłości

60
EKOLOGIA

KANADA – KRAJ WODY
Rekordowe jeziora

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

eprasa.pl 257ab95923

Czy Donald Tusk zapłacze nad wdowami?

Ja pamiętam, jak płakał nad matkami dzieci niepełnosprawnych. Znam optymistów, którzy wyrażają nadzieję, że on w tej Brukseli czegoś jednak się nauczył. Być może. Nie zapominam jednak, że nie wyrzekł się neoliberalizmu gospodarczego, nie uznał go za błąd. Niezbyt był przychylny myśli socjalnej, dopóki się nie zorientował, że 500+ jednak nie doprowadzi państwa do bankructwa. „Nie on jeden zresztą. Cała PO była rozczarowana efektem.

Czy Donald Tusk zapłacze nad wdowami?

Ale zaczął mówić rzeczy, których nigdy wcześniej by nie wypowiedział. W jego przypadku to oszałamiający postęp. Lecz mówić, a robić, to wielka różnica. A Tusk dał się poznać jako człowiek niekoniecznie czynu. Raczej zaniechania, wycofania, dobrych min do złej gry, straszenia, że jak nie on i jego ugrupowanie, to PiS. Kojarzony jest raczej z frazami: „Nie ma pieniędzy" i „Zielona wyspa". Wolę więc być ostrożny i napisać, że pewnie Tusk zapłacze, ale w swoim stylu. Mam jednak nadzieję, że się mylę.

Michał Błaszczak

Pandemia niemocy

Poszłam głosować na Platformę Obywatelską, ale żałuję. Żałuję, że w ogóle głosowałam. Teraz czytam, że Sikorski ma znowu być w rządzie, a ja wciąż pamiętam, jak z Kopacz nawiał z Sejmu, gdy było głosowanie za postawieniem Ziobry przed Trybunałem Stanu. I minister od zdrowia imć Arłukowicz ponoć ma znowu objąć to stanowisko. A kojarzy mi się jak najgorzej. Jako ten, który wprowadził skierowania do okulisty i do dermatologa. O okulistę mniejsza. Co najwyżej więcej ślepych będzie, ale to nie zaraźliwe. Natomiast ze skierowaniem do dermatologa to porażka. Mamy teraz wysyp chorób wenerycznych i raków skóry z czerniakiem na czele. Może znajdzie się kandydat na ministra zdrowia, któremu reforma się powiedzie? Wystarczy, jak wróci do lat 70. czy 80. ubiegłego wieku. Wówczas dostęp do lekarzy był znakomity. Nikt nie czekał na SOR, aż umrze. A raka piersi wyleczyli mi, z operacją włącznie, w ciągu dwóch tygodni. Bez żadnego trybu. Jak widać, wciąż żyję.

Pandemia niemocy

Waleria Lubner

Ściganie złodziei to nie zemsta

Żadna ekipa rządząca od 30 lat nie poniosła odpowiedzialności za swoje afery. Tracili władzę, mniej istotni ludzie trafiali do więzień czy dostawali kary grzywny, ale nic więcej. Także tym razem, pomimo wielkich krzyków „Karać złodziei!", nikomu ważnemu włos z głowy nie spadnie. Dlaczego? Bo każdy w tym parlamencie jest umoczony. Gdyby ruszyły procesy, nastąpiłby efekt domina i szambo by się rozlało na wszystkie obecne i byłe partie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie pogrążał siebie, swoich rodzin czy kolegów. Dlatego te wszystkie deklaracje o rozliczaniu winnych należy czytać z pobłażliwym uśmiechem i mieć nadzieję, że afery nowego rządu będą mniej niszczycielskie od tych pisowskich.

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Scysja między ministrem Jackiem Ozdobą z Suwerennej Polski a posłem Koalicji Obywatelskiej Jakubem Rutnickim podczas debaty nad odwołaniem członków komisji ds. rosyjskich wpływów. Rutnicki zastąpił drogę Ozdobie idącemu do ław KO ze zdjęciem Tuska i Putina. 29 listopada 2023 r.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 257ab95923

58,8% Polaków źle ocenia działania prezydenta Dudy wobec nowej większości parlamentarnej **(sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej”)**.

•

Inflacja ciągle ma się dobrze. O **6,5%** wzrosły ceny w listopadzie, w porównaniu z zeszłym rokiem.

•

Przed wybuchem wojny na Ukrainie polscy przewoźnicy mieli na mocy bilateralnych porozumień 160 tys. jednorazowych zezwoleń na wjazd na Ukrainę. Tyle samo zezwoleń mieli Ukraińcy. W tym roku do września ukraińskie ciężarówki wjechały do Polski ponad 800 tys. razy. **Więcej w artykule Marka Czarkowskiego na s. 14.**

•

Desperacką próbę wywrócenia rządu Tuska, zanim jeszcze powstał, podjęły środowisko Macierewicza i pisowska komisja Lex Tusk. Członków komisji Sejm odwołał. I skończyło się zarabianie na hucpie.

•

Według **„The Washington Post”** CIA zbudowała nowe obiekty dla ukraińskich służb wywiadowczych, szkoli ich agentów w USA i na Ukrainie oraz ściśle współpracuje przy akcjach dywersyjnych za linią frontu.

•

Prof. Sławomir Łotysz został laureatem **Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego** za książkę „Pińskie błota. Natura, wiedza i polityka na polskim Polesiu do 1945 roku”.

•

Symbolem upadku kultury za rządów ministra Glińskiego jest **wyprzedzenie radiowej Trójki (1,8% słuchalności) przez Radio Maryja** o. Tadeusza Rydzyka **(2%)**. I tak jest wszędzie, gdzie PiS wysłało swoje zastępy nieudaczników. Poszli po kasę, a resztę mieli poniżej pleców.

•

Monowładza PiS się kończy. Nowa większość parlamentarna musi się liczyć z wyborcami. I z tym, że takie wrzutki jak próba zmniejszenia odległości wiatraków od domów do 300 m będą skutecznie oprotestowywane.

•

Małgorzata Bogajewska za osiągnięcia w sztuce reżyserii ze szczególnym uwzględnieniem inscenizacji klasyki otrzymała **Nagrodę im. Tadeusza Żeleńskiego-Boya**. Wyróżnienie to przyznał zarząd polskiej sekcji AICT/Klubu Krytyki Teatralnej SDRP.

•

Katarzyna Kasia, filozofka, nauczycielka akademicka, wygrała plebiscyt Warszawianka Roku 2023.

•

Budowa linii tramwajowej do Wilanowa to historia bałaganu, niedotrzymywania terminów i paraliżowania Warszawy. Firma Budimex miała oddać większość trasy w tym roku. Teraz mówi o 2025 r. Najlepiej wychodzi jej mnożenie obietnic i nowych terminów.

•

Już 2590 zakażeń HIV wykryto w tym roku. Najwięcej w historii Polski.

•

Na kwotę **19,5 mld zł** były **zadłużone szpitale** w 2022 r.

•

30 tys. Niemców zarabia rocznie ponad 1 mln euro.

•

Od przyszłego roku **Robert Kubica** będzie startował w długodystansowych mistrzostwach świata w ekipie Amato Ferrari Corse.

PRZEBŁYSKI

Wildstein w oparach absurdu

Kiedyś, dawno temu, prezes K. miał sen. Śniło mu się, że buduje nowe elity. Własne i wierne. A każdy jest jak Błaszczak czy Suski. Stare elity, które widzą w PiS coś między skansenem a folwarkiem, brano głodem. Jak kiedyś chłopów pańszczyźnianych.

Za to na swoich nie żałowano. I choć wydano miliony, to pisowska trzódka nie obrosła w intelektualistów. A jeśli już – to w takich jak Bronisław Wildstein. Weteran studenckich balang w Krakowie. Autor płodny, ale przez naród od 50 lat niedoceniany. Nudziarz. A jako komentator w „Sieci” także desperat. W ocenie nowej władzy Wildstein przebił wszystkich: „Porozumienie zawarte w celu przejęcia władzy przez cztery stronnictwa opozycyjne ma charakter przestępczy”. A dalej jest jeszcze groźniej: „Koalicja jest organizacją przestępczą, która nie ma prawa funkcjonować”. No, no, widać, że szok powyborczy Wildsteinowi nie mija.

Zawód największego ryzyka

„Ruina wymiaru sprawiedliwości”. Czy ten wybity na czerwono tytuł w „Gazecie Polskiej” może oznaczać samokrytykę po ośmiu latach nieszczęsnych rządów Ziobry? Oczywistą, bo przecież nawet ci wyborcy PiS, którzy mają klapki na oczach, wiedzą, że Ziobro spaprał wszystko, do czego się wziął.

Niestety, zamiast samokrytyki, pod hasłem „Ruina wymiaru sprawiedliwości” jest długa rozmowa z Dagmarą Pawełczyk-Woicką, przewodniczącą (neo) Krajowej Rady Sądownictwa. Pani prezes po wyborach jest w tak głębokim szoku, że nie może zebrać myśli. A i wcześniej nie tego od niej PiS oczekiwało.

Uwierzyła, że posadę ma do 2026 r. A tu bęc. Choć utrata posady to dla pani Pawełczyk-Woickiej i tak najmniejszy problem. Brak prezesowskiego formatu nie zwalnia jej z odpowiedzialności. Choćby za to, że z zawodu, który „miał być najlepiej chronionym i zapewniać największą stabilizację, rodzi się zawód największego ryzyka”. I co? Samo się zrobiło?

Cud z jedną kwadrylionową

Dariusz Cychol, szef „Faktów po Mitach”, podzielił się z czytelnikami wydarzeniami, które miały miejsce 16 listopada w Warszawie. Otóż w czasie losowania Lotto padły takie numery: 4, 16, 24, 29, 30 i 32, a w Lotto Plus: 10, 16, 24, 29, 35 i 45. Trzy liczby: **16, 24 i 29,** powtarzają się w obu losowaniach, które przeprowadzone zostały jedno po drugim. Tak więc połowa liczb jest taka sama.

Cychol popytał o to niezwykłe wydarzenie matematyków. I dostał takie wyjaśnienie. „Prawdopodobieństwo wystąpienia takiego zdarzenia jest jak 1:89141506100935200, czyli w notacji wykładniczej jest $1{,}12 \times 10^{-17}$ to jest 0,0000000000000000112. Należy jeszcze zwrócić uwagę na to, że mają to być konkretnie liczby **16, 24, 29,** zatem prawdopodobieństwo jeszcze się zmniejszy o 110 544 razy, czyli będzie $1{,}01 \times 10^{-22}$ i wyniesie 0,000000000000000000000101 (osiągnie wartość zbliżoną do jednej kwadrylionowej)”.

Wyjaśnienia ze strony Totalizatora Sportowego ciągle brak.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 257ab95923

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

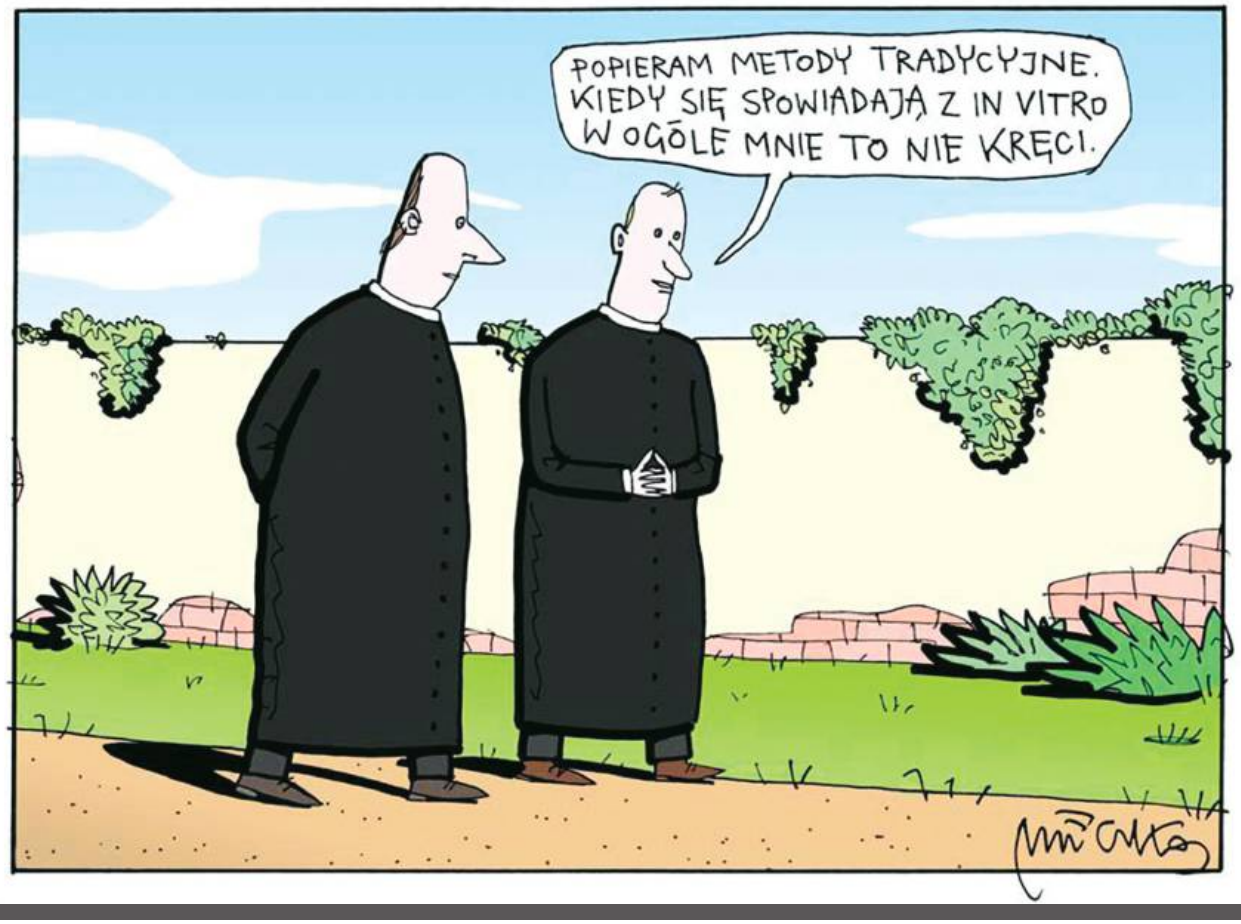

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie kryteria powinni spełniać kandydaci na ministrów?

PROF. ANDRZEJ ZYBAŁA,
kierownik Katedry Polityki Publicznej SGH

Kandydaci powinni mieć wiele umiejętności. Niestety, część w praktyce się wyklucza, ponieważ doba ma tylko 24 godziny. Otóż powinni mieć silną pozycję polityczną w rządzie i koalicji oraz mieć czas, aby to podtrzymywać. Inaczej nie będą mogli realizować programów swoich resortów, zwłaszcza takich, które są kontrowersyjne i wymagają przekonania innych posłów do swoich racji. Jednocześnie powinni być silni merytorycznie czy ekspercko i w tym wypadku również powinni mieć czas, aby rozwijać umiejętności analityczne. To ważne, aby rozumieli – w sposób pogłębiony – problemy, które chcą rozwiązywać. Wiele zatem będzie zależało od tego, czy szefowie resortów będą umieli zarządzać swoim czasem, by mieć go na dwie powyższe rzeczy. Dodatkowo ważna jest umiejętność wyznaczania priorytetów, bo nie da się realizować wszystkiego naraz. Istotna jest umiejętność zarządzania ludźmi w resortach, w tym tworzenie klimatu nasyconego etosem wartości publicznych.

PROF. MICHAŁ WENZEL,
socjolog, Uniwersytet SWPS

Są dwa główne kryteria, choć o różnym stopniu ważności. Paradoksalnie mniej ważne okazują się kompetencje merytoryczne do sprawowania funkcji. Współczesne państwo to jednak organizm tak skomplikowany, że nikt nie jest specjalistą we wszystkim i minister, jakkolwiek by się orientował w merytorycznej części swojej pracy, będzie musiał się podpierać opiniami ekspertów. Drugie, ważniejsze kryterium to zdolność przełożenia swoich decyzji na działania. Powołany właśnie przez Morawieckiego rząd zapowiedziano jako ekspercko-polityczny. Takie stwierdzenie mija się jednak z prawdą. Nie jest ekspercki, bo nie ma w nim doświadczonych ekspertów. Jednocześnie nie jest też polityczny, ponieważ są tu politycy z drugiego szeregu, którzy nie mają politycznej siły przebicia. Jedynym zrozumiałym ruchem jest kontynuacja sprawowania urzędu przez ministra Błaszczaka. Co do reszty ministerstw kryteria doboru kandydatów pozostają zagadką.

DR WOJCIECH PESZYŃSKI,
politolog, UMK

Jeżeli mówimy o typie idealnego ministra, to powinien być oczywiście przygotowany merytorycznie, ale także kierować się racją stanu. To zaś oznacza, że działania ministra byłyby dyktowane nie bieżącymi potrzebami politycznymi, ale dłuższą perspektywą, wybiegającą nawet 10 lat do przodu. Oczywiście tak jest tylko w bajkach, a polityka rządzi się swoimi prawami. Tutaj decydują przede wszystkim takie kryteria jak przynależność do danego obozu politycznego. Inną sprawą jest obsadzenie konkretnych resortów, bo mamy ministerstwa mniej i bardziej kluczowe dla rozwoju kraju. Czym innym jest więc wybranie ministra finansów, a czym innym ministra sportu.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 257ab95923

Co z tą policją?

Jestem przeciwnikiem totalnej weryfikacji. Nie stać nas na to. Zmiany polityczne nie powinny być powodem do czystek

Rozmawia Robert Walenciak

Panie generale, jak jest w policji?

– Jest nerwowa atmosfera, szczególnie na górze. Niektórzy komendanci napisali raporty i planują odejść na emeryturę. To wygląda słabo. Bo ci, co nie łamali prawa, nie uwikłali się politycznie, powinni służyć dalej. Jestem przekonany, że nowa władza nie będzie robiła żadnych czystek.

Przez osiem lat policjanci byli czołgani przez PiS. Czy znajdzie pan tam ludzi, którym mógłby zaufać?

– Oczywiście! Ogromna większość policjantów, nawet kadry kierowniczej, to uczciwi i oddani służbie funkcjonariusze. Wiadomo, dostali awanse w takich czasach, kiedy rządziła ta partia, a nie inna. Ale to nie ich wybór. Ja pracowałem w policji za czasów wszystkich partii. Czasami dostawałem po łbie, bo byłem niedyspozycyjny. Ale to popłaca, lepiej być przyzwoitym.

Zwolni się sporo stanowisk...

– Jeżeli ktoś w policji naruszył prawo, to nie ma sentymentów – trzeba rozliczać, trzeba się rozstać. Jeżeli sprzeniewierzył się policyjnej rocie – decyzja jest oczywista. Jeśli natomiast nic takiego nie było, jeśli ktoś kierował jednostką uczciwie, to absolutnie nie ma powodu, żeby mu dziękować za służbę, nie wolno robić czystek! Jestem przeciwnikiem jakiejś totalnej weryfikacji. Nie stać nas na to. Jak są mądrzy ludzie – trzeba wykorzystać ich potencjał. W policji mamy kadrę przetrzebioną, odchodzą młodzi ludzie – na emerytury albo w ogóle ze służby. Zmiany polityczne nie powinny być powodem do czystek. I myślę, że nie będą.

Bzdurne zadania

A jak ten potencjał wygląda?

– Dziś kluczowym problemem policji są braki kadrowe. Oficjalnie brakuje ok. 12 tys. policjantów, ale trzeba też podkreślić, że PiS zwiększyło naliczenia etatowe. Za moich czasów było 100 tys. policjantów, teraz jest 108 tys. Gdyby te 100 tys. policjantów było fizycznie w służbie, to oni są w stanie zapewnić bezpieczeństwo obywateli. Pod warunkiem, że będą robili to, do czego są powołani. Że nie będą marnowali sił i środków na bzdurne zadania.

Typu confetti dla wiceministra Zielińskiego...

– Wiele rzeczy policja robi niepotrzebnie. To są zadania, czynności realizowane na podstawie różnych ustaw albo rozporządzeń ministra, czasami sama policja wymyśla biurokratyczne procedury absorbujące pracę ludzi i koszty. Trzeba zrobić dokładny przegląd tych wszystkich czynności, żeby policjanci zajmowali się tym, co wpływa na bezpieczeństwo i porządek publiczny.

A co jest wśród tych zadań i procedur?

– Przykładem niech będzie to, że policja musi wystawiać opinię kandydatom w zawodach prawniczych – sędziom, aplikantom, prokuratorom. Robiliśmy w ministerstwie analizę, jak to wygląda i jaki ma wpływ na bezpieczeństwo. Mamy oto kandydata na sędziego rejonowego w Szczecinie. Prokurator wojewódzki w Szczecinie kieruje zatem pismo do komendanta głównego. On przekazuje je do wojewódzkiego, ten niżej i w końcu ląduje ono u dzielnicowego. Dzielnicowy idzie do zainteresowanego i pisze opinię. Potem tą samą drogą pismo wraca. Policzyliśmy, ile czasu to zajmuje – absurdalnie dużo! A w ilu przypadkach opinia policji była wiążąca? Przeanalizowaliśmy to za okres iluś lat. Odpowiedź brzmiała: zero! Więc po co to robić? Rozumiem, wymaga tego ustawa. Ale w końcu ta niepotrzebna praca spada na policjantów. Zajmuje czas. I takich zbędnych rzeczy, które robi policja, jest mnóstwo!

W policji jest nerwowa atmosfera, szczególnie na górze.

Adam Rapacki – nadinspektor policji. Kierował Biurem do Walki z Przestępczością Zorganizowaną (1996-1997) i Biurem do spraw Narkotyków (1997-1999) KG Policji, na bazie których utworzono Centralne Biuro Śledcze. W latach 2000-2003 zastępca komendanta głównego policji, w latach 2007-2012 podsekretarz stanu w MSWiA (MSW).

eprasa.pl 257ab95923

Choćby pilnowanie pomników.

– Policja nie powinna pilnować pomników, one same powinny się bronić. Albo pilnowanie prywatnych mieszkań – to też nie jest zadanie dla policji. Oczywiście, jeżeli ktoś jest zagrożony i wynika to z analizy zagrożenia, jesteśmy ustawowo zobowiązani go chronić. Ale równolegle trzeba poprowadzić czynności wykrywcze – kto zagraża, dlaczego – i wyciągnąć konsekwencje prawne. Parę razy w przeszłości cofałem VIP-om taką ochronę. Bo to fajnie wygląda – ktoś ma ochronę, czuje się ważny, policjanci go odwożą, przywożą. A to kosztuje masę czasu i pieniędzy. Policzmy, ile mogło kosztować pilnowanie wiceministra Zielińskiego i jego domu. Jeżeli ktoś jest VIP-em, to przysługuje mu ochrona Służby Ochrony Państwa. Ale nie policyjna.

Gdzie za dużo, gdzie za mało

A ochrona pewnych comiesięcznych uroczystości?

– Zdecydowanie była przewymiarowana. Zbyt duże siły angażowano do zabezpieczenia niektórych zgromadzeń publicznych. Kierownictwo policji na wszelki wypadek ściągało z całego kraju potężne siły, a później brakowało policjantów na ulicach, do zapobiegania i ścigania przestępstw. Tu trzeba szukać rezerw.

Kolejnym rezerwuarem potencjału pracy policji i prokuratury mogłoby być przejście ze ścigania drobnych przestępstw z urzędu na tryb wnioskowy, czyli na wniosek przesłuchiwanego, to pozwoliłoby skierować większe siły do ścigania przestępstw poważnych. Przykład z życia. Zaparkowałem samochód na ulicy i skradziono mi tablicę rejestracyjną. To jest kradzież, przestępstwo ścigane z urzędu. Wszczęto postępowanie, przyjechała ekipa dochodzeniowa, oględziny itd. Więc im powiedziałem: „Panowie, przestańcie uprawiać lipę, nie ma potrzeby. Nie liczę, że znajdziecie tę tablicę, tylko chciałem zgłosić kradzież, żebyście zarejestrowali zdarzenie, żeby ktoś nie wykorzystał tablicy do innego przestępstwa". Dzisiaj na komisariatach policjanci prowadzą jednocześnie po kilkadziesiąt spraw i nie mają realnych możliwości rzeczywistego wykrywania.

Ucieszył ich pan.

– W wielu podobnych sprawach wystarczy pójść w kierunku ścigania w trybie wnioskowym. Ktoś powie, że policja w ten sposób będzie się migać od ścigania. To nieprawda, bo dzięki temu będzie mogła się skupić na poważnych sprawach – duże zagarnięcia mienia, wielkie oszustwa, pobicia, zabójstwa… Wtedy można zorganizować duże grupy policjantów, prokuratorów, żeby szybko sprawę rozwiązać i doprowadzić do procesu. Żeby wyrok mógł zapaść szybko, a nie po 10 latach.

Kolejny przykład – skrajnej głupoty w stosowaniu prawa. Chodzi o badanie nadużyć pracowniczych w jednej z największych sieci handlowych w Polsce. Prokurator generalny, żeby udowodnić coś kierowniczce sklepu, zarządził, żeby przesłuchać wszystkich pracowników tej sieci. A to ponad 30 tys. ludzi. Rozpisano te czynności na wszystkie jednostki policyjne i policjanci pionu przestępczości gospodarczej, dochodzeniowcy musieli spędzić dziesiątki tysięcy godzin na wykonywaniu niemądrych poleceń prokuratora generalnego.

Partia w policji

Przyjdzie nowa władza, na początku w służbach będą jej się bali, potem będzie różnie. Czy nie staną okoniem wobec nowej władzy?

– Będą realizować swoje zadania. Wiele zależeć będzie od tego, jacy okażą się nowi szefowie służb. Komendantem głównym powinien być najmądrzejszy z policjantów, który przeszedł wszystkie szczeble kariery, ma doświadczenie, ma charyzmę, jest szanowany. I potrafi powiedzieć: „Hola, panie ministrze, to już jest mój zakres kompetencji". Politycy muszą wiedzieć, że ich kompetencja to nadzór polityczny nad służbami, ale już nie ingerowanie w to, kto ma być komendantem w takim czy innym

Dziś kluczowym problemem policji są braki kadrowe.

eprasa.pl 257ab95923

oddziale lub w komendzie. A miałem w przeszłości wiele takich zdarzeń. Gdy byłem komendantem wojewódzkim, przychodzili ówcześnie rządzący politycy i mówili: „Panie komendancie, widzielibyśmy tego człowieka na stanowisku". Wtedy odpowiadałem: „Panie przewodniczący, panie pośle, wybiorę najlepszego!". I wraz z zespołem współpracowników wybierałem takich, którzy gwarantowali, że dobrze pokierują jednostką. Dzisiaj do tego trzeba wrócić, żeby szefami służb byli ludzie z doświadczeniem, być może trzeba ustawowo zagwarantować im kadencyjność, to by ich wzmocniło. Konieczne jest także zapewnienie stabilności budżetu – na poziomie Komendy Głównej, komend wojewódzkich, a nawet powiatowych. Żeby komendanci byli prawdziwymi gospodarzami, mogli planować wydatki, remonty, zatrudnienie ludzi.

I żeby nie wisieli na opinii partii rządzącej.

– Za czasów wiceministra Zielińskiego zrobiono najgorszą rzecz, jaką można było zrobić! Każdy potencjalny kandydat na komendanta wojewódzkiego, powiatowego, na kierownicze stanowisko, był przepuszczany przez Biuro Nadzoru Wewnętrznego w MSWiA. A tak naprawdę sprowadzało się to do tego, że pytali struktury partyjne, czy partia nie ma nic przeciwko niemu.

Pegasus – na stół!

Czy takie sprawy jak podsłuchiwanie Pegasusem da się ukryć? Co komisja śledcza może ujawnić?

– Pegasus jako narzędzie jest potrzebny służbom, ale do walki z terroryzmem, zorganizowaną przestępczością, nigdy do celów politycznych. To trzeba wyjaśnić. Jest tam wiele wątpliwości dotyczących samego sposobu zakupu, przechowywania danych na zagranicznych serwerach, przeciw komu był stosowany, czy nie wprowadzano w błąd sędziów wyrażających zgodę na podsłuchy itp. Komisja śledcza, a później niezależna prokuratura i ewentualnie sąd powinny rozstrzygnąć, czy nie dochodziło do łamania prawa.

Można przenieść Centralne Biuro Antykorupcyjne do Centralnego Biura Śledczego? To dobry pomysł? Czy to jest realne?

– W bezpośredni sposób przenieść się nie da. I nie powinno się w taki sposób przenosić. Zadania związane z zapobieganiem i zwalczaniem korupcji w zupełności może przejąć policja. Natomiast jeśli chodzi o rozliczanie oświadczeń majątkowych wszystkich osób, które muszą je składać – ten segment działalności CBA powinien trafić do Krajowej Administracji Skarbowej. KAS ma dzisiaj dostęp do wszystkich baz informacyjnych, do rejestrów firm, kont bankowych, może śledzić przepływy finansowe i mogłaby to sprawnie przejąć i analizować lepiej, niż to robi CBA.

Policja zna się na zwalczaniu korupcji?

– W policji na poziomie komend wojewódzkich od lat funkcjonują wydziały do walki z korupcją. Gdyby zaś dotyczyło to jakichś superważnych osób, powiązanych z przestępczością zorganizowaną – mamy do tego CBŚP, które już dziś prowadzi najpoważniejsze śledztwa. Jak popatrzymy na wszystkie sprawy korupcyjne, to okazuje się, że policja prowadzi 95%. CBA prowadzi ich stosunkowo niedużo. Owszem, są to sprawy z reguły o sporym ciężarze gatunkowym. Ale kiedyś nie było CBA i korupcję dobrze zwalczała policja.

Głośny jest kazus agenta Tomka, zeznającego, że na polecenie szefów przekazywał wybranym dziennikarzom tajne materiały. Możemy założyć, że jeszcze będą przychodzić ludzie mający kłopoty z prokuraturą albo chcący się wkupić i będą przynosić jakieś kwity. Jak ich traktować?

– Jak każde źródło informacji. Najpierw trzeba popatrzeć, jakie materiały przynoszą. Niech to ocenia prokuratura. Trzeba zachować do tego duży dystans, to nie może się opierać wyłącznie na słowach takiego czy innego skruszonego przestępcy lub świadka, to musi być mocny materiał dowodowy. I tu kamyk do ogródka prokuratury – znam mnóstwo spraw, w których na podstawie jednostronnych pomówień stawiano zarzuty ludziom, aresztowano ich, stosowano areszty wydobywcze, kierowano akty oskarżenia do sądów, a po latach okazywało się, że te osoby są niewinne. Nie można tak robić. Prawo trzeba stosować z większą odpowiedzialnością.

Policja nie powinna pilnować pomników, one same powinny się bronić. Pilnowanie mieszkań prywatnych – to też nie jest zadanie dla policji.

Komendantem głównym powinien być najmądrzejszy z policjantów, który przeszedł wszystkie szczeble kariery, ma doświadczenie, ma charyzmę, jest szanowany.

Pałka

A co zrobić z funkcjonariuszem, który na proteście kobiet atakował pałką teleskopową jego uczestniczki? Albo z tymi, którzy psikali w oczy gazem?

– Kilka zagadnień jest w tych pytaniach. Po pierwsze, już na etapie szkolenia podstawowego trzeba uczyć policjantów komunikacji z obywatelem. Bo gdy funkcjonariusz jest nieprzygotowany, często jego interwencja jest niewspółmierna, arogancka, czasami przechodzi w agresję. W przypadku zabezpieczania zgromadzeń, czyli tam, gdzie mamy do czynienia z tłumem, za moich czasów realizowaliśmy taktykę 3 x T: troska, tolerancja, tłumienie. Czyli najpierw zabezpieczamy, czysto, elegancko; jak rosną emocje, to próbujemy negocjować,

eprasa.pl 257ab95923

Zwiększone środki bezpieczeństwa koło domu Jarosława Kaczyńskiego. Warszawa, 20 marca 2021 r.

a tłumienie – wtedy, kiedy dochodzi do naruszenia porządku publicznego. A jeśli chodzi o zgromadzenia takie jak strajk kobiet, to działanie policji było czasami nieadekwatne do okoliczności.

To nie były agresywne, niebezpieczne zgromadzenia. Policja musi absolutnie zmienić taktykę działania. Trzeba zapewnić bezpieczeństwo uczestnikom zgromadzeń, ale nie w taki sposób, że otaczamy kordonem grupę, nie wypuszczamy nikogo, rozwozimy na jednostki, pozbawiamy wolności przez jakiś czas i stawiamy wydumane zarzuty. W sądach zarzuty były oddalane, oskarżani uczestnicy zgromadzeń uniewinniani. Policja musi wyciągnąć wnioski z wyroków sądowych.

A ten funkcjonariusz od pałki teleskopowej? Z pododdziału antyterrorystycznego?

– Czy potrzebnie ich tam wysłali, czy nie – to osobny rozdział. Gdyby to było zgromadzenie, które może się przekształcić w agresywne, być może wysłałbym operacyjnych w ten tłum. Ale jak tam był strajk kobiet, to obaw, że pobiją policjantów, nie było. „BOA", czyli Centralny Pododdział Kontrterrorystyczny Policji, to inna specyfika ludzi i trzeba ważyć, czy ich posyłać w takie miejsce. Oni są przygotowani do siłowego wejścia, do działań kontrterrorystycznych, a nie do przepychania się z kobietami. Rozmawiałem na ten temat z komendantem Biura Spraw Wewnętrznych Policji. Mówił mi, że wyjaśniali tę sytuację. Okazało się, że ten policjant był z bronią i pałką teleskopową. I ktoś próbował wyrwać mu broń zza kurtki i tę pałkę, więc on ją wyciągnął i nią wywijał, taki był zdesperowany. Komendant twierdził, że nawet nikogo nie uderzył. Został nagrany, zidentyfikowany, a to ponoć całkiem sensowny funkcjonariusz. Obraz poszedł fatalny i jest utrwalony w świadomości obywateli.

Błąd popełnił ten, kto wysłał ten oddział.

– Być może. Ale to nie jest błąd, za który należałoby wyciągać konsekwencje dyscyplinarne. To jest przewymiarowanie sił na zabezpieczenia, czyli wysłano zbyt wiele policji, ponad potrzebę. To powoduje, że później brakuje policjantów do normalnej roboty.

Jarosław Kaczyński był zadowolony, że było dużo policjantów. Jemu taka demonstracja siły się podobała.

– Komendanci też byli zadowoleni. Jest zapowiedziane zgromadzenie, a oni na wszelki wypadek zamawiają 2 tys. policjantów z kraju, nie licząc pieniędzy. W instytucjach publicznych brakuje pieniędzy, a mało kto patrzy, jak je mądrze wydawać. Pamiętam to ze swoich czasów – jak policja miała pododdział kontrterrorystyczny, to za chwilę Straż Graniczna też chciała budować swój. A to są bardzo duże wydatki. Pytałem więc: „A ile mieliście zamachów terrorystycznych? Policyjny pododdział nie wystarczy?". Podobnie było z CBA. Za pierwszego Kamińskiego nakupowali masę sprzętu, karabiny dla strzelców wyborowych, liny do desantu ze śmigłowców… „Po co to? – pytałem. – Będziecie do białych kołnierzyków strzelać? Desantować? Policja jest od tego".

Paweł Wojtunik mówił, że na odprawie w Lucieniu, dwa dni przed wyborami, funkcjonariuszom CBA polecono założenie podsłuchów posłom opozycji.

– Patrzę na to ostrożnie. Nie bardzo mi się chce wierzyć, żeby szef służby na naradzie otwartym tekstem mówił o podsłuchiwaniu opozycji i zachęcał do działań przeciwko politykom. To świadczyłoby o działaniach niezgodnych z prawem i o zatraceniu zdrowego rozsądku. Na razie trzeba uspokoić atmosferę i wszystko wyjaśnić.

Zadania związane z zapobieganiem i zwalczaniem korupcji może przejąć policja, a rozliczanie oświadczeń majątkowych – Krajowa Administracja Skarbowa.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, NEMO/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

Przegląd

CZAS NA PREZENTY

78 zł

KTO MOŻE LEPIEJ ZNAĆ PRZESZŁOŚĆ NIŻ ŚWIADEK HISTORII, KTÓRY JĄ WSPÓŁTWORZYŁ

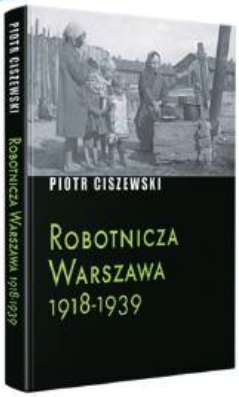

42 zł

WARSZAWA, JAKIEJ NIE ZNACIE!

* STRAJKI
* POLICYJNE PAŁKI
* STARCIA GANGÓW

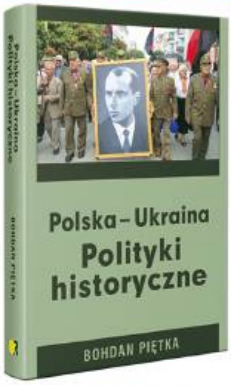

50 zł

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA. POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

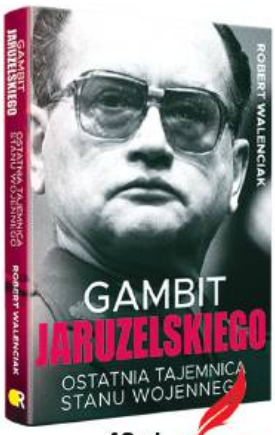

49 zł

OSTATNIA TAJEMNICA STANU WOJENNEGO

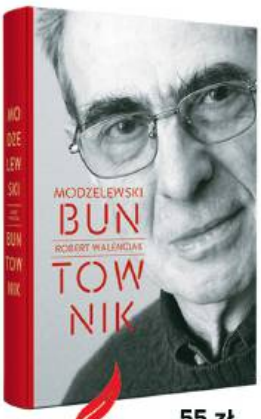

55 zł
~~65 zł~~

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ZDRADZIŁ SOLIDARNOŚCI

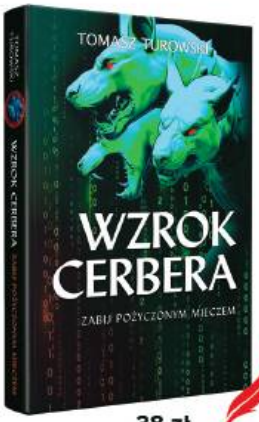

38 zł

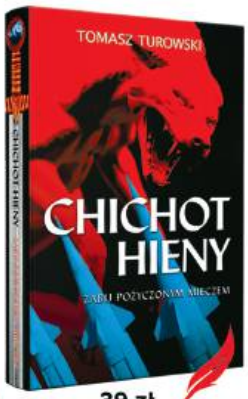

39 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

DODATKOWY PREZENT – AUTOGRAF!

2 + 1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Bezkarni zabójcy Basi Binder" W PREZENCIE

Promocja ważna do 31.12.2023 r. lub do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl 257ab95923

Pora na dobre książki PRZEGLĄDU

39 zł
~~49 zł~~

O TYCH, KTÓRZY BUDOWALI SOCJALISTYCZNE MIASTO, I TYCH, KTÓRZY SOCJALIZM OBALALI

Pakiet 190 zł ~~228 zł~~

LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

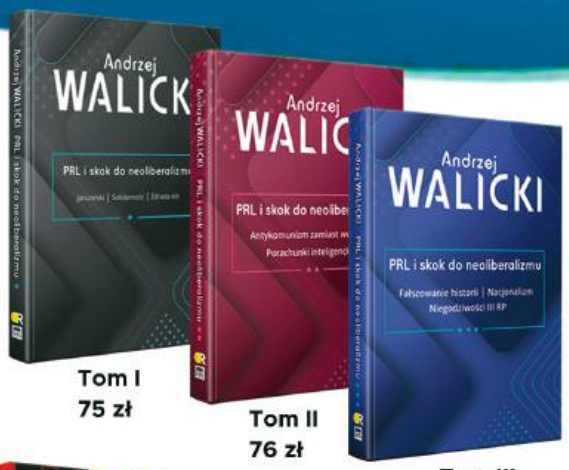

Tom I
75 zł

Tom II
76 zł

Tom III
77 zł

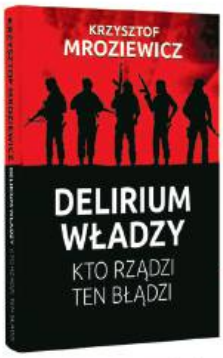

35 zł
~~47 zł~~

CO MUSI ZROBIĆ ŚWIAT, BY WYJŚĆ Z ZAKLĘTEGO KRĘGU DYKTATUR, POPULIZMU I TERRORU?

31 zł
~~41 zł~~

PRZEKONAŁ CARA I ZREFORMOWAŁ GOSPODARKĘ

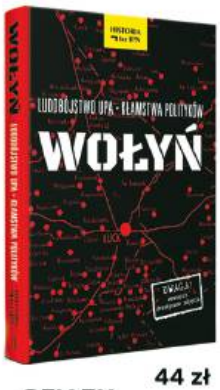

44 zł

OFIARY RZEZI UPA I REHABILITACJA ZBRODNIARZY

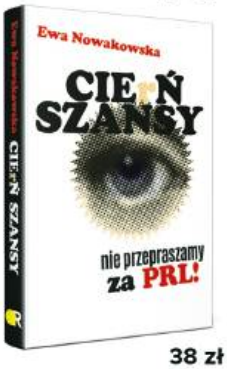

38 zł
~~48 zł~~

OD PRL DO III RP OCZAMI ZNANEJ DZIENNIKARKI EWY NOWAKOWSKIEJ

WIELKI KOMPLEKS OBOZU SOLIDARNOŚCI. CIĄGLE WALCZY Z PRL, KTÓREJ NIE MA JUŻ OD ROKU 1989

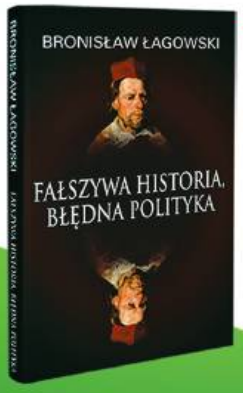

37 zł
~~47 zł~~

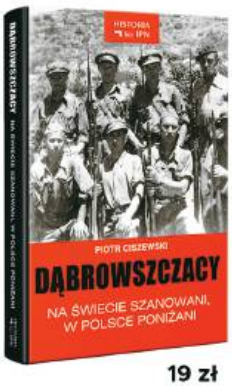

19 zł
~~49 zł~~

AUTOR POKAZUJE OCHOTNIKÓW I OCHOTNICZKI Z BRYGAD MIĘDZYNARODOWYCH WALCZĄCYCH W HISZPANII

41 zł
~~51 zł~~

REWOLUCJA ZRODZONA Z MARZEŃ I BUNTU

***DOSTAWA ZA 0 ZŁ!**

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
***Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +11,00 zł, paczkomat InPost +13,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 257ab95923

Drugi front ukraiński

Protest przewoźników na przejściu granicznym w Medyce, 23 listopada 2023 r.

Blokada polsko-ukraińskiej granicy przez kierowców tirów to zapowiedź przyszłej ostrej konkurencji gospodarczej między naszymi krajami

Marek Czarkowski

– Chleba nie ma, wody nie ma, niczego nie ma... Polacy, niczym somalijscy piraci, trzymają nas jako zakładników – skarżył się dziennikarzowi Deutsche Welle jeden z ukraińskich kierowców stojących w gigantycznej kolejce ciężarówek w pobliżu przejścia granicznego Korczowa-Krakowiec.

– Wodę bierzemy od ludzi, czerpiemy ze studni, żyjemy w kabinach naszych ciężarówek. Rzucili nas na pastwę losu... Co mam powiedzieć? Jeśli rządy nie rozwiążą tej sytuacji, to kto ma to zrobić? – dodał drugi.

Protest, który w pierwszych dniach listopada br. rozpoczęli polscy przewoźnicy, początkowo nie wzbudził zainteresowania rządu Mateusza Morawieckiego, za to w Kijowie od razu stał się jednym z głównych tematów debaty publicznej.

– Jeśli protestujący chcieli doprowadzić do kryzysu energetycznego w Ukrainie, to im się to zaczyna udawać – mówił wiceminister infrastruktury Ukrainy Serhij Derkacz w trakcie wizyty w Dorohusku, gdzie spotkał się z kierowcami. – Przez terytorium Polski przyjeżdża do nas ok. 30% wszystkiego, czego potrzebujemy dla naszego sektora energetycznego. Teraz ponad miesiąc cysterny stoją w kolejkach. Nie dostajemy wystarczającej ilości paliwa, które jest nam potrzebne.

W Kijowie zaczęto mówić i pisać o ciosie w plecy zadanym walczącej Ukrainie przez Polaków. Protestujący zapewniają, że transporty humanitarne i wojskowe są przepuszczane. Stoją ciężarówki z towarami, które nie mają zastosowań wojskowych. Zgodnie z ustaleniami przepuszczane są trzy tiry na godzinę. Po obu stronach granicy w kolejkach czeka ponad 2 tys. pojazdów.

Polscy przewoźnicy domagają się przede wszystkim ponownego wprowadzenia zezwoleń na wjazd ukraińskich ciężarówek do naszego kraju, tak jak to było do wybuchu wojny. Gdy w czerwcu 2022 r., w związku z rosyjską agresją, Unia Europejska zniosła ograniczenia wjazdu ukraińskich i mołdawskich tirów na swoje terytorium, dla polskich firm transportowych rozpętało się piekło.

eprasa.pl 257ab95923

Przyjaciele i konkurenci

O ile po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. Francuzi przerazili się konkurencji ze strony przystojnych polskich hydraulików, o tyle Niemcy zaczęli się obawiać naszych kierowców ciężarówek. Wyrastające jak grzyby po deszczu polskie firmy transportowe oferowały swoje usługi o wiele taniej niż spółki spod Berlina, Hanoweru czy Kolonii. Sprawą niskich wynagrodzeń naszych kierowców zajęła się nawet Komisja Europejska. Działo się to samo, czego jesteśmy świadkami na polsko-ukraińskiej granicy. Z tym że wówczas protestowali kierowcy niemieccy.

Po kilkunastu latach nasze firmy transportowe stały się potęgą w Europie. Szacuje się, że wartość świadczonych przez nie usług sięga 7% polskiego PKB. Transport i logistyka są poważną częścią rodzimej gospodarki. O którą należy dbać. Wolno więc wyrazić zdumienie, że polski rząd nie przewidział konsekwencji decyzji o otwarciu unijnej granicy dla ukraińskich i mołdawskich przewoźników. Wszak miał udział w jej podjęciu.

Za to Ukraińcy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. W pierwszych tygodniach rosyjskiej agresji utracili większość swoich portów czarnomorskich. W ich rękach zostały Odessa oraz niewielkie porty na Dunaju. Z dnia na dzień transport drogowy – obok kolejowego – stał się podstawą funkcjonowania ich państwa. A Polska oknem na świat.

Jedną z pierwszych decyzji rządu w Kijowie było zniesienie ceł na sprowadzane do Ukrainy samochody. Dotyczyło to także ciężarówek. Błyskawicznie powstały tysiące nowych firm transportowych. Kierowców chętnych do pracy nie brakowało, zwłaszcza że pojawiła się możliwość wyjazdu na Zachód i uniknięcia poboru do wojska. Ich wynagrodzenie było i nadal jest niższe niż polskich kierowców, więc ukraińskie firmy od razu zyskały przewagę konkurencyjną. Było tylko kwestią czasu, kiedy stanie się ona na tyle widoczna, że nasi przewoźnicy będą musieli zareagować.

Przez lata dostęp Ukraińców do polskiego rynku usług transportowych był przedmiotem uzgodnień międzyrządowych. Rocznie wydawaliśmy 160 tys. zezwoleń na wjazd ukraińskich tirów do naszego kraju. Analogicznie polskie firmy mogły wykorzystać 160 tys. zezwoleń ukraińskich. Zniesienie w ubiegłym roku ograniczeń doprowadziło do tego, że wjechało do nas kilka razy więcej ukraińskich ciężarówek. Szacuje się, że mogło to być nawet przeszło 800 tys.! Drastycznie spadła natomiast liczba naszych ciężarówek wjeżdżających z towarami do Ukrainy.

Mało tego, tamtejsi kierowcy zaczęli świadczyć usługi transportowe na terenie Polski, odbierając zlecenia naszym firmom, czego zgodnie z umową Ukraina-UE robić nie mogli. Upowszechnił się proceder polegający na tym, że pusty ukraiński tir, jadący oficjalnie do Niemiec, po drodze ładował towar u polskiego kontrahenta i jechał dalej za naszą zachodnią granicę. Gdy wracał, wiózł np. z Niemiec ładunek do Katowic lub Krakowa, po czym zabierał u nas towar przeznaczony dla Ukrainy, do czego także nie miał prawa.

Jako pierwsze ten rodzaj konkurencji odczuły firmy transportowe ze wschodniej Polski. Ich sytuacja i tak już była trudna, gdyż ze względu na wojnę utraciły lukratywny rynek rosyjski. Tylko do Rosji rocznie wyjeżdżało 200 tys. naszych tirów. Zachodni przewoźnicy bali się jeździć do Moskwy i dalej, do Azerbejdżanu czy Kazachstanu, więc stawki były wysokie. Te przewozy stały się specjalnością wielu firm ze wschodu Polski. Kolejny cios spadł na nie ze strony Ukrainy.

Należy pamiętać, że większość rodzimych firm transportowych ma siedziby na wsi i w małych miasteczkach. Ich rozwój i sukces był związany z otwarciem granic UE na polskie produkty rolno-spożywcze, których eksport rósł o 10% rocznie. Dziś są one rugowane z rynku przez ukraińskich przewoźników. Te 4,3 mln ton zbóż i roślin oleistych, które w ciągu ostatnich 16 miesięcy sprowadziło z Ukrainy 541 firm działających nad Wisłą, wjechało bynajmniej nie na polskich kołach. A to dopiero początek. Jeśli nic się nie zmieni, konkurencja stanie się jeszcze ostrzejsza. I wielu naszych przewoźników ją przegra.

W zeszłym roku do Polski mogło wjechać nawet przeszło 800 tys. ukraińskich tirów. Za to drastycznie ubyło naszych ciężarówek wjeżdżających do Ukrainy.

Instrumenty są, ale niewykorzystane

Nie jest tak, że strona polska nie ma instrumentów, które zmusiłyby ukraińskich przewoźników do przestrzegania umowy z Unią Europejską i naszego prawa. Rzecz w tym, że ani Inspekcja Transportu Drogowego, ani policja nie kontrolują zbyt wnikliwie ciężarówek na ukraińskich numerach.

Policja poprzestaje na zwykłych mandatach, których ściągalność w przypadku ukraińskich kierowców jest mocno problematyczna. Prawdziwym wyzwaniem są ukraińskie dokumenty, w tym prawa jazdy. W okolicach Lwowa można się natknąć na mikrobusy, w których za niewielką opłatą wystawiane są dowolne dokumenty upoważniające okaziciela do jazdy po całej Europie – nie tylko papiery przewozowe, ale też prawa jazdy. Żaden nasz policjant nie jest w stanie tego sprawdzić.

W Niemczech stróże porządku drogowego rezygnowali z wlepiania mandatów kierowcom tirów na ukraińskich numerach, gdyż wiedzieli, że żadnej należności nie ściągną. O tych przypadkach było głośno w tamtejszych mediach.

Ustawa o transporcie drogowym daje szerokie uprawnienia inspektorom, którzy mogą i powinni sprawdzać, czy ukraińscy przewoźnicy nie łamią prawa, realizując przewozy ładunków na terenie Polski. Mało tego, mogą sprawdzać dokumentację w polskich firmach spedycyjnych, które zlecały ukraińskim partnerom wykonanie przewozów. Niestety, są

FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

eprasa.pl 257ab95923

to rzadkie przypadki. Opowiadano mi, że gdy na początku listopada rozpoczęła się blokada polsko-ukraińskiej granicy, z biura Głównego Inspektora Transportu Drogowego wyszedł sygnał do pracowników, by wzmogli kontrole ukraińskich tirów. Po czym niemal natychmiast poszedł kolejny sygnał – by jednak z tymi kontrolami nie przesadzać. Dlaczego? Bo mogłoby się okazać, że wykrytych nieprawidłowości jest zbyt wiele, a wtedy ktoś mógłby zapytać: a co robiliście wcześniej? Głównym inspektorem transportu drogowego był Alvin Gajadhur, obecny minister infrastruktury.

Już dziś, niemal natychmiast, można by poprawić sytuację, zobowiązując ukraińskich kierowców do poruszania się na terenie naszego kraju wyznaczonymi trasami, na których ustawiono by punkty kontrolne. Najlepiej wspólne – policji i Inspekcji Transportu Drogowego, dzięki czemu można byłoby dokładnie sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

Ale rząd Mateusza Morawieckiego nie zrobi nic. Zostawi cały bigos następcom. Ze strony protestujących kierowców płyną żądania, by problem został rozwiązany w drodze negocjacji między prezydentem Andrzejem Dudą a prezydentem Wołodymyrem Zełenskim.

Przyjdą kolejne ciosy

Nie wydaje się, by Komisja Europejska zgodziła się spełnić postulat protestujących Polaków i pozwoliła przywrócić wydawanie zezwoleń na wjazd do Polski ukraińskich tirów. Otwarta pozostaje kwestia, czy w czerwcu przyszłego roku przedłużona zostanie zgoda na korzystanie przez ukraińskich kierowców z prawa swobodnego wjazdu na teren Unii Europejskiej. W tej sprawie nowy rząd mógłby wykazać się aktywnością.

Ukraińscy kierowcy zaczęli świadczyć usługi transportowe na terenie Polski, odbierając zlecenia naszym firmom, czego zgodnie z umową Ukraina-UE robić nie mogli.

A jak to widzą Ukraińcy? Znana blogerka Olesia Miedwiediewa w jednym ze swoich programów w serwisie YouTube zacytowała wypowiedź ukraińskiego przedsiębiorcy mieszkającego i pracującego w Polsce: – Jest faktem, że Ukraina i Polska to kraje ostro konkurujące o udział w rynku europejskim. Jaka jest tajemnica sukcesu polskiej gospodarki po wstąpieniu kraju do Unii? Powód był prosty – dzięki tańszej niż w Europie Zachodniej sile roboczej, niskim podatkom oraz przyjaznym dla biznesu regulacjom prawnym Polska przyciągnęła poważnych inwestorów i szybko stała się nowym centrum produkcji przemysłowej w Europie. Do kraju napłynęły środki, które Bruksela przeznaczyła na rozbudowę głównie infrastruktury komunikacyjnej. Nastąpiło otwarcie unijnych rynków na polskie produkty rolne. Bardzo wielu Polaków wyjechało do Wielkiej Brytanii, Niemiec oraz innych bogatszych państw w poszukiwaniu pracy. Ich miejsce zajęli tańsi pracownicy z Ukrainy i Białorusi. Do kraju trafił też strumień dewiz przesyłanych przez pracujących na Zachodzie Polaków. Gdy w latach 2011-2013 toczyły się dyskusje o podpisaniu przez Ukrainę układu stowarzyszeniowego z Unią Europejską, nasi eksperci zakładali, że Kijów powtórzy polską drogę rozwoju. Stanie się miejscem, do którego trafią europejskie inwestycje, tak jak kiedyś do Polski. Potem w Ukrainie zaczął się okres wstrząsów politycznych oraz wojen przy zachowaniu niezmiennie wysokiego poziomu korupcji i oczywiście żadne poważne inwestycje się nie pojawiły. Na czym skorzystała Polska, do której w poszukiwaniu pracy ruszyły setki tysięcy Ukraińców. A teraz wyobraźmy sobie, co stanie się po zakończeniu wojny z Rosją. Kijów otrzyma poważne gwarancje bezpieczeństwa i przyjmą nas do Unii Europejskiej. Ukraińskie towary bez ograniczeń trafią do krajów Europy Zachodniej. W pierwszej kolejności będzie to poważny cios dla polskiego rolnictwa. Poza tym Ukraina to duży rynek z tańszą niż w Polsce siłą roboczą. Zachodni inwestorzy zaczną u nas budować nowe zakłady i przenosić produkcję od zachodniego sąsiada. Dziś Polacy chętnie przedstawiają się jako konkurenci Niemiec, dlatego Berlin może postawić na Ukrainę, lokując u nas inwestycje. W ślad za tym wróci część ukraińskich emigrantów. Głównie z Polski, co okaże się kolejnym ciosem w polską gospodarkę. Polacy są bardzo praktyczni i zawsze dbają o swój interes. Dlatego gdy w przyszłości rozpoczną się poważne rozmowy o wstąpieniu Ukrainy do Unii Europejskiej, należy się spodziewać, że to Warszawa postawi nam najtrudniejsze warunki.

A na razie obie strony ponoszą straty. W okresie przedświątecznym zawsze rosła liczba przewożonych ładunków, a wynagrodzenia za kursy były rekordowe. Na przykład dziś kurs tira z Warszawy do Charkowa to wydatek rzędu 3,7-4 tys. euro.

Ukraińscy przewoźnicy podliczyli, że blokada już ich kosztowała 400 mln euro. Unijna komisarz ds. transportu Adina Vălean zagroziła Polsce rozpoczęciem procedury ws. naruszenia unijnego prawa. Co może się zakończyć w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Innymi słowy, drugi front ukraiński możemy uważać za otwarty.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Z głębokim smutkiem żegnamy
Honorowego Przewodniczącego
Polskiej Partii Socjalistycznej

Towarzysza
BOGUSŁAWA GORSKIEGO

wieloletniego działacza społecznego
i pedagoga akademickiego
odznaczonego Krzyżem Oficerskim
Orderu Odrodzenia Polski.

Cześć Jego pamięci.

Kujawsko-Pomorska Rada Wojewódzka PPS

eprasa.pl 257ab95923

Sejm wie lepiej

Prawdziwego rządu jeszcze nie mamy, ale politykę na całego – już tak

Robert Walenciak

Od 15 października, od wyborów, mamy okres interregnum, bo przecież nikt poważnie nie traktuje rządu, który 27 listopada zaprzysiągł Andrzej Duda. Rządu na dwa tygodnie. Z punktu widzenia kraju to czas stracony, bo administracja nie pracuje, wszyscy czekają na nowych, tych prawdziwych ministrów. Ale jeśli chodzi o politykę – jest inaczej. Jedni wykorzystali ten czas, drudzy stracili, a przede wszystkim mogliśmy się przekonać, kto jest kim i czego w najbliższej przyszłości możemy się spodziewać. Spójrzmy więc.

Andrzej Duda – to on zafundował nam spektakl z rządem dwutygodniowym, z surrealistyczną uroczystością zaprzysiężenia. Przedłużył agonię pisowskiej władzy. Po co? Tak trudno się rozstać? Czy raczej po to, żeby załatwić ostatnie interesy, podpisać ostatnie kontrakty? O Dudzie wiemy już wszystko – do końca będzie prezydentem pisowskim, będzie zwalczał Donalda Tuska. Taki jest, takie ma horyzonty, warto wyzbyć się złudzeń.

Szymon Hołownia – jako marszałek Sejmu wystartował świetnie. Jest politykiem cieszącym się największym zaufaniem. Przykuwa uwagę świeżością, inteligentnymi ripostami. Owszem, nie miał zbyt wysoko ustawionej poprzeczki. Ani Elżbieta Witek, ani Marek Kuchciński nie wybijali się ponad poziom szarych aparatczyków. Ale i tak trzeba talentu, by skupiać na sobie uwagę. Póki nie ma rządu opozycji, Hołownia ma swój show.

Jarosław Kaczyński – chyba pogodził się z porażką, choć źle mu z tym, że Sejm nie czeka z rozpoczęciem obrad na jego przybycie, że musi wchodzić drzwiami dla wszystkich, że każdy może do niego podejść. Poza tym już wiemy, jaką wyznaczył swojej partii linię – że PiS to patrioci i obrońcy ojczyzny, a Tusk to zdrajca, osoba zamontowana w Polsce przez wrogów. Cóż, nie spodziewajmy się spokoju, on musi mieć wojnę, bo inaczej nie potrafi. No i to chyba jedyny sposób, by PiS mu się nie rozpadło.

Inauguracyjne posiedzenie Sejmu. Warszawa, 13 listopada 2023 r.

Mateusz Morawiecki – udaje, że tworzy rząd na lata, choć wszyscy wiemy, że do 11 grudnia. Ma jedną niezaprzeczalną zaletę – powie wszystko, z zapałem, bez poczucia żenady. Ostatnio zdążył już naopowiadać, że prowadzi rozmowy w sprawie poparcia rządu z kilkudziesięcioma posłami Trzeciej Drogi i Konfederacji. Że zawsze był za in vitro. Nawymyślał też Hołowni, by za chwilę oczekiwać, że Trzecia Droga do niego się przyłączy. Ogłosił, że tworzy rząd fachowców, po czym okazało się, że to raczej rząd ludzi z trzeciego szeregu (minus Błaszczak). A potem wyszło na jaw, że rząd ułożył mu Kaczyński. Normalny człowiek po tych kłamstwach, które chwilę później są weryfikowane, spaliłby się ze wstydu. A on – nic.

Donald Tusk – wszyscy czekają, kiedy wreszcie będzie tym premierem i zacznie robić, co obiecał. A wiara w to jest szeroka. Przykład? Zapowiadał m.in., że w 24 godziny zrobi porządek z TVP, stalową miotłą. I proszę, niektóre gwiazdy pisowskiej telewizji już się pakują. On sam na razie się nie wyrywa. Słusznie. Bo im mniej mówi, tym bardziej się go boją. Wiadomo, jego rząd będzie złożony z polityków – czyli nierówny. Wiadomo też, że za dużo zapowiedział. On sam o tym wie. Jak sobie z tym poradzi? Czy będzie jak bóg wojny – atakował PiS? Czy jak człowiek z sercem na dłoni – będzie atakował nas prezentami? Na razie obie opcje są w grze.

In vitro – pierwsza ustawa nowego Sejmu, przywrócenie refundacji, którą PiS zabrało osiem lat temu, niemal na początku swoich rządów. Jak wyliczono, z tego powodu nie urodziło się 40 tys. dzieci. Program ma kosztować 500 mln zł. Jego przyjęcie to nie tylko ukłon w stronę czekających na pomoc par, ale również docenienie projektu obywatelskiego, pod którym podpisało się pół miliona Polaków. Drugim prezentem są prace nad kolejnym projektem obywatelskim – dotyczącym podwyżek dla pielęgniarek. Trzecim – zamiana handlowej niedzieli w Wigilię na 10 grudnia. Dzieje się!

Komisje śledcze – to są trzy ciosy, które Tusk chce zadać PiS. Ma powstać komisja do spraw wyborów kopertowych, do spraw Pegasusa (czyli podsłuchiwania opozycji) i do sprawy afery wizowej. Atmosfera w czasie debaty sejmowej była gorąca. Kilku posłów miało swoje minuty. Cezary Tomczyk, Sławomir Nitras, Sławomir Mentzen (tak, tak, on!) wykorzystali swój czas. Zapowiada się twarda gra. Ale czy skuteczna? Przeciwnicy takich gier przypominają, że to narzędzie zużyte, że poza komisją badającą tzw. aferę Rywina pozostałe kończyły żywot w zapomnieniu. Zwolennicy natomiast podkreślają, że komisje mają zdefiniowany temat, nie utopią się zatem w morzu gadulstwa. No i że jedną rzeczą jest odpowiedzialność karna, a drugą – efekty polityczne. Zobaczymy…

W każdym razie mamy zapowiedź nadchodzących wydarzeń. Będzie gorąco. Proszę zaopatrzyć się w popcorn i nie regulować odbiorników.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

Nieświęty Mikołaj

Skompromitowany rzecznik praw dziecka kończy pięcioletnią kadencję

Andrzej Sikorski

Gdy jesienią 2018 r. partia rządząca przedstawiła w Sejmie kandydaturę Mikołaja Pawlaka na urząd Rzecznika Praw Dziecka, z jego biogramu można było się dowiedzieć, że skończył prawo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a promotorem jego pracy magisterskiej był oskarżany o tuszowanie afer pedofilskich abp Andrzej Dzięga. Pawlak w latach 2005-2016 pełnił funkcję adwokata przy sądach kościelnych w sprawach o unieważnienie małżeństwa, a więc uczestniczył – w rozumieniu doktryny katolickiej – w rozbijaniu rodzin. Od 2016 r. stał zaś na czele Departamentu Spraw Rodzinnych i Nieletnich w Ministerstwie Sprawiedliwości. Nadzorował zakłady poprawcze i schroniska dla nieletnich oraz prowadził sprawy związane z kierowaniem oraz przenoszeniem nieletnich do tych placówek. Współtworzył ustawę o nieletnich zakładającą obniżenie do 10 lat granicy wieku, w którym dziecko będzie mogło odpowiadać za „czyn karalny". Był więc urzędnikiem nadzorującym aparat represji wobec dzieci.

Mikołaj Pawlak współtworzył ustawę o nieletnich zakładającą obniżenie do 10 lat granicy wieku, w którym dziecko będzie mogło odpowiadać za „czyn karalny".

Oddany dzieciom

Przyszły RPD nie miał poza tym najważniejszego: co najmniej pięcioletniego udokumentowanego doświadczenia w pracy z dziećmi lub na ich rzecz. Ale i to nie było przeszkodą dla posłów PiS, którzy uznali, że prowadzenie spraw dotyczących unieważnienia małżeństwa „to praca na rzecz dzieci" (sic!).

Podczas przesłuchania przed sejmową Komisją Edukacji, Nauki i Młodzieży Pawlak składał deklaracje, że zawsze będzie stał po stronie najmłodszych. Zwrócił się także bezpośrednio do dzieci. „Z radością i uśmiechem chcę być waszym nieustającym pomocnikiem, pełnomocnikiem, obrońcą, gdy będzie potrzeba, powiernikiem, a może za jakiś czas uznacie, że przyjacielem. Zapewniam też, że jestem i będę otwarty. Zawsze, niezależnie od pory, każde dziecko w Polsce może do mnie pisać i dzwonić – świątek, piątek czy niedziela. (…) Być może w najbliższych dniach dzieci dostaną mały prezent od parlamentarzystów na dzień św. Mikołaja w postaci Mikołaja, który może będzie mógł to wszystko czynić", mówił kandydat na urząd RPD.

Okazało się, że wybrany przez PiS Mikołaj nie jest taki święty. Głównym zajęciem Pawlaka były walka ze środowiskiem LGBT+, które rzekomo deprawuje dzieci, i kontrolowanie szkół, na terenie których działać mieli deprawatorzy. O zapłodnieniu in vitro mówił, że „od strony prawno-moralnej to niegodziwa metoda". Chwalił wymierzanie przez rodziców klapsów dzieciom i z „estymą" wspominał, jak to jego własny ojciec zbił go tak, że „przez dobrą chwilę nie mógł siedzieć". Haniebny wyrok Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej zakazujący aborcji nawet w przypadku ciężkiej wady płodu uczcił, występując w Sejmie w antyaborcyjnej koszulce.

Krynica prawdomówności

Gdy po dwóch latach od objęcia urzędu Pawlak ogłosił z dumą uruchomienie całodobowego Dziecięcego Telefonu Zaufania, okazało się, że to *fake*, bo telefon dostępny był tylko w godz. 8.15-20.00, o czym informował nagrany komunikat. Przyłapany na kłamstwie w audycji na żywo w radiu RMF FM Pawlak stwierdził: „Ja tych nagrań nie znam", ale „za chwilę sprawdzę, dlaczego takie nagranie jest, co nie znaczy, że telefon nie działa", na co prowadzący program Robert Mazurek wybuchnął śmiechem: „O mój Jezu! Różne mieliśmy tu sytuacje, ale ja przed chwilą na żywo dzwonię, a pan mi mówi: Takie nagranie mamy!".

Mało zabawnie wyszło, gdy Pawlak zaserwował rewelacje o seksedukatorach rozdających dzieciom w poznańskich szkołach tabletki na zmianę płci. Nie tylko nic takiego nie miało miejsca, ale nawet nie ma tabletek na zmianę płci. Wybuchł skandal, a przyparty do muru Pawlak wyparł się, że „nigdy nie mówił o szkołach", i bredził, że „to, czy dotyczy to transaktywistów, edukatorów, gdzie, w jakim miejscu, z jakich serwerów korzystali, z jakich komunikatorów, w jaki sposób pakowali dzieciom do plecaków te środki, bo to element nielegalnego obrotu – takie plecaki z tymi środkami widziałem – to bada prokuratura i to ona będzie wyjaśniała jako organ właściwy te okoliczności".

Okazało się, że i tym razem Pawlak zmyślał. Niczego nie widział, a jedynie czytał artykuł „Zmień sobie płeć, dzieciaku" w „Tygodniku Solidarność". Jego autorem był propisowski homoseksualista Waldemar

eprasa.pl 257ab95923

Wystąpienie Mikołaja Pawlaka w Sejmie, 15 kwietnia 2020 r.

Krysiak, autor bloga „Gej przeciwko światu". Krysiak zalogował się na internetowym forum dla osób transpłciowych, gdzie te wymieniały się informacjami na temat zakupu i stosowania środków hormonalnych. Prokuratura wszczęła śledztwo i przyskrzyniła bezrobotną mieszkankę Piotrkowa Trybunalskiego, która, chcąc odzyskać część pieniędzy za zakupione legalnie i niewykorzystane leki do hormonalnej terapii zastępczej (stosowane m.in. przez kobiety podczas menopauzy), sprzedała je dwóm dorosłym osobom. Sprawa musiała być błaha, bo prokuratorzy wystąpili do sądu z wnioskiem o warunkowe umorzenie postępowania ze względu na „nieznaczną winę oskarżonej" i „znikomą szkodliwość społeczną" czynu.

Krew na rękach

Jednak dzięki kłamstwom Pawlaka politycy PiS przy pomocy rządowych mediów rozpętali histeryczną nagonkę na środowiska LGBT+.

Laura Kwoczała, 17-letnia licealistka z Oleśnicy, napisała list do Pawlaka. „Dopuścił się Pan obrzydliwej dehumanizacji nieheteronormatywnej młodzieży oraz krzewienia fanatycznej, katolicko-konserwatywnej myśli, oddając się własnym przekonaniom w stu procentach. Ostatnie słowa o porównywaniu transpłciowości do efektu przemocy i manipulacji ze strony poznańskich edukatorów seksualnych okazały się absurdem nie tylko dla mnie. Przekroczyły one wszelkie granice, także wynikające z logicznego myślenia. Ciężko mi było słuchać tych słów, wiedząc, że osoby z mojego otoczenia muszą ukrywać się przed lokalną społecznością czy nawet przed własnymi rodzicami w obawie o to, iż mogą paść ofiarami homofobii, transfobii czy ksenofobii pod każdą postacią. (...) Nagonka ze strony Pana oraz Pańskich kolegów z rządu nie ma końca. Przyczynia się do tragedii młodzieży. Ile krwi musicie mieć na rękach, żeby się opamiętać?", pytała nastolatka, ale Pawlak nie raczył odpowiedzieć.

Tymczasem z raportu Kampanii Przeciw Homofobii wynika, że trzy czwarte młodzieży szkolnej LGBT+ w Polsce miewa myśli samobójcze, a 65% doświadczyło przemocy słownej. RPD nigdy nie zareagował na doniesienia o młodych osobach, które odebrały sobie życie z powodu prześladowań ze względu na orientację seksualną. W tak dramatyczny sposób postąpili m.in. 14-letni Kacper z Gorczyna, 14-letni Wiktor, który rzucił się pod nadjeżdżający skład stołecznego metra czy Milo Mazurkiewicz, która skoczyła do Wisły z mostu Łazienkowskiego w Warszawie.

Za to tych, którzy zajmują się szczuciem, Pawlak potrafił docenić. Odznaką Honorową za Zasługi dla Ochrony Praw Dziecka nagrodził Bognę Białecką, prezeskę Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii, która twierdzi, że homoseksualność nie jest wrodzona, edukacja seksualna przeszkadza tworzeniu się więzi w parze, a rozwód jest gorszy niż śmierć rodziców. Taką samą odznakę Pawlak wręczył Fundacji Małych Stópek, której przewodzi ks. Tomasz Kancelarczyk, znany z siania nienawiści do osób LGBT+. O duchownym zrobiło się głośno w 2019 r., gdy na Facebooku założył akcję „Odkażanie" i wzywał do dezynfekcji ulic Szczecina po przejściu Marszu Równości.

Kto nie ma pokus

Choć Pawlak ma usta pełne frazesów na temat młodzieży rzekomo demoralizowanej przez środowiska LGBT+, to nigdy nie upomniał się o ofiary kościelnej pedofilii. Wysłałem do niego pytania m.in. na temat abp. Dzięgi: kiedy rzecznik dowiedział się o tuszowaniu przez hierarchę przestępstw seksualnych księży oraz jak zareagował, gdy takie informacje do niego dotarły. Nie otrzymałem odpowiedzi, co jest znamienne w kontekście tego, co wydarzyło się w grudniu 2020 r. podczas mszy z okazji 29. urodzin Radia Maryja. Kamery zarejestrowały wówczas, jak Pawlak klaskał, gdy Tadeusz Rydzyk tłumaczył bp. Edwarda Janiaka, który ukrywał przestępstwa seksualne podległych mu księży, za co został odsunięty przez Watykan od kierowania diecezją. „Ksiądz zgrzeszył?

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 257ab95923

No zgrzeszył. A kto nie ma pokus? Niech się pokaże", mówił redemptorysta, a zgromadzeni zareagowali na to śmiechem. Dopiero po kilku dniach, gdy na Pawlaka spadły zewsząd gromy, że nie wstał i nie wyszedł z kościoła, ten odpowiedział na Twitterze, że „pokusa nie tłumaczy przestępstwa". Taka arogancja oburzyła nawet związanego z PiS dziennikarza Wojciecha Wybranowskiego, który odpisał Pawlakowi: „Jaka pokusa? Dzieci zachęcają (kuszą) zwyrodnialców do czynów pedofilskich? A kobieta w spódniczce mini w ciemnym parku nakłania (stanowi pokusę) do gwałtu? Czy RPD (lub osoba prowadząca ten profil) na pewno dobrze się czuje?".

Zawoalowane groźby

W skandaliczny sposób zachował się też Pawlak, gdy najpierw pisowskie media ujawniły, że syn posłanki Magdaleny Filiks był ofiarą pedofila, a potem nastolatek w następstwie nagonki odebrał sobie życie. Rzecznik nie potępił wspieranych przez PiS hejterów, nie wiadomo dlaczego ściągnął z archiwum sądu akta sprawy, która była zakończona (pedofil siedział w więzieniu). Gdy w końcu zabrał głos, to zaczął grozić politykom opozycji. W Polsat News stwierdził: „Z mojej perspektywy jako rzecznika praw dziecka bardzo ważna rzecz: wiele z osób, które od pięciu dni się w tej sprawie wypowiadają, publicznych, z pierwszych stron gazet, z różnych stron politycznego sporu, ma sprawy u mnie – rodzinne, dotyczące ich dzieci i rodzin. I chyba powinno im zależeć, żebym ja o tych sprawach nie mówił". Przekaz był jasny: nie krytykujcie mnie, bo ujawnię wasze rodzinne brudy. Ciekawe, skąd ma taką wiedzę? Wbrew temu, co powiedział, raczej nie posiadł jej jako RPD, bo urząd nie zajmuje się indywidualnymi sprawami rodzinnymi obywateli, a już na pewno żaden polityk opozycji nie prosiłby go o pomoc. Być może ma informacje z programu szpiegowskiego Pegasus. Jak wynika z dokumentów ujawnionych przez Najwyższą Izbę Kontroli, Pawlak jako dyrektor Departamentu Spraw Rodzinnych i Nieletnich w Ministerstwie Sprawiedliwości pośredniczył w zakupie nielegalnej cyberbroni, a więc mógł też mieć dostęp do zbieranych przez PiS za jej pomocą haków na przeciwników politycznych. Jak na ironię Pegasusa, który służył służbom do popełniania przestępstw, kupiono za pieniądze (25 mln zł) z Funduszu Sprawiedliwości, który miał pomagać ofiarom przestępców. O szczegółach dowiemy się już wkrótce. Pawlak zapewne będzie zeznawał przed komisją śledczą ds. Pegasusa.

O zapłodnieniu in vitro mówił, że to niegodziwa metoda. Chwalił wymierzanie przez rodziców klapsów dzieciom.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 257ab95923

Z Galicji

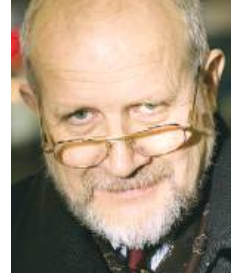

Jan Widacki

Teatrzyk Pinokia

Prezydent Andrzej Duda z całą powagą zaprzysiągł rząd Mateusza Morawieckiego. Uroczystość była transmitowana na żywo przez chyba wszystkie telewizje, wszyscy Polacy mogli więc być świadkami tego żałosnego spektaklu. Dlaczego żałosnego? Bo nikt zdrowo myślący nie spodziewa się, że ten gabinet uzyska w zdominowanym przez demokratyczną koalicję Sejmie wotum zaufania. Z założenia zatem rząd ma przed sobą najwyżej dwa tygodnie, do posiedzenia Sejmu, który odmówi mu wotum zaufania i tym samym zmusi do dymisji. Ma tego pełną świadomość zarówno pan Morawiecki, jak i pan Duda. Ten ostatni, grając tę żenującą komedię, zhańbił, nie po raz pierwszy zresztą, powagę swojego urzędu. Lud by powiedział, że rżnął głupa, a to naprawdę nie przystoi prezydentowi. Kpił sobie równocześnie z tych Polaków, którzy, ogłupiani osiem lat przez rządową telewizję, brali ów spektakl na serio.

Trudno zrozumieć motywacje Mateusza Morawieckiego. Po co mu to? Przecież wie, że wotum zaufania nie dostanie, że ta cała komedia trwać będzie najwyżej dwa tygodnie. Liczy na cud? A może na stan wyjątkowy lub wojenny? Obecność wśród dobranych do rządu kukiełek Mariusza Błaszczaka u osób podejrzliwych może rodzić obawy, że coś takiego rzeczywiście jest brane pod uwagę. Potrzeba tylko jakiejś dobrej prowokacji, nagłośnionej przez wciąż pisowską TVP, i skierowanego do prezydenta stosownego wniosku premiera, motywowanego koniecznością „ratowania niepodległego bytu państwa". Byłoby to jednak szaleństwo o niedających się do końca przewidzieć konsekwencjach. Aż tak szaleni Duda z Morawieckim chyba nie są. Po co więc to wszystko? Dla przedłużenia rządów PiS o kilkanaście dni? Odwleczeniae pociągnięcia do odpowiedzialności za nadużycia ostatnich ośmiu lat? „Co się odwlecze, to nie uciecze", powiada lud. Jaki sens ma odwlekanie czegokolwiek o dwa tygodnie? Chodzi o zdobycie czasu na osadzenie na rozmaitych stołkach swoich ludzi, których nie zdołano osadzić do tej pory? Na pozacieranie ostatnich śladów afer? Czy może tylko o zrobienie na złość Tuskowi i demokratycznej koalicji? A interes państwa naprawdę się nie liczy?

Ale ten spektakl jest żałosny również z powodu składu teatrzyku Pinokia. Gdyby nie chodziło o powagę państwa, to ten teatrzyk dał w sumie zabawny występ. Każda kukiełka, po otrzymaniu nominacji od prezydenta, złożeniu ślubowania na stojąco, podchodziła mechanicznie (jak to kukiełka) do złoconego stołu, podpisywała rotę ślubowania, później nieruchomiała, mechanicznie podnosiła głowę, patrząc wprost do kamery, wyszczerzała na chwilę zęby w wymuszonym uśmiechu do telewidzów i odmaszerowywała na swoje miejsce w szeregu innych kukiełek.

Kukiełki jak kukiełki. Wykonują ruchy nie swoje, tylko ręki, która nimi steruje. Ale jedna wyraźnie się odróżnia od pozostałych. Intelektem i szczerością. To minister kultury i dziedzictwa narodowego Dominika Chorosińska (d. Figurska). Kukiełka wprost wymarzona do tej roli! Wzorzec cnót niewieścich, które u dziewcząt chcieli kształtować były już minister Czarnek i jego doradca (aktualny zdaje się rektor Akademii Zamojskiej) Skrzydlewski. Jej skomplikowane relacje z mężem, kochankiem i dzieckiem zna cała Polska, wszak pani Dominika, zanim wcieliła się w rolę kukiełki ministra kultury (i dziedzictwa narodowego oczywiście!), grała w popularnym serialu, a jako osoba otwarta perypetiami osobistymi chętnie i szeroko dzieliła się z publiką. Już same jej przeżycia rodzinno-erotyczne są gwarancją, że stojąc na straży dziedzictwa narodowego, w szczególności strzec będzie modelu tradycyjnej polskiej niewiasty. Jeśli do tego dodać walory intelektualne, to nie ulega wątpliwości, że roli ministra kultury podoła nie gorzej niż jej poprzednik Piotr Gliński. A o wspomnianych walorach intelektualnych przekonują jej niegdysiejsze (ale w internecie wciąż żywe!) wypowiedzi w Radiu Zet, gdy nie wiedziała, ilu posłów zasiada w polskim Sejmie, ilu jest senatorów, była przekonana, że prezydentem może zostać 18-latek, a nawet była gotowa przekonywać, że Tadeusz Mazowiecki był komunistą. Może w jednym przesadziłem. Nie jestem pewien, czy mówiąc o minimum wieku kandydata na prezydenta, miała na myśli wiek metrykalny, czy mentalny. Jeśli o ten ostatni jej chodziło, to przepraszam, pełna zgoda. Prezydentem rzeczywiście może zostać człowiek o mentalności nastolatka.

Teatrzyk Pinokia będzie teraz odbywał próby, premiera na posiedzeniu Sejmu, na którym wygłoszone zostanie exposé; potem dyskusja nad nim, głosowanie nad wotum zaufania i wreszcie… kurtyna!!! I zejście z afisza. ■

Trudno zrozumieć motywacje Mateusza Morawieckiego. Po co mu to? Liczy na cud? A może na stan wyjątkowy lub wojenny?

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 257ab95923

Nie zabierajcie ludziom szczęścia

In vitro jest uznawane za największe osiągnięcie medycyny klinicznej XX w.

Rozmawia Zbigniew Krzywicki

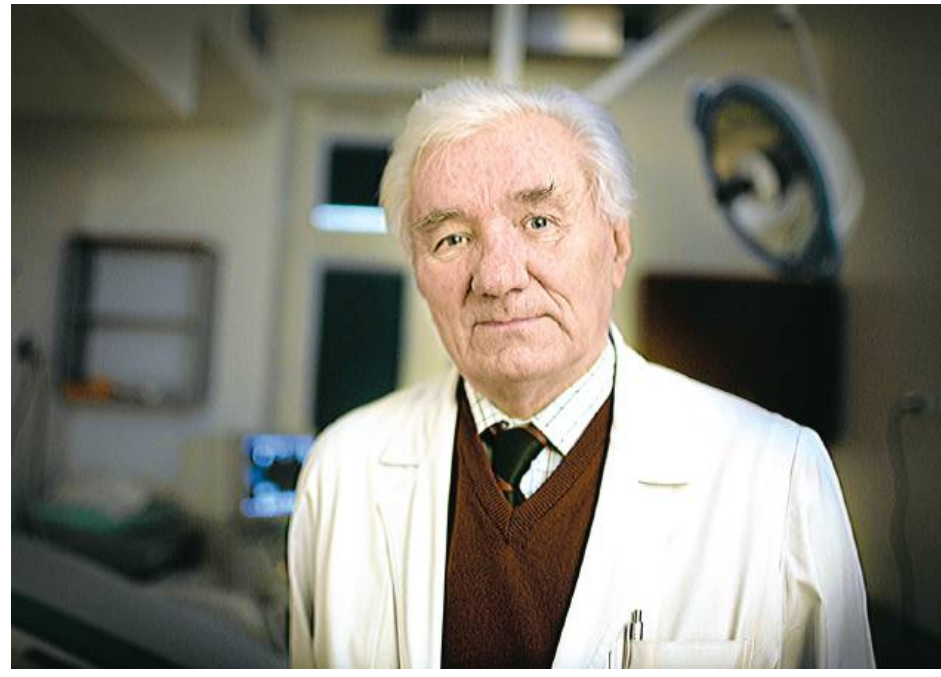

PROF. MARIAN SZAMATOWICZ
– twórca zespołu zapłodnienia pozaustrojowego, którego działania doprowadziły do urodzenia się 12 listopada 1987 r. pierwszego w Polsce dziecka w wyniku leczenia niepłodności metodą in vitro. Laureat Busoli „Przeglądu" z 2003 r.

Trudno nie zacząć inaczej niż od deklaracji premiera Tuska i ministra Arłukowicza o refundowaniu procedury zapłodnienia pozaustrojowego. Co pan o tym sądzi?

– To ważne, odbieram to pozytywnie, ale na razie to tylko deklaracja. Mój sceptycyzm bierze się stąd, że wcześniejsze takie obietnice pani minister Ewy Kopacz i premiera Tuska nie zostały spełnione. Zmienię zdanie, jeśli w drugiej połowie przyszłego roku niepłodne polskie pary dostaną obiecywaną pomoc. Jednocześnie jest to rozwiązanie cząstkowe – mówi się o refundacji procedury in vitro tylko w ograniczonym wymiarze. Nie dotyczy ona m.in. kosztów podawanych leków, a są one niebagatelne.

Ultrasonograf od papieża

Dobrze pan pamięta tamten czas sprzed 25 lat?

– To było dość szczególne przeżycie. Pracowałem w klinice, w której moi nauczyciele, profesorowie Stefan Soszka i Aleksander Krawczuk, interesowali się problemami niepłodności. I gdy z dzisiejszej perspektywy patrzę na ówczesne sposoby diagnozowania i leczenia, było to odległe średniowiecze. Był rok 1978, czytaliśmy literaturę tak dokładnie, jak to konieczne w erze przedkomputerowej, i wtedy wyczytaliśmy informację, że w Anglii urodziło się pierwsze dziecko z pozaustrojowego zapłodnienia. Zrozumieliśmy, że została otwarta nowa epoka w leczeniu niepłodności. Ja miałem bezpośredni kontakt z tą metodą w roku 1983, kiedy jako visiting professor obserwowałem in vitro w Göteborgu, wówczas pionierskim ośrodku. Wtedy postanowiliśmy zrobić bilans potrzeb i tego, czego musimy się nauczyć. Uczyliśmy się przez cztery lata. Nie było oporów ze strony władz, natomiast procedury biurokratyczne uniemożliwiały gromadzenie środków finansowych. Potrzebny sprzęt kupowaliśmy więc niejako przy okazji. Gdy klinika nabywała np. sprzęt do endoskopii i laparoskopii, przy okazji pozyskiwaliśmy urządzenie, które pozwalało na pobieranie komórki jajowej. Na tym robiliśmy pierwsze próby.

Słyszałem, że pomógł papież. To prawda?

– Myślę, że znaczący był fakt, że w 1986 r. Instytut Położnictwa i Ginekologii w Białymstoku otrzymał dar Jana Pawła II – ultrasonograf. Przy wykorzystaniu tego urządzenia nauczyliśmy się pobierać komórki jajowe bez ingerencji laparoskopowej

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 257ab95923

i po takiej czynności doszło do zapłodnienia i pierwszych narodzin. Ja uważam, że papież przekazał ultrasonograf w dobre ręce, papież się nie myli, intencja była dobra i w dobrym celu została wykorzystana. Był też doping. Prasa pisała wówczas, że o krok od sukcesu jest ośrodek warszawski, ale ostatecznie to u nas 12 listopada 1987 r. narodziło się pierwsze dziecko. Ponieważ była to taka ciąża wychuchana, rozwiązanie nastąpiło za pomocą cięcia cesarskiego. Wtedy naprawdę zobaczyłem to dziecko.

Dzisiaj rozmowa o in vitro to wiecowanie i walenie się po twarzach i sumieniach wszystkich ze wszystkimi. A jak było wtedy?

– Od 1983 r. aż do chyba 1990 r. nasze pacjentki otrzymywały za darmo leki, nie było żadnego protestu i dopiero minister Sidorowicz (Władysław Sidorowicz – minister zdrowia w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego – przyp. red.) napisał zarządzenie, że „pozaustrojowe zapłodnienie i zabiegi kosmetyczne" to nie są procedury medyczne i w związku z tym nie mogą być finansowane ze środków publicznych. Oceniam to jako zamysł zlikwidowania stosowania tej metody w Polsce.

Czuliście się jak pionierzy, którzy poszukują nowych przestrzeni?

– Cóż, łatwo nie było. W zasadzie wszystko trzeba było przygotować samemu. Dzisiaj wystarczy tylko mieć pieniądze i zdobyć profesjonalny sprzęt, leki; dostępne są całe technologie. Wówczas – to należy powiedzieć – skuteczność tego leczenia była znacznie niższa niż dzisiaj. Gdy w 1989 r. byłem w Stanach Zjednoczonych i dowiedziałem się, że połowa tamtejszych ośrodków robiła próby in vitro i nie było ciąż, doceniłem wagę naszego osiągnięcia. Ale pamiętam, jak wiele czasu zabrało nam przygotowanie tzw. mediów, czyli środowiska, w którym przetrzymuje się komórki i w którym potem dochodzi do zapłodnienia i przebiega rozwój zarodków. Wiedząc, że woda musi być absolutnie czysta, poprzez kontakty z sanepidem szukaliśmy studni na terenie województwa. Woda była poddawana destylacji, ale okazywało się, że w jej trakcie szkło potrafi uwalniać toksyczne substancje, więc poszukiwaliśmy stosownych materiałów. I udało się pokonać te bariery. Dzisiaj oczywiście wszystkie te standardy sprzętowe są osiągalne na najwyższym poziomie, za pieniądze, rzecz jasna.

Mieliście poczucie, że jesteście zwycięzcami?

– Byliśmy bardzo dumni. Zwłaszcza że Białystok był wtedy traktowany jako ośrodek peryferyjny, podkreślano wcześniej rolę Warszawy, więc z tego powodu też czuliśmy się świetnie. Ale to się stało dzięki zespołowi ludzi, którzy ze mną pracowali. I tak już jest, że pracuje zespół, a potem całą chwałę odbiera przywódca…

Porozmawiajmy więc o zespole.

– Dr Marek Kulikowski był tym, który podczas endoskopii pobierał komórki jajowe. Dziś jest profesorem. Dr Jerzy Radwan, adiunkt, dzisiaj profesor, ma własny ośrodek leczenia niepłodności w Łodzi. Dr Waldemar Kuczyński, obecnie profesor, ma swój ośrodek w Białymstoku. Dr Sławomir Wołczyński (zajmował się embriologią, czyli opiekował się zarodkami), teraz profesor, nadal nadzoruje pracę w zakresie in vitro na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku. Wreszcie bardzo dużą rolę odegrał Euzebiusz Sola (wówczas i obecnie doktor, wciąż znakomity fachowiec). Potem stopniowo dołączali młodsi ludzie – Jacek Szamatowicz, który wtedy nie brał udziału, bo był za młody, aktualnie profesor, a także doktorzy Jan Domitrz i Tomasz Zbroch.

Pierwsze polskie dziecko z in vitro urodziło się 12 listopada 2987 r. Jest szczęśliwą mężatką i ma swoje, naturalnie poczęte dziecko.

Miliony szczęśliwych

Czy towarzyszyły wam wtedy emocjonalne refleksje etyczne takie jak dzisiaj? Czy musieliście rozstrzygać podobne dylematy?

– To się nasila dopiero od kilku lat. Wspomniany minister Sidorowicz najwyraźniej chciał spowodować unicestwienie metody. Ten krok się nie powiódł, bo ośrodki się rozwijały, powstawały nowe. W Polsce jest ich ok. 30. A druga faza nasilenia debaty rozpoczęła się, gdy pojawiła się sprawa refundacji. Podejmowano niekiedy całkiem niezrozumiałe dyskusje. Przypomnę czas, gdy izby lekarskie uchwalały kodeks etyki lekarskiej i na wniosek niektórych osób szykowały zapis, że leczenie niepłodności metodą in vitro jest nieetyczne. Co by to znaczyło? Ano, że na podstawie takiego zapisu izby musiałyby podawać do sądu lekarzy stosujących tę metodę, z wnioskami o pozbawienie prawa wykonywania zawodu włącznie (!). Ogromną i dobrą rolę odegrały wówczas dyskusje, które organizowała jako wicepremier pani Izabela Jaruga-Nowacka. Ja wówczas odwoływałem się o wsparcie także do instytucji międzynarodowych.

Czyli było podobnie jak teraz?

– Swego czasu konsultantem krajowym ginekologii był prof. Bogdan Chazan z Warszawy. Gdy prezydent Aleksander Kwaśniewski otrzymywał wnioski o działania na rzecz refinansowania leczenia niepłodności, oczywiście odsyłał to do ministra, ten natomiast zasięgał opinii prof. Chazana. I dostawał odpowiedź m.in. taką: „In vitro i procedury wspomaganego rozrodu nie są to procedury medyczne; czasami pozwalają uniknąć bezdzietności". Taka to łamigłówka logiczno-słowna.

Ale zanim znów ogarnie nas codzienność, wróćmy jeszcze na chwilę do czasu sprzed ćwierćwiecza. Pamięta pan rodziców dziecka, czyli pacjentów?

– Tak, dobrze pamiętam. A dziecko widziałem dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy matka je odbierała z kliniki w 1987 r. Siedem lat później zgłosiła się z tym dzieckiem do mnie, akurat szło do szkoły. Była to bardzo ładna dziewczynka. Dziś ma 25 lat, jest mężatką i ma swoje, już naturalnie poczęte i urodzone dziecko. Żyje więc dzisiaj szczęśliwa, młoda kobieta.

eprasa.pl 257ab95923

Zresztą tych szczęśliwych jest wielu i nie mam sygnałów, że z powodu tego, iż poczęli się tak, a nie inaczej, mieli jakieś szczególne problemy, aczkolwiek bardzo chronimy ich tożsamość, bo przeważnie żyją w Polsce. Na świecie jest prawie 5 mln takich osób, a w Polsce ok. 10 tys., z czego ponad 3 tys. dzięki naszym, białostockim staraniom.

Mam jednak wrażenie, że żyje pan codziennością metody in vitro. Bo nie jest za wesoło.

– Mówię czasem emocjonalnie: jeśli kogoś chcą bić, niech biją Najwyższego. Ukształtował on człowieka jako gatunek o ograniczonej płodności. To dzisiaj statystycznie oznacza, że po roku pożycia seksualnego ok. 15%, a więc co szóste małżeństwo, będzie miało problemy z rodzicielstwem. Różne są przyczyny niepłodności, dziś mówi się o dwóch trendach. Pierwszy – kobiety w okres rozrodu wchodzą później, gdy starzeje się jajnik, a nikt nie nauczył się jeszcze odwracać procesu starzenia. I drugi – wpływy środowiskowe na funkcję nabłonka plemnikotwórczego u mężczyzn. Poza tym w rozrodzie naturalnym dzieje się tak, że jeśli powstają zarodki, to trzy czwarte jest obciążone defektami genetycznymi i one nie będą się rozwijały. Mówi się, że one obumierają. Natomiast jeżeli obumierają zarodki przy leczeniu niepłodności metodą zapłodnienia pozaustrojowego, używa się brutalnej retoryki, że zabija się siostry i braci tego, który się rozwinie, a potem urodzi jako dziecko.

Myśli pan, że dominuje tu doktrynerstwo wywodzące się z religii?

– Według doktryny życie ludzkie powstaje ze stosunku płciowego małżonków i wtedy małżonkowie są pomocnikami Pana Boga. W przypadku leczenia, o którym mówimy, życie powstaje w warunkach pozaseksualnych. W związku z tym cała chmara różnego rodzaju przeciwników wymyśla najrozmaitsze teorie, żeby nie leczyć takich przypadków. Kiedyś na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w dyskusji przytaczałem art. 16 Powszechnej deklaracji praw człowieka, który mówi, że prawo do posiadania potomstwa jest podstawowym prawem człowieka. Kto tego słuchał? U nas często dominuje zasada tylko „prawa do prokreacji" i jeżeli dzieci się rodzą, trzeba to przyjąć z wdzięcznością, a jeśli nie – z pokorą.

Ja nie akceptuję tego typu postawy, bo wiem, jak okrutne dramaty przeżywają ci, którzy chcą mieć dzieci, a one z powodów niezawinionych się nie rodzą. Tworzy się teorie, że środki antykoncepcyjne, że przerywanie ciąży… Owszem, przerywanie ciąży może czasem mieć znaczenie, ale jeśli górnik czy hutnik pracuje w wysokich temperaturach, a mają one negatywny wpływ na nasienie, to co on jest temu winien? Albo pracownik stacji benzynowej, narażony na wyziewy ksenobiotyków? Wtedy medycyna usiłuje pomóc.

Wskaźnik dzietności przy metodzie in vitro jest wyższy niż w naturalnym rozrodzie, u młodych kobiet sięga 45-50%.

Naprotechnologia to metoda… zapobiegania ciąży

Panie profesorze, odpowiedź Kościoła na in vitro brzmi: naprotechnologia. To wiedza czy…?

– Co to w ogóle jest naprotechnologia! Nazwa pochodzi od *natural procreative technology* i jest uznawaną przez Kościół naturalną metodą… zapobiegania ciąży. Naturalna metoda, czyli abstynencja seksualna w okresie koncepcyjnym. Pojawiła się zatem potrzeba określenia owego okresu koncepcyjnego, a gdy to uczyniono – usiłuje się to zastosować do par, które nie mogą mieć dzieci, żeby rozpoznawać okres koncepcyjny i na tej zasadzie ułatwiać zachodzenie w ciążę. Prof. Thomas Hilgers, główny „twórca" tej metody w Instytucie Papieża Pawła VI w stanie Nebraska (USA), powiedział mi, że naprotechnologia uznaje leczenie farmakologiczne, chirurgiczne, a gdy one nie są skuteczne, wówczas konieczna jest adopcja. Taki przedstawiał algorytm. A fakty są takie, że mniej więcej połowie par po postawieniu rozpoznania naprotechnologia nie daje żadnych szans. Mnie wkurza to, że mężczyzn leczy się farmakologicznie, a nie ma żadnego naukowego dowodu, że to może być skuteczne, w tym czasie zaś kobieta się starzeje, a gdy w końcu okaże się, że ta naprotechnologia nie przynosi skutku, najczęściej już nie można pomóc. Nazywam to złodziejstwem czasu reprodukcyjnego.

Zapewne rozsądnym działaniem w Polsce byłoby nadanie metodzie in vitro rangi oficjalnej procedury, skodyfikowanej, kontrolowanej.

– Właśnie. Są na świecie znakomite rozwiązania – w Holandii, Belgii, Anglii. Natomiast tam, gdzie próbuje się stosować restrykcje, prowadzą one do zmniejszenia skuteczności leczenia, a w następstwie też do „turystyki reprodukcyjnej". I to jest dowiedzione. Zatem i w Polsce trzeba to uregulować jako licencjonowaną metodę leczenia i powinien być prowadzony nadzór nad sposobem tego leczenia. A ponieważ niepłodność jest chorobą, leczenie powinno być refundowane. Dlaczego palacze mają refundację przy chorobach płuc czy krtani? Dlaczego narkomani mają, a chorzy nie z własnej winy – nie mają? Dlaczego w końcu ludzie biedni, którzy chcą mieć dzieci, nie mają?

W połowie listopada będzie uroczyste spotkanie z okazji 25-lecia narodzin pierwszego człowieka w Polsce, który żyje dzięki metodzie in vitro. Jakie pytania sobie postawicie?

– 25 lat to tylko przypomnienie, specjalnej celebry z tego tytułu nie będzie. (…) Dzisiaj dyskutujemy o tym, że wciąż nie każda procedura zapłodnienia pozaustrojowego kończy się sukcesem. A sukces jest, bo wskaźnik dzietności jest wyższy niż w naturalnym rozrodzie, u młodych kobiet sięga 45-50%. Ale trzeba mówić o tych pozostałych 50%. Będziemy więc rozmawiać o zwiększeniu skuteczności leczenia, o unikaniu ciąż wielopłodowych i ograniczeniu tzw. zespołów hiperstymulacji jajników.

I jeszcze jedno. 65% komórek jajowych jest obciążone defektami

eprasa.pl 257ab95923

genetycznymi. Będziemy rozmawiać o tym, jak te wady rozpoznawać bez naruszania integralności tych komórek. W sumie idzie o to, aby dokonywać selekcji komórek, a nie zarodków.

Jest wiele innych problemów, np. precyzyjne określenie momentu, w którym zarodek powinien trafić do macicy, żeby miał jak największe szanse rozwijania się. A z tym wiąże się konieczność mrożenia zarodków. Jeżeli ktoś bezmyślnie, tylko ze względów ideologicznych, każe przenosić zarodek natychmiast, zakazując mrożenia, to w sposób pośredni skazuje na śmierć tę grupę, która trafia do nieprzygotowanej macicy. I tak dalej, nie będę zanudzał szczegółami.

To niejedyna taka konferencja na świecie. Ale to, że ta dyskusja toczy się w Polsce, może dobrze świadczy o naszym kraju? Czy nastanie u nas ten czas rozmowy o in vitro – rzeczowej, rozważnej, z uszanowaniem istoty jestestwa ludzkiego?

– Nadzieję trzeba mieć. Natomiast nie ma co ukrywać – wpływ Kościoła katolickiego jest tak duży, że to politycy stają się ekspertami. Gdy minister Kopacz powiedziała o refundacji, jaka burza się wywiązała! I dla świętego politycznego spokoju projekty leżą, np. projekt Marka Balickiego.

Art. 16 Powszechnej deklaracji praw człowieka mówi, że prawo do posiadania potomstwa jest podstawowym prawem człowieka.

A jest mimo wszystko coś optymistycznego w długiej drodze do rozsądku?

– Jest. W Polsce ośrodki zapłodnienia pozaustrojowego są na dobrym poziomie. Międzynarodowy rejestr to potwierdza, czyli nie jesteśmy w ogonie badań i praktyki. Nie spodziewam się zatem niczego innego niż mądrego uregulowania tych spraw w Polsce. Jeżeli po latach oporu twórca metody prof. Robert Edwards dostaje Nobla, a in vitro jest uznawane za największe osiągnięcie medycyny klinicznej XX w., to wierzę, że i w Polsce będzie lepiej i jaśniej. I coś panu powiem – na doroczne konferencje medyczne zjeżdża się po 8 tys. ludzi ze świata, (…) zastanawiających się, jak ulepszać tę metodę, myślę więc, że nasze polskie oszołomstwo też jej nie zablokuje.

Sam często mówię, że pierwszym nakazem boskim był nakaz rozmnażania się. Na wykładach pokazuję generację patriarchów, zaczynając od Abrahama, który doczekał się syna – według Starego Testamentu – gdy Sara miała 95 lat. I aniołowie w tym pomagali. Izaak miał problemy i jemu również pomagali aniołowie. Może wtedy kontakt z aniołami był łatwiejszy? Dzisiaj natomiast medycyna może zastępować aniołów i pomagać ludziom mieć dzieci.

Zbigniew Krzywicki

Wywiad ukazał się 4 listopada 2012 r. w „Przeglądzie" nr 44/2012 r.

eprasa.pl 257ab95923

Skąpani w wazelinie

Dzieła kochanków Prezesa długo nie przetrwają

Rozmawia Leszek Konarski

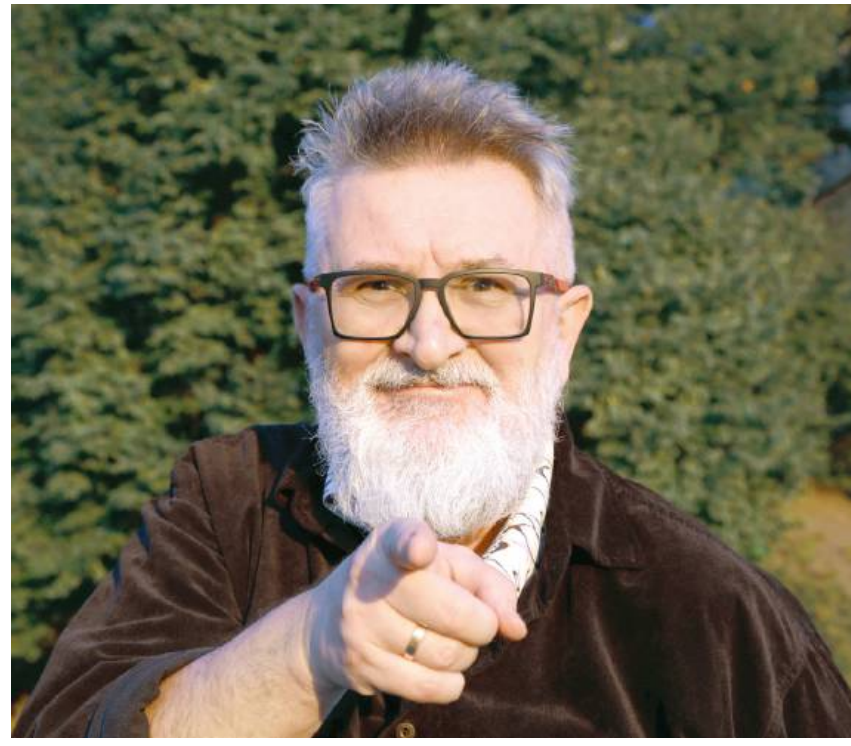

WITOLD BEREŚ
– rocznik 1960, krakus, choć urodzony w Bytomiu, a wychowany na Opolszczyźnie. Dziennikarz, autor książek oraz scenarzysta, reżyser i producent filmowy, redaktor naczelny miesięcznika „Kraków i Świat".

Pana książka „Pokochać diabła" (Austeria, Kraków 2023) to rzecz o wielbieniu władzy i skutkach tej miłości dla środowisk intelektualnych, twórczych. Czy kochanie władzy jest grzechem?

– Każdą władzę wybraną demokratycznie można lubić i nie ma w tym nic złego. Gorzej, gdy ktoś oddaje się władzy tylko dla zrobienia kariery, dla czerpania z tej miłości korzyści. Gdy w tym celu całuje rączki oraz liże tyłki tym z lewa i z prawa, sprzedając im swoją duszę.

Ludzie władzy bardzo to lubią, nagradzają, dekorują.

– Ks. Tischner opowiadał kiedyś anegdotę, jak to Józkowi urwało nogę na wojnie, a Cesarz wręczył mu order. Józkowi to nie pomogło, ale Cesarzowi i owszem… Tak, im władza bardziej jest autorytarna, tym chętniej wręcza medale, otacza się ludźmi kultury i sztuki. Każdy wie, że artyści to ludzie bardzo wrażliwi, ale równocześnie słabi psychicznie i łatwo ich kupić. A każdy despotyczny władca stara się być inżynierem ludzkich dusz.

Pisze pan o Hitlerze, Stalinie i wielu innych tyranach naszego świata. Prof. Aleksander Krawczuk często mówił, że cesarze rzymscy zatrudniali setki dobrze wynagradzanych historyków i pisarzy, którzy porównywali ich w swoich dziełach do bogów, a przemilczali zbrodnie i inne niecne czyny. Kończy pan na latach Prezesa. Nazwiska pan nie ujawnia.

– Nie ma sensu. Chciałbym tylko oświadczyć, że książka ukazała się kilka miesięcy przed wyborami, a więc nie znałem wyników. Nikt nie może mnie zatem posądzić, że po wyborach chcę Prezesowi dokopać. Oświadczam też, że książka nie jest napisana na zamówienie Donalda Tuska.

Krytykuje pan nie Prezesa, ale ludzi kultury i nauki, którzy mu czapkowali, bili pokłony.

– Ostatnie osiem lat pokazało marność, służalczość i wazeliniarstwo polskiej inteligencji, gotowej dla doraźnych interesów sprzedać duszę. Cytuję Marka Edelmana, który mi kiedyś powiedział i co napisałem w jednej z moich poprzednich książek: „Tak jak dają dupy intelektualiści, to nikt nie daje". I miał rację, szczególnie widać to było w prasie, w telewizji. To nie było śmieszne, to było tragiczne.

A jeśli chodzi o filmy, to przypomnę „Smoleńsk", „Wyklętego", „Historię Roja"…

– Włazidupstwo było zawsze, ale w ostatnich ośmiu latach przekroczyło granice przyzwoitości. Na szczęście i tak duża część inteligencji zachowała wewnętrzną wolność.

Artystom nie jest dzisiaj łatwo żyć, była okazja coś zarobić, więc korzystali. Kiedy zapytałem znanego nam obu znakomitego aktora Jerzego Trelę, dlaczego wystąpił w kilku bardzo kiepskich filmach i sztukach, fuknął na mnie: „Ja też czasem chcę mieć nową lodówkę!". Może to w biedzie twórców leży przyczyna konformizmu i służalczości?

– Pieniądze są oczywiście ważne, ale nie za cenę sprzedawania swojej duszy. Pytam w książce, czy któryś

eprasa.pl 257ab95923

z Holendrów podlizuje się ministrowi kultury. W krajach, w których stosunki są bardziej normalne, twórcy mają gdzieś ministra, bo wiedzą, że liczy się ich talent, a nie ministerialne poklepanie. Niewątpliwie część naszych twórców z powodu biedy i braku życiowych perspektyw sprzedaje duszę temu, kto jest aktualnie przy władzy. Ten zachwyt diabłem jest wymuszony ich życiową sytuacją. Ale dlaczego w całej naszej historii było i jest tyle wazeliniarstwa?

Jestem tego świadkiem od dzieciństwa, niestety, coraz z tym gorzej. Mój ojciec, Marian Konarski, artysta malarz, w 1955 r. namalował „Marsz lizusów" przedstawiający tłumy pochlebców wchodzących zwartymi szeregami do tyłka polityka, który najwidoczniej brzydzi się ich wazeliniarstwem i rzyga. W 1976 r., już w epoce Gierka, poszedłem do Władysława Machejka, redaktora naczelnego „Życia Literackiego" i zaproponowałem mu napisanie reportażu z fabryki wazeliny. Machejek, członek aparatu partyjnego, popatrzył na mnie jak na wariata i zapytał: „A dlaczego chcecie to zrobić?". Odpowiedziałem mu: „Bo ja nienawidzę wazeliny!". A on zaniemówił, chwilę pomyślał: „A wiecie, że ja też jej nie lubię, piszcie!". Potem był dumny, że wydrukował tekst polityczny, a cenzura niczego się nie domyśliła. A w tym reportażu pracownicy fabryki mówili, że w naszych czasach bez wazeliny człowiek daleko nie zajedzie.

– Ta wazelina za Stalina czy za Gierka była zupełnie inna niż obecna. W tamtej nie było tej porcji nienawiści i agresji, która jest w dzisiejszej. Wtedy wiedzieliśmy, że niewiele można zrobić, wszak tu stacjonowały tysiące żołnierzy radzieckich. Dzisiaj żyjemy w zupełnie innych czasach, należymy do Unii Europejskiej i do NATO, mamy demokratyczne wybory, różne partie polityczne, a mimo to z każdym włączeniem telewizora mamy nienawiść, antyniemieckość, antyeuropejskość. O dziwo, mało tylko antyrosyjskości. Lecz w tym wolnym kraju intelektualiści w jakimś owczym pędzie lizali dupę władzy. Ta gierkowska telewizja, która pana denerwowała, to był mały pikuś w porównaniu z obecną rządową. Tamta wazelina była subtelna, zawoalowana, mało widoczna, ukryta.

Marian „Marzyn" Konarski, „Marsz lizusów", 1955

Dlaczego ludzie godzą się na taki festiwal wazeliniarstwa i lizusostwa?

– Właśnie. Nie ma zbuntowanych twórców, wielkich autorytetów, ludzi odważnych, gotowych pójść do więzienia za swoje poglądy. Co się stało z naszą inteligencją? Mamy tłum konformistów, pochlebców, służalców, wazeliniarzy, pantoflarzy, klakierów, cmokierów, lizusów. W systemie opresyjnym była tylko jedna właściwa droga, innej nie było. Jak ktoś był dobry, to jak dał dupy, dalej był dobry, ale w obecnym systemie wolnościowym, gdzie panuje demokracja, najszybciej dają dupy ci, co nic nie potrafią.

Jakie mogą być przyczyny takiego społecznego konformizmu?

– Od początku wolnej Polski nie ma młodych zbuntowanych. Może to wina kapitalizmu? Ludzie bardzo łatwo dali się uwieść świadomości, że jak się ma pieniądze, to można robić, co się chce – piwo, wódka, hulaj dusza, piekła nie ma. Przyznam, że ja też temu uległem na początku lat 90. Ale dlaczego Polacy po ponad 30 latach dalej tak myślą, nie chcą czegoś naprawić, dlaczego jest im wszystko jedno, co się dzieje w kraju? Czasem ktoś się zbuntuje, jak kobiety, które wyszły na ulicę i sporo namieszały, choć tylko w swoich sprawach.

A co po pochlebcach zostanie? Dlaczego dobrze opłacani twórcy w ciągu ostatnich ośmiu lat nie stworzyli wybitnych dzieł – literackich, filmowych, teatralnych, muzycznych, malarskich?

– Moja książka jest dla nich ostrzeżeniem. Nie idźcie drogą wazeliniarstwa, służalczości, bo nic nie osiągniecie. Nic po was nie zostanie. Sam pył. Twórca musi być niezależny w tym, co robi. Dzieła kochanków Prezesa, tworzone na zamówienie, nigdy nie zaistnieją. W książce podaję przykłady. Bronisław W., prorok prasy prawicowej, jeszcze przed nadejściem Prezesa cały czas narzekał, że salon go nie dostrzega, choć pisze arcydzieła. Mówił, że jak dojeżdżał pociągiem z Krakowa do Warszawy, to w pociągu napisał książkę. I przyszła jego Polska, niedemokratyczna, i telewizja publiczna kupuje prawa

Włazidupstwo było zawsze, ale w ostatnich ośmiu latach przekroczyło granice przyzwoitości.

FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ/BEREŚ MEDIA

eprasa.pl 257ab95923

autorskie do jego dzieł. On zaś dostał w nagrodę Orła Białego. Tylko gdzie są te wielkie dzieła, które napisał?

Jak autor idzie własną drogą, która przy okazji może być zgodna z linią obecnej władzy, to może osiągnie sukces. Ale jeżeli autor z premedytacją liże tyłki władzy, nic po nim nie pozostanie. Chcę więc przestrzec wszystkich świadomych kochanków Prezesa: jeżeli w waszych utworach nie będzie widać wielkości waszego ducha, a tylko lizanie dupy władzy, nic z was nie zostanie. W książce cytuję wypowiedź Iwana Bunina, rosyjskiego pisarza, emigranta, noblisty z 1933 r., który o swoim koledze, wielbicielu Stalina Aleksieju Tołstoju, po ukazaniu się jego książki tak napisał: „Aloszka, kurwa twoja mać, kanalia z ciebie, ale jednak kawał pisarza…".

Jak po kochankach Prezesa posprzątać Polskę, może ma pan jakiś pomysł?

– Polityków PiS, którzy nadużyli władzy, przekroczyli swoje uprawnienia, nie respektowali konstytucji, ukarałbym od A do Z. Czy również tych, którzy byli słabi i uwierzyli władzy? Ja bym im odpuścił, bo wiem, że ich dorobek rozpadnie się w pył. Jeżeli ktoś czerpał korzyści, dostawał na swoje pismo miliony, to trzeba mu powiedzieć: „Słuchaj, już więcej od nas nie dostaniesz. Nie będziemy na ciebie pluć, nie będziemy cię oskarżać, nie będzie seansów nienawiści, ale powinieneś się usunąć".

Od początku wolnej Polski nie ma młodych zbuntowanych.

Prezes jest na odchodnym, przyjdzie Tusk. Czy będzie inaczej? Czy właziduppców będzie mniej?

– Tego to ja nie wiem. Z pewnością znajdą się ludzie, którzy będą chcieli lizać pośladki nowej władzy, ale mam nadzieję, że Donald Tusk nie będzie tak podatny na wazelinę.

Twórcy muszą do niego przyjść po prośbie, bo kultura wymaga wielkich pieniędzy.

– Kulturę trzeba finansować, bo spaja państwo, łączy ludzi, kształci charaktery. Trzeba to jednak robić tak, aby były rezultaty. Nie może to być kultura szczująca jednych na drugich, napastliwa, promująca jeden właściwy kierunek. Państwo powinno wspomagać twórców, lokalne media, biblioteki, ale z zachowaniem bezwzględnie transparentnych kryteriów, czego zabrakło. Gdyby lizusy Prezesa wzięły forsę i pozostawiły po sobie coś cennego, to częściowo bym im wybaczył. Ale przez ostatnich osiem lat nie powstała żadna wielka powieść o współczesnej Polsce ani na ten temat nie napisano znaczącego dzieła historycznego.

Jest pan optymistą?

– Umiarkowanym. Ten gen lizania pośladków tkwi w nas od wieków. Ale mam nadzieję, że nowa władza będzie odporniejsza na wazeliniarzy i powie twórcom: „Macie forsę, róbcie, co chcecie, ale muszą to być rzeczy dobre, wartościowe".

Oj, bardzo smutny jest ten pana erotyk o stosunkach z władzą.

Leszek Konarski

eprasa.pl 257ab95923

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Interregnum

Wiemy, co się stało 15 października 2023 r., ale nie wiemy, jak ten dzień zapisze się w historii. Nie tylko dlatego, że trwa – sztucznie przedłużane – interregnum. Przede wszystkim dlatego, że do uchwycenia rangi przełomu potrzebny jest dystans czasowy. Wszak nawet rola czerwcowych wyborów 1989 r. długo nie była dostrzegana. Rząd Tadeusza Mazowieckiego działał od 12 września, ale dopiero 28 października Joanna Szczepkowska oznajmiła w telewizji: „Proszę państwa, 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm". I to wystąpienie, bardziej niż cokolwiek, stało się znakiem przełomu.

Czy dziś w telewizji publicznej usłyszymy słowa: „Proszę państwa, 15 października 2023 r. skończyła się Polska pisowska"? Charakter obecnego przełomu jest inny niż przed 34 laty. Wtedy zjednoczona „drużyna Wałęsy" wystąpiła przeciw rządom PZPR i w konsekwencji rządy te obaliła. Teraz nie doszło do zjednoczenia, ale celem wszystkich (nawet Konfederacji!) było obalenie władzy PiS. Jednak PiS, w przeciwieństwie do PZPR, nie miało na swym koncie żadnych prób demokratyzacji. A jego konfrontacyjny charakter dodatkowo dzisiaj utwierdza arogancka postawa prezydenta. Co z tego, że w roku 1989 zmiany też nie zaczęły się natychmiast. Misję tworzenia rządu otrzymał zrazu gen. Czesław Kiszczak – zatem przedstawiciel partii, które też „wygrały wybory". Ale gen. Kiszczak był architektem Okrągłego Stołu, a jego przełożony, gen. Wojciech Jaruzelski, od paru już lat wziął kurs na głębokie reformy. Zdemokratyzowana PZPR mogła bez większego trudu przekształcić się w SdRP i SLD, a prezydent Jaruzelski już wcześniej współdziałał z rządem Mazowieckiego i rozpiął nad nim parasol ochronny. Dziś – czy PiS zdemokratyzowane jest w ogóle możliwe? Przy największej nawet wyobraźni nie sposób ujrzeć ani prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ani dr. Andrzeja Dudy jako lojalnych partnerów rządu Donalda Tuska.

Dzisiejsza opozycja nie była zjednoczona, ale wspólnota celu to też rodzaj zjednoczenia. I tu zwraca uwagę – tak niegdyś w kręgach solidarnościowych wyszydzany – „historyczny kompromis". Rzeczywiście, dokonało się porozumienie między tym, co Aleksander Hall nazywał „Polską posierpniową", a tym, co nazywał „Polską postpeerelowską". Naturalnie można żartować, że takie porozumienie zaistniało już w PiS, jednak miało ono twarz Stanisława Piotrowicza, krzyczącego: „Precz z komuną!". Tymczasem w kompromisie roku 2023 nikt nie zaprzecza swoim korzeniom, nikt się ich nie wstydzi i nikt za nic nie przeprasza. To nowość, zwłaszcza że partie „historycznego kompromisu" były w III RP słabe – tylko Unia Pracy współtworzyła rząd Leszka Millera. Dziś jednak współtworząca rząd Tuska Nowa Lewica czyni to z ugrupowaniem postsolidarnościowym, którego lider jeszcze niedawno demonstrował ostry „antykomunizm". „Historyczny kompromis" wszedł zatem do głównego nurtu polskiej polityki. O 30 lat za późno, lecz jako wyrazista odpowiedź na ośmiolecie rządów PiS.

Przełom 2023 r. – to także frekwencja tych wyborów. W roku 1989 wyniosła ona 62%, teraz przekroczyła 74%. Nie sięga wprawdzie frekwencji wyborów w PRL, lecz wszyscy wiemy, że nie były one wolne. Ale nie sięga też frekwencji z II Rzeczypospolitej, z lat 20. XX w. – i o tym też należy pamiętać, by nie upoić się zachwytem. W każdym razie jest ta frekwencja wystarczająco wysoka, by można mówić o narodowym przebudzeniu.

Pierwszą konsekwencją tych wyborów będzie zapewne odrzucenie Katolickiego Państwa Narodu Polskiego.

Tyle faktów, a oto prognoza. Bo przecież pierwszą konsekwencją tych wyborów będzie zapewne odrzucenie Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Niech nikt mi nie mówi, że nigdy nie było takich pomysłów. Całe pisowskie ustawodawstwo, cała pisowska ideologia i pisowska propaganda służyły Kościołowi rzymskokatolickiemu, umacniały mit Polaka katolika, tworzyły z Rzeczypospolitej państwo wyznaniowe. Polska od lat się laicyzuje, jednak jak dotąd nie przekładało się to na politykę. Dopiero więc teraz za poparcie PiS, za – jak mówi Jarosław Makowski – zastąpienie Dobrej Nowiny dobrą zmianą, Kościół będzie musiał zapłacić. Wielu świeckich katolików przed takim scenariuszem przestrzegało, lecz rezultat powinien być teraz błogosławiony: powinien nastąpić powrót polskiego Kościoła do Ewangelii, a zarazem jego powrót do Europy. Bo Europa – rzadko o tym się pamięta – jest dla Polski starszą siostrą w wierze. Także obecna, laicyzująca się Europa.

Interregnum staje się więc naprawdę przełomem. I tylko od nas zależy, jak ten przełom będzie głęboki.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 257ab95923

Tożsamość w ukryciu, czyli ta niebezpieczna niemieckość

Mniejszość niemiecka po raz pierwszy od 1991 r. nie ma posła w polskim parlamencie. Ostatnie osiem lat było dla polskich Niemców trudne. Czy to początek nowego?

Beata Dżon-Ozimek

– Ten wynik wyborów to trochę znak czasu. Myślę, że dwie rzeczy się skumulowały. Obserwowaliśmy od lat rosnącą trudność w przekonywaniu, żeby ludzie głosowali na listę etniczną. To jak pozbawianie się możliwości uczestniczenia w dużej grze, bo ludzie mają swoje lewicowe, prawicowe czy centrowe poglądy, bliżej im np. do sił liberalnych itd. Do tego straszna polaryzacja podczas tych wyborów. Nawet nasi członkowie mówili, że głosując na opozycję, chronimy mniejszość, sugerowali, że ważniejsze było odsunięcie partii rządzącej od władzy. Musimy z tego wyciągnąć wnioski, dużo czasu nie mamy, bo wybory samorządowe tuż-tuż. Może to jest moment na to, żeby bardziej podkreślić nasz regionalizm, a mniej etniczność, żeby bardziej pokazać związek z regionem, a mniej tę konotację narodową – mówi Rafał Bartek, przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim i Związku Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Polsce, przewodniczący sejmiku opolskiego.

Ryszard Galla był posłem mniejszości niemieckiej przez pięć kadencji, od 2005 do 2023 r., podobnie długo posłował Henryk Kroll (1991-2007), inni pojawiali się zwykle na jedną kadencję. Galla reprezentował często głos wszystkich mniejszości nieobecnych w Sejmie i Senacie.

W dyskusji członków MN przewija się wątek, że to nie wina kampanii, że Niemcy mieli „fajną kampanię, fajnych ludzi na listach", po równo kobiet i mężczyzn, aktywne media społecznościowe. – Są głosy, że byliśmy za mało wyraziści, że zabrakło takich kandydatów, którzy byliby odpowiedzią na wystąpienia Janusza Kowalskiego, takich radykalnych, albo że sam poseł Ryszard Galla był zbyt mało widoczny w ostatnich kadencjach, zginął w tej przestrzeni polityki radykalnej i zabrakło komunikatu, dlaczego tam jest i czym się zajmuje – dodaje Bartek.

Ale pierwszy raz zdarzyło się, może przez ataki posła Kowalskiego i tę dyskryminację w dostępie do nauczania języka mniejszości, że partie głównego nurtu trochę się zainteresowały tematami mniejszościowymi. Bartek podkreśla, że szczególnie widać to było w Trzeciej Drodze, bardziej ze strony Polski 2050, ale PSL także: – Wypowiadali się na temat dyskryminacji na konferencjach, zabierali głos, z czym wcześniej raczej się nie spotykaliśmy w kampaniach. Siły demokratyczne dotąd zostawiały te tematy komitetowi mniejszości niemieckiej. Ten proces zaczął się od wyborów prezydenckich, kiedy Szymon Hołownia spotkał się ze środowiskiem mniejszościowym.

Mniejszość niemiecka zwraca uwagę, że w ostatnich latach nie była pokazywana w pozytywnym świetle w lokalnych mediach, głównie w tzw. publicznych, już nie wspominając o nagonce w mediach centralnych na Niemcy, Niemców i Donalda Tuska. – W TVP 3 Opole były w większości krytyczne materiały, a pozytywne wydarzenia były puentowane: „W Niemczech Polacy tego nie mają" – wskazuje Rafał Bartek. Mniej krytyczny jest wobec Radia Opole.

Ostatnie lata nie były łatwe

– Teraz jakoś zachciało mi się żyć i działać, tylko się obawiam, ile oni tam jeszcze narobią w polityce i w gospodarce – mówi Róża Zgorzelska z Biedrzychowic, która kandydowała do Sejmu z listy Komitetu Wyborczego Wyborców Mniejszość Niemiecka po raz pierwszy. Jest działaczką społeczną, opiekunką i założycielką Muzeum Farska Stodoła, miejsca otwartego dla wszystkich.

> W ostatnich kilku latach, chociaż nie jestem strachliwa, czasami się zastanawiałam, czy mam coś powiedzieć publicznie.

Od trzech dekad radną gminy Głogówek, współautorką książek, regionalistką, propagatorką kultury śląskiej i niemieckiej, ale przede wszystkim wielokulturowości. Kandydowała z nr. 13, wierzy nie w zabobony, ale w pracę i działanie. – Nie żałuję tej decyzji, jestem z niej dumna, nawet jeśli niektórzy się wyśmiewali: „Co tam stara jeszcze kandyduje". To nie jest tylko decyzja jednego człowieka, jak ma się rodzinę. Rozmawialiśmy, synowie pytali: „Matko, trzeba ci tego, żebyś gdzieś po płotach wisiała, że będą sobie naszym nazwiskiem gębę wycierać?", choć od lat jestem w lokalnej polityce. Oni są świadomi, ile to kosztuje emocji,

eprasa.pl 257ab95923

Rafał Bartek uważa, że o przegranej kandydata Mniejszości Niemieckiej zadecydowała polaryzacja podczas ostatnich wyborów. Bogna Lewkowicz dodaje, że MN nie szukała sprzymierzeńców w polskiej większości.

oznacza utratę spokoju, a to wszystko wpływa też na zdrowie człowieka; martwili się. Odważyłam się, to wielkie doświadczenie i nie żałuję, człowiek w tej kampanii miał okazję się wykazać, poznać stosunek wielu ludzi do mojej osoby – uśmiecha się społeczniczka.

Te ostatnie lata dla wielu polskich Niemców nie były łatwe. – Atmosfera była straszna przed wyborami, ale po wyborach jest jeszcze gorzej. Nie potrafię tego zaakceptować i mam nadzieję, że wielu innych ludzi też, bo już zbudowaliśmy jakąś wspólnotę europejską, a jeden człowiek czy kilku ludzi z jego otoczenia robi naprawdę niedobrą robotę. Manipulują ludźmi, którzy nie oglądają innych telewizji, nie czytają innych gazet, tylko propisowskie. Mniejszości niemieckiej i działaczom społecznym takim jak ja żyło się nie najprościej. Mam nadzieję, że znowu będziemy mogli bardziej otwarcie przyznawać się do swojej tożsamości i czuć się bezpieczniej w tym kraju, bo w ostatnich kilku latach, chociaż nie jestem strachliwa, czasami się zastanawiałam, czy mam coś powiedzieć publicznie – przyznaje Zgorzelska.

„Mili" Polacy na różnych forach czy w lokalnych mediach pisali: „Do Bundestagu niech startują szwaby", „Zdelegalizować ten wytwór" itd. Zgorzelska urodziła się w Polsce, ma obywatelstwo polskie, ale jest przede wszystkim Europejką, Ślązaczką o niemieckich korzeniach: – Po transformacji bardzo się cieszyłam z tego, że nareszcie mogę głośno wyrazić to, kim jestem, a w ostatnich latach naprawdę zastanawiałam się, czy jeszcze mogę to powiedzieć głośno. Do tego te straszne słowa z ust prezesa, posła Kaczyńskiego, bardzo obraźliwe, uwłaczające godności człowieka. Nigdy nie użyłabym takich słów, wyrażając się o kimś, kto myśli, czuje inaczej. Dlatego uważam, że tylko zły człowiek może tak się zachować i tak mówić do człowieka. To dowód, że dobro albo zło człowieka nie zależy od narodowości.

Polka z większości w mniejszości

Dr n. med. Bogna Lewkowicz z Prudnika była cztery lata temu kandydatką do Sejmu z listy opolskiej mniejszości niemieckiej: – Także w tych wyborach parlamentarnych otrzymałam propozycję kandydowania, bardzo żałuję, że nie mogłam jej przyjąć ze względów osobistych. Byłabym tylko twarzą na plakatach i w kampanii, to byłoby nieuczciwe; musiałam odmówić. Cieszę się, że znowu znalazło się dla mnie miejsce na tej liście, i to dla mnie znaczące, że dostałam tę propozycję od przewodniczącego opolskiej MN i od pana posła Ryszarda Galli już w lutym tego roku, nie byłam kandydatem ostatniej chwili i bardzo to doceniam.

Dr Lewkowicz publicznie wspierała kampanię MN, jest tzw. członkiem wspierającym, czyli takim, który nie ma niemieckiego pochodzenia; swoistym pomostem między polską większością a niemiecką mniejszością: – Jestem sympatykiem, tak to odbieram, w rodzinie wspólnie na to się zdecydowaliśmy, mój mąż również ma taki status. Sprzyjamy, współdziałamy, łączymy obydwa środowiska.

Odchodząca partia rządząca zarezerwowała dla Niemców wrogą, obraźliwą retorykę. Ograniczyła dostęp do przyjętego wspólnie z mniejszościami w Polsce nauczania języka mniejszości. Minister Czarnek, z inspiracji Janusza Kowalskiego, 48 tys. dzieci obciął lekcje języka niemieckiego z trzech godzin tygodniowo do godziny.

– Dla tych ludzi to musiało być ogromnie trudne, a ja czułam przede wszystkim wstyd za to, że można kogoś uznawać za gorszego lub lepszego obywatela tego państwa. W Nowym Jorku ludność posługuje się ok. 190 językami, natomiast w Polsce, która przecież nie ma tylu mniejszości, jedynie używanie języka niemieckiego wzbudziło emocje. Dla mnie to skandal i bezprawie. Dlatego naturalną reakcją była ich alienacja, zamykanie się, bo jeżeli czujemy się atakowani, to się kulimy, chowamy. Wynik wyborczy, to, że mniejszość niemiecka straciła jedynego posła, jest skutkiem także tych ataków – uważa Bogna Lewkowicz.

Nie do końca zgadza się z tezą, że powodem małej liczby otrzymanych głosów jest tylko polaryzacja i wybór między KO i PiS, bez uwzględnienia mniejszych partii. – W mojej opinii mniejszość niemiecka zrobiła błąd, ponieważ w społeczeństwie, które nie jest monokulturowe, bo nie ma „czystej krwi" polskiej czy niemieckiej, nie można kierować przekazu wyłącznie do Niemców, żyjących często w mieszanych rodzinach. Jeżeli mamy małżeństwo

eprasa.pl 257ab95923

Polki i Niemca i mniejszość niemiecka przemawia tylko do strony niemieckiej tego związku, to nie jest dobra droga, to pozbawianie się sympatyków, hermetyzowanie się. Jeżeli się wyalienowali przez te lata, bo byli atakowani przez rząd i sympatyków PiS, nie szukali sprzymierzeńców w większości polskiej, to też miało przełożenie na wybory. Nie dostali głosów Polaków i także dlatego nie mają posła – zaznacza otwarcie dr Lewkowicz.

Liczebność mniejszości niemieckiej maleje w kolejnych spisach powszechnych, społeczeństwo miesza się narodowościowo (patrz ramka – przyp. aut.). – Już to było sygnałem, że należy coś zrobić, zmienić. Teraz jest ogromna szansa na przeorganizowanie polityki i wydaje mi się, że ruch należy teraz do mniejszości niemieckiej. Do świata polityki można wrócić, przykładem jest lewica – dodaje.

Dzieci śpiewają „Rotę". Nie chcą, by im pluto w twarz

Tomasz Kandziora, samorządowiec (wójt gminy Reńska Wieś) i działacz MN, przyznaje, że te ostatnie osiem lat lokalnej nagonki na mniejszość niemiecką i zohydzanie Niemców Polakom na poziomie centralnym odcisnęło piętno na życiu społeczności: – Te nieuzasadnione nastroje antyniemieckie udzielają się jakieś części społeczeństwa i my to czujemy. Część ludzi trochę z lęku, trochę z asekuracji tę swoją tożsamość chowa, przenosi do sfery bardzo prywatnej. Również jako samorząd odczuliśmy tę niechęć, chociażby przy podziale wszelakich funduszy czy poprzez obcięcie subwencji oświatowej związanej z nauką języka niemieckiego. To obcięcie tylko mniejszości niemieckiej liczby godzin nauki języka z trzech do jednej to jawna dyskryminacja naszych dzieci i samorządów. To olbrzymia rysa na dotychczas bardzo poprawnych relacjach polsko-niemieckich, jak i relacjach większość-mniejszość.

Rafał Bartek: – To także powoduje, że procesy asymilacyjno-polonizacyjne przebiegają szybciej. Ludzie na powrót zamykają się w swoich skorupach, nie przyznają otwarcie do narodowości. Odchodzą od swojej niemieckości jak od czegoś, co może stwarzać potencjalny problem dla nich, ich dzieci, czyli rezygnują świadomie ze swojej tożsamości w szybszym tempie, niż odbywałoby się to normalnie. To również kwestia nasilonych postaw edukacyjnych zmierzających do rugowania tożsamości innej niż tylko polska np. w szkołach. I nie chodzi jedynie o wypowiedzi czy decyzje ministra Czarnka. Co z dziećmi, którym nagle na nowo każe się śpiewać „Rotę" w święta państwowe, nie pomijając trzeciej zwrotki? Jak ma się czuć dziecko z niemieckiego środowiska mniejszościowego? Powie: „Ja nie jestem tą mniejszością, nie musicie pluć mi w twarz". To są rzeczy, które się dzieją podskórnie, podprogowo. Była budowana jakaś otwartość, klimat, choć nie było idealnie, żebyśmy nie rysowali takiego obrazu sytuacji sprzed ośmiu lat, bo i za rządów PO postulowaliśmy wiele konstruktywnych zmian w ustawodawstwie i one też nie następowały, np. w edukacji.

Wielu rodziców ze środowiska mniejszości martwi się o swoje dzieci, bo po covidzie, problemach z nadmiarem obowiązków szkolnych, ideologizowaniu szkoły i niedomogach czarnkowej edukacji teraz dochodzi dyskryminacja narodowościowa. – Ja tak po ludzku oczekuję zmiany. Jako człowiek i ojciec dwóch chłopców w wieku szkolnym, którym polski rząd powiedział, że są obywatelami drugiej kategorii i nie mają tych samych praw, co ich koledzy w Sejnach (Litwini), Białymstoku (Białorusini) czy na Kaszubach. Mam bardzo mądrych i świadomych synów i naprawdę musiałem im tłumaczyć, jak to jest, że państwo polskie zabiera im godziny nauki, a innym nie. Że tak ich „wyróżnia" – mówi Kandziora. Ma nadzieję, że zmiana władzy przyniesie odwrócenie dyskryminacyjnych posunięć rządu w zakresie nauki języka niemieckiego i że zniknie ta nagonka na „złego Niemca" w mediach rządowych. Społeczność MN liczy na to, że parlamentarzyści Koalicji Obywatelskiej czy Trzeciej Drogi z regionu spełnią swoje obietnice.

Nie ma jak w Danii

Trudno polskim Niemcom nie mieć uwag do państwa polskiego, jeśli znają warunki stwarzane mniejszościom w innych krajach europejskich. Przewodniczący Rafał Bartek: – Słyszę od przyjaciół z innych mniejszości czy niemieckiej na Węgrzech, w Rumunii lub w Danii, że tam państwa tworzą instrumenty jasno pokazujące: chwalimy sobie, że jesteście mniejszością, bo nas jako państwo to wyróżnia. A my mamy odwrotną sytuację, w ostatnich latach państwo mówiło nachalnie, a wcześniej też sugerowało, że jednak lepiej nie być mniejszością. Nie będę wracał do wypowiedzi prezesa Kaczyńskiego, jak widzi rolę mniejszości, ale wszystko to potem Janusz Kowalski realizował. Jeśli „żołnierze monopartyjności" w pewnym momencie zaczynają wchodzić w te buty, żeby się przypodobać liderowi, to jest rzecz niebezpieczna. To się nie skończyło, bo mamy do czynienia z siłą obecnie opozycyjną, która nie jest mała i która pewnie będzie się szykować do kolejnych wyborów. Możemy mieć tylko nadzieję na mądrą politykę, która będzie się wzorowała na rozwiązaniach europejskich w kontekście mniejszościowym. Myślę choćby o przykładzie duńskim – państwie, które jest dumne narodowo, a jest wzorcem na skalę europejską w tej

CORAZ MNIEJSZA MNIEJSZOŚĆ

GUS podaje, że przynależność do narodowości niemieckiej według spisu w 2021 r. zadeklarowało w Polsce 144 177 osób. Na terenie województwa opolskiego – 59 911, co jest liczbą mniejszą o ok. 20 tys. w stosunku do spisu z roku 2011, ale to tu mieszka 41,6% wszystkich Niemców w Polsce. W województwie śląskim mieszka 19,4%, w dolnośląskim 6,2%, w pomorskim 4,9% i w wielkopolskim 4,4%. Ogólnopolski wynik mniejszości niemieckiej jest niższy o ok. 4 tys. w stosunku do spisu z 2011 r.

eprasa.pl 257ab95923

Kandydaci Mniejszości Niemieckiej z województwa opolskiego. Żaden nie uzyskał mandatu.

kwestii. Choć przyznaję, nie ma tam tablic dwujęzycznych.

Pomysły na przyszłość

W rozmowach z niemieckimi politykami różnych opcji pada stwierdzenie, że przy całych nadziejach związanych z wynikami polskich wyborów rząd niemiecki musi być ostrożny w kwestiach bilateralnych ze względu na przypisywanie niemieckości Tuskowi. Jakieś szybkie spotkania, decyzje strony niemieckiej mogłyby zdaniem niektórych polityków okazać się niedźwiedzią przysługą, potwierdzeniem tego „sterowania z Berlina". – Apelowałem o to, żeby z drugiej strony nie byli bierni, bo uważam, szczególnie my tu jako województwo opolskie jesteśmy najlepszym przykładem, że poprzez pracę u podstaw potrafiliśmy zadbać o stosunki polsko-niemieckie i nikt nam nie był w stanie wmówić, że Niemcy są tylko wrogami. Na poziomie regionalnym intensywnie rozmawiamy, współrządzimy, spotykamy się, organizujemy wiele wydarzeń, ale w zmieniających się czasach czujemy, że w różnych sferach życia ludzie mniej się angażują, także społecznie. Potrzebne są nowe instrumenty. Mówimy o tym zresztą w pismach, które wysłałem do niektórych polityków, podsumowując wybory, że to może dobry moment, aby stworzyć nowy instrument wsparcia współpracy społeczeństw polskich i niemieckich. Taki fundusz, będący trochę gwarantem rozwoju obywatelskiego, jaki od kilku lat funkcjonuje dla Niemiec i Francji, o bardzo prostej formule, gdzie pieniądze idą za inicjatywą, bez potrzeby tworzenia organizacji – proponuje Rafał Bartek.

Bogna Lewkowicz, sympatyczka mniejszości niemieckiej z Prudnika, podejmuje wspólnie z mniejszością takie inicjatywy jak Konkurs Poezji Josepha von Eichendorffa czy kwesta na prudnickim cmentarzu na odnowienie grobu dawnego niemieckiego burmistrza miasta, wówczas Neustadt. – Robimy to z większością polską i mamy sukces, wystarczy się otworzyć, poszerzyć czasem formułę, by np. polskie dzieci władające językiem niemieckim mogły wziąć udział w konkursie – podkreśla tę konieczność „odhermetyzowania się" mniejszości. I wydaje się, że nie ona jedna tak uważa.

– Teraz cieszymy się zwycięstwem, ale z perspektywy mniejszości mamy nadzieję, wierzymy, że to nie same slogany i obietnice. Trzeba coś zrobić na przyszłość, stworzyć właściwą platformę do reprezentacji politycznej środowiska śląsko-niemieckiego – uważa Rafał Bartek. – A ja oczekiwałam i oczekuję od rządzących, wysoko postawionych polityków, że skoro jesteśmy w tej Europie, to szanujmy się nawzajem. Tylu ludzi pracowało, szczególnie my, tu, na dole, społecznicy, na rzecz wzajemnego zrozumienia i szacunku, realizując różne wielokulturowe, wielopokoleniowe projekty kulturalne, otwarte dla wszystkich. Trzeba ludzi łączyć, a nie dzielić. Martwi mnie tylko, że również w samorządach są ludzie skażeni bakcylem poglądów PiS – Róża Zgorzelska liczy nie na wielkie przywileje, ale na normalność.

Jeden z tych „okropnych Niemców"

Dr Matthias Kneip, miłośnik Polski, poeta, pisarz, pracownik Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt: – Mogę tylko się uśmiechnąć na polityczną propagandę jednej partii, że wszyscy Niemcy to naziści w przebraniu lub że Niemcy wpływają na polską politykę. Tak wielu Polaków uczy się niemieckiego, ma przyjaciół i krewnych w Niemczech i współpracuje z niemieckimi firmami, że wiedzą więcej niż politycy, którzy siedzą w domu i rozpowszechniają swoje fantazje za pośrednictwem kupionych mediów. Wierzą w nie wyłącznie ci, którzy nie są zainteresowani kształtowaniem własnego obrazu Niemiec.

Kneip, z rodziny niemieckiej o śląskich korzeniach, nie zamierza ukrywać swojej tożsamości i z niesłabnącą miłością wraca do Polski.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM TSKN NA ŚLĄSKU OPOLSKIM (2)

eprasa.pl 257ab95923

Giulia Cecchettin miała 22 lata. Była 102. kobietą zamordowaną w tym roku we Włoszech.

KOBIETOBÓJSTWO

Co trzeci dzień we Włoszech ginie kobieta

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Giulia Cecchettin miała 22 lata. Była 102. kobietą zamordowaną w tym roku we Włoszech. Jej były narzeczony i rówieśnik Filippo Turetta zadał jej 26 pchnięć nożem. Umierała przez długie 22 minuty.

•

W sobotni wieczór 11 listopada Giulia i Filippo wybrali się do McDonalda w centrum handlowym w Margherze, ok. 30 km od miasteczka Vigonovo, gdzie Giulia mieszkała z ojcem i bratem. Filippo przyjechał po nią czarnym fiatem punto i około godz. 11 wieczorem miał ją odwieźć do domu. Jednak na parkingu, który znajduje się 150 m od domu dziewczyny, doszło do kłótni. Scenę widział świadek, który wyjrzał przez okno, słysząc kobiecy krzyk: „Ranisz mnie!" i błagania o pomoc. Zobaczył, jak napastnik kopie leżącą na ziemi kobietę. Zadzwonił na policję, ale patrol był zajęty. Samochód odjechał, a świadkowi nie udało się zobaczyć tablic rejestracyjnych. Kilka dni później, gdy szukano Giulii i Filippa, jeszcze z przeświadczeniem, że młodym coś się stało lub uciekli razem, policja znalazła na parkingu ślady krwi, 21-centymetrowy nóż kuchenny bez rękojeści oraz odcisk buta. To był pierwszy niepokojący sygnał.

Następnym okazało się nagranie z kamery systemu nadzoru zakładów Christiana Diora i Speedlogistik w przemysłowej dzielnicy miejscowości Fossò w prowincji Wenecja. O godz. 23.40 zarejestrowała ona sylwetkę uciekającej osoby, którą ktoś dogonił i rzucił na ziemię. Napastnik przeciągnął ofiarę po chodniku, wychodząc poza kadr. Wkrótce ponownie w nim się pojawił, zatrzymując czarne punto, ładując do samochodu ciało i szybko odjeżdżając. Policja znalazła tam krew, włosy i srebrną taśmę, której Turetta użył do kneblowania. Śledczy podejrzewają, że właśnie w tym miejscu były narzeczony zadawał dziewczynie rany drugim nożem.

Zwłoki Giulii Cecchettin znaleziono tydzień później pomiędzy Piancavallo a jeziorem Barcis w Prealpach Friulskich. Leżały zwinięte, ukryte pod czarnymi, plastikowymi workami w skalistym wąwozie, 10 m poniżej drogi. Lekarz sądowy podczas oględzin ciała stwierdził 26 ran kłutych na twarzy, szyi, ramionach, nogach… Bezpośrednią przyczyną śmierci był wstrząs krwotoczny.

Filippa Turettę aresztowano dzień później w Niemczech, niedaleko Lipska. Jego samochód stał, chłopak nie mógł dalej uciekać, gdyż skończyły mu się paliwo i pieniądze. Po tygodniowym pobycie w niemieckim areszcie został ekstradowany do Włoch. Niemieckiej policji wyznał, że próbował odebrać sobie życie, ale zabrakło mu odwagi. We Włoszech oskarża się go o zabójstwo

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

z premedytacją i szczególnym okrucieństwem. Śledczy odkryli, że już tydzień przed morderstwem Turetta zakupił przez internet taśmę, której użył do zakneblowania ofiary, zaopatrzył się w „zestaw przetrwania" na czas ucieczki i najprawdopodobniej dokonał oględzin miejsca, w którym zabił Giulię. Młodemu kobietobójcy grozi dożywocie. W sierpniu dziewczyna rozstała się z nim, a on tego nie zaakceptował i ją zabił.

Giulia i inne

25 listopada, akurat gdy Turettę przekazano Włochom, przypada Międzynarodowy Dzień Eliminacji Przemocy wobec Kobiet, ustanowiony przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych rezolucją nr 54/134 z 7 lutego 2000 r. We Włoszech z roku na rok data 25 listopada nabiera coraz większego znaczenia. W wielu miejscach pojawiają się czerwone ławki i buty symbolizujące pamięć o ofiarach, oświetla się monumenty i siedziby instytucji na czerwono, odbywają się manifestacje i debaty. Potem jednak wszystko wraca do normy… i co trzy dni z rąk mężczyzny – najczęściej męża, towarzysza życia, narzeczonego lub byłego partnera, albo ojca, syna, zięcia – ginie jakaś kobieta.

Giulia Donato (l. 23) – zabita 3 stycznia w Genui przez narzeczonego, ochroniarza, z pistoletu służbowego; Santa Castorina (l. 49) – zabita 11 lutego wraz z przyjaciółką Meliną Marino na ulicy w miasteczku Riposto w prowincji Katania przez byłego partnera; Sigrid Gröber (l. 39) – zmarła 19 lutego w Merano na skutek pobicia przez męża; Maria Febronia Buttò (l. 61) – 10 marca w miejscowości Gioiosa Marea w prowincji Messyna, pchnięta nożem przez męża; Petronilla De Santis (l. 45) – 10 marca w Foggii, zadźgana nożem przez męża; Danjela Neza (l. 27) – 6 maja w Savonie, zastrzelona podczas kłótni przez byłego partnera z nielegalnie posiadanego pistoletu; Bruna dos Santos (l. 36) – 26 maja w Rimini wypadła półnaga z balkonu; Adela G. Lingurar (l. 32) – zabita 28 czerwca w Caltanissetcie przez partnera, bo zgłosiła policji przemoc domową; Anna Elisa Fontana (l. 48) – zmarła 25 września na wyspie Pantelleria, po tym jak partner oblał ją benzyną i podpalił… To tylko niektóre ofiary upamiętnione na rozkładówce przez włoski dziennik „La Repubblica". Po Giulii Cecchettin w listopadzie zostały zabite jeszcze kolejne kobiety. Łącznie 105 zabójstw na tle płci od początku roku. Od gospodarczo rozwiniętej północy kraju po bardziej zacofane południe, bez większej różnicy, ofiarą kobietobójstwa padają zarówno Włoszki, jak i coraz częściej kobiety z innych krajów; młode i starsze. Zabójcami są zarówno Włosi, jak i obcokrajowcy. Kobietobójstwa są na porządku dziennym.

Ośrodki i stowarzyszenia niosące pomoc ofiarom przemocy na tle płciowym alarmują, że choć wydatki na walkę z nią wzrosły o 150%, problem nie maleje. W 2014 r., kiedy rozpoczęto prowadzenie statystyk rocznych, we Włoszech doszło do 119 kobietobójstw, a w 2022 r. do 124. Z raportu przygotowanego po zabójstwie Giulii Cecchettin przez Biuro Analiz Kryminalnych Centralnej Dyrekcji Policji Kryminalnej i podanego do wiadomości publicznej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wynikało, że w 2023 r. we Włoszech popełniono 285 morderstw. 102 ofiar to kobiety (po zabójstwie Giulii zginęły jeszcze trzy), z czego 82 zostały zamordowane w kontekście rodzinnym lub emocjonalnym. Spośród nich, jak podkreślała analiza MSW, 53 zginęły z rąk partnera lub byłego partnera. .

2,8 mln kobiet (13,6%) doświadczyło przemocy fizycznej lub seksualnej ze strony partnera lub byłego partnera. Większość kobiet, które miały w przeszłości agresywnego partnera, opuściła go z powodu doznanej przemocy (68,6%). Dla 41,7% był to główny powód zerwania związku, dla 26,8% – ważny element decyzji. Jednak, co pokazują statystyki, osiem na dziesięć kobiet w ogóle nie zgłasza przemocy domowej ze strachu przed zemstą.

Jednym z przestępstw będących oznaką przemocy na tle płciowym jest stalking. We Włoszech doświadczyło go przynajmniej 10,3% kobiet, czyli ok. 2,229 mln. Większość kobiet, które szukały ratunku przed stalkerem lub przemocowym partnerem, nie uzyskała pomocy w porę.

Kobietobójstwo – zbrodnia nienawiści szeroko definiowana jako „celowe zabijanie kobiet lub dziewcząt, ze względu na ich płeć", choć definicje różnią się w zależności od kontekstu kulturowego. Zabójstwa na tle płciowym są najbardziej brutalnym i skrajnym przejawem przemocy wobec kobiet i dziewcząt. Mogą być motywowane stereotypowymi rolami płciowymi, dyskryminacją kobiet i dziewcząt, nierównymi stosunkami władzy między kobietami i mężczyznami lub szkodliwymi normami społecznymi.

W 2022 r. ok. 48,8 tys. kobiet i dziewcząt na całym świecie zostało zabitych przez partnerów lub innych członków rodziny (w tym ojców, matki, wujków i rodzeństwo). Oznacza to, że każdego dnia średnio 133 kobiety i dziewczęta są zabijane przez kogoś z ich najbliższych. Sprawcami zabójstw są głównie obecni i byli partnerzy, odpowiadający za średnio 55% wszystkich kobietobójstw. Według raportu ONZ w 2022 r. odnotowano szacunkowo 20 tys. ofiar w Afryce, 18,4 tys. w Azji, 7,9 tys. w obu Amerykach, 2,3 tys. w Europie i 200 w Oceanii. W Polsce według szacunków Centrum Praw Kobiet z powodu przemocy domowej ginie rocznie 400-500 kobiet.

Coś wreszcie pękło

„Filippa Turettę często nazywa się potworem, ale on potworem nie jest. Potwory nie są chore, są zdrowymi dziećmi patriarchatu, kultury gwałtu. Zabójstwo kobiet jest morderstwem państwowym, ponieważ państwo nas nie chroni", napisała Elena Cecchettin, siostra zamordowanej Giulii, w liście do dziennika „Corriere della Sera". „Kultura gwałtu legitymizuje wszelkie zachowania, które szkodzą kobietom, zaczynając od rzeczy, którym czasem nawet nie przypisuje się znaczenia, ale które z pewnością mają znaczenie,

eprasa.pl 257ab95923

jak kontrola, zaborczość, *catcalling* (wulgarne zaczepki, komentarze seksistowskie – przyp. aut.). Ta kultura uprzywilejowuje każdego mężczyznę", podkreśliła. List wywołał polemikę i szowinistyczne ataki w mediach społecznościowych, bo Elena Cecchettin trafiła w sedno. We włoskim społeczeństwie po raz pierwszy coś pękło. Może ze względu na młody wiek zabójcy i ofiary, co najmłodszemu pokoleniu pozwoliło utożsamić się z tragedią, a jednocześnie stało się potężnym ostrzeżeniem dla wszystkich rodziców.

„Nie wystarczy już chwila milczenia nad kolejną ofiarą kobietobójstwa, musimy wreszcie zmusić wszystkich, by nas usłyszeli! Przynieście to, czym można robić hałas!" – od tych słów, po odnalezieniu ciała Giulii, zaczął się pierwszy głośny marsz we Florencji. Kobiety biorące w nim udział przyniosły przedmioty, którymi zaczęły hałasować, a przede wszystkim pęki kluczy będące symbolem cichej przemocy domowej. Głośne marsze przeszły przez całe Włochy.

22 listopada 2023 r. senat ostatecznie zatwierdził nowy projekt ustawy o zwalczaniu przemocy wobec kobiet, który kilka miesięcy temu przedstawiła minister ds. rodziny i równych szans Eugenia Roccella, a który izba niższa przyjęła już w październiku. Zaostrza on przepisy z 2019 r., kiedy to wprowadzono m.in. przestępstwo zemsty pornograficznej (*revenge porn* – praktyka rozpowszechniania prywatnych zdjęć i filmów bez zgody zainteresowanej osoby – przyp. aut.) oraz tzw. czerwony kod, który zobowiązuje policję do natychmiastowej interwencji. Po raz pierwszy we Włoszech projekt ustawy został zatwierdzony jednomyślnie, a więc także głosami partii opozycyjnych, przez 157 obecnych senatorów. Prawicowy rząd Giorgii Meloni postanowił walczyć z kobietobójstwem poprzez zaostrzenie kar za przestępstwa, również takie, które są oznakami przemocy na tle płciowym, czyli: pobicia, obrażenia ciała, poważne groźby, akty prześladowania, nielegalne upowszechnianie zdjęć lub filmów o charakterze jednoznacznie seksualnym, stalking.

Zostało wprowadzone „upomnienie przez komisarza policji", na mocy którego policja może odebrać legalnie posiadaną broń i rozpocząć postępowanie bez konieczności wnoszenia pozwu przez kobietę. Skrócono do 30 dni czas podejmowania przez sąd decyzji w przypadku przestępstw na tle płciowym. Sędzia może też orzec zakaz zbliżania się do miejsc, w których zwykle przebywa ofiara, z obowiązkiem zachowania odległości co najmniej 500 m. Obowiązek ten można egzekwować także za pomocą bransoletki elektronicznej. Oskarżonego o przemoc lub stalking będzie można aresztować również na podstawie dowodów przedstawionych na filmach, zdjęciach lub innego rodzaju dokumentacji (np. czat lub dane z GPS).

13,6% kobiet (2,8 mln) doświadczyło przemocy fizycznej lub seksualnej ze strony partnera lub byłego partnera.

Ustawa uchwalona w trybie pilnym pod presją opinii publicznej budzi wątpliwości i krytykę ze strony ruchów feministycznych oraz ośrodków przeciwdziałania przemocy, które od dawna zwracały się do rządu o rozwiązanie problemu w sposób bardziej strukturalny i mniej nadzwyczajny. Zdaniem ich przedstawicielek kobietobójstwo jest efektem kultury patriarchalnej od wieków zakorzenionej we Włoszech. Nie wystarczy zaostrzenie kar. Potrzebna jest prewencja i zmiana wzorca kulturowego.

Dziennikarka Lilli Gruber w swoim programie „Otto e mezzo" (od godziny nadawania, 20.30 – przyp. aut.), dyskutując z gośćmi o tragedii Giulii Cecchettin, stwierdziła, że sama premier jest „wyrazem kultury patriarchalnej". Meloni odpowiedziała na ten zarzut w mediach społecznościowych: „Nie wiem, jak niektórzy ludzie znajdują odwagę, aby wykorzystać nawet najstraszniejsze tragedie do ataku na rząd. Teraz nowa dziwna teza, którą popiera Gruber, głosi, że jestem wyrazem kultury patriarchalnej. Naprawdę brak mi słów".

Manifestacja w Rzymie

„Jest nas 500 tys., dla Giulii i dla nas wszystkich!", krzyczały kobiety, które 25 listopada przybyły na manifestację do Rzymu. Było też wielu mężczyzn. Pęki kluczy dzwoniły, skandowano hasła: „Nie chcemy bać się wychodzić z domów!". „Ten hałas jest życiem, gniewem, głosem tych, które go już nie mają, przeciwko ciszy, która jest rezygnacją i śmiercią", mówiły organizatorki marszu, który z Circus Maximus przeszedł przez Rzym. Manifestację z okazji Międzynarodowego Dnia Eliminacji Przemocy wobec Kobiet zainicjowała organizacja kobieca Non una di meno (Ani jednej mniej – przyp. aut.). Podczas marszu doszło do przepychanek przed siedzibą organizacji anti-choice, interweniowała policja. Dwie działaczki feministyczne zostały ranne.

W rzymskim marszu wzięli udział tylko politycy lewicy: Elly Schlein, Giuseppe Conte oraz lider związków zawodowych Maurizio Landini. Organizatorki zadedykowały go palestyńskim kobietom z Gazy, nie wspominając o izraelskich ofiarach ataku Hamasu. Z tego powodu inni liderzy zrezygnowali z udziału. I tak przemoc wobec kobiet stała się znów sprawą feministek i radykalnej lewicy. Podobne, choć mniejsze manifestacje odbyły się w wielu miastach. W Mediolanie zgromadziło się 30 tys. osób.

Prawicowa premier Giorgia Meloni na fasadzie siedziby rządu, podświetlonej na czerwono, kazała także wyświetlić numer telefonu 1522. „Jesteśmy tu, aby powiedzieć Włoszkom, że nie są same. To numer, pod który możesz zadzwonić w każdej chwili, jeśli się boisz, a po drugiej stronie znajdziesz osobę, która może ci pomóc. Te, które się boją, powinny wiedzieć, że nie są same – mówiła przed pałacem Chigi. – Jesteśmy wolne i nikt nie może nam tej wolności odebrać, nikt nie może myśleć, że jesteśmy jego własnością".

Czy po zabójstwie Giulii Cecchettin coś się zmieni? Pokażą to statystyki.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 257ab95923

Rishi Sunak próbował uzasadniać reanimację Davida Camerona jego dawnymi sukcesami.

WYSPA TONIE

Dymisje i nominacje bez sensu, widmo przyśpieszonych wyborów, czkawka po brexicie. Torysi nie mają już nawet brzytwy, której mogliby się chwycić

Mateusz Mazzini

Pod koniec listopada z wizytą w Londynie przebywał premier Grecji Kiriakos Mitsotakis. Przyjechał co prawda na zaproszenie banku inwestycyjnego Morgan Stanley, a nie brytyjskiego rządu, ale chciał skorzystać z okazji i spotkać się z Rishim Sunakiem, co wydawało się niegroźnym pomysłem. Relacje między ich krajami są dobre, obaj politycy wywodzą się z wyraźnie prawicowych środowisk, łączy ich nawet coś na kształt wspólnoty problemów, bo od kilku tygodni tematem numer 1 w Wielkiej Brytanii jest potężniejący napływ migrantów, a z tym Grecja zmaga się od prawie dekady. Teoretycznie była to więc szansa na wymianę komplementów i zapozowanie do kilku zdjęć.

Nic z tego jednak, bo choć sztab Mitsotakisa umówił mu spotkanie na 10 Downing Street, a Sunak je zaakceptował, to dość gwałtownie dzień przed wszystko odwołał. Vincent McAviney, komentator polityczny stacji BBC i radia Monocle, przyznał, że nie jest w stanie sobie przypomnieć podobnej sytuacji, kiedy szef rządu obcego państwa jest wykreślany z kalendarza brytyjskiego premiera w ostatnich chwili, bez podania przyczyny. Gazety na Wyspach przez chwilę spekulowały, że Sunak przestraszył się konfrontacji w sprawie marmurów Elgina, partenońskich rzeźb wywiezionych z Aten przez Brytyjczyków w XIX w., obecnie wystawianych w British Museum. Grecy od lat domagają się ich zwrotu. Czy Mitsotakis naprawdę przyjechał wykłócać się w cztery oczy o antyki? Nie dowiemy się nigdy.

Kryzys przywództwa się nasila

Nie to jednak jest w tej historii ważne, ale fakt, że bezprecedensowy we współczesnej historii brytyjskiej dyplomacji afront przeszedł kompletnie bez echa. Jeszcze kilkanaście, może nawet kilka lat temu pryncypialni w kwestiach protokołu Brytyjczycy rozdarliby na strzępy premiera, który strzela fochy albo unika rozmowy na newralgiczne tematy. Dziś nikogo to nie obchodzi, a raczej nie za to opinia publiczna chce Sunaka ukrzyżować. Lista problemów i zagrożeń dla dalszego sprawowania władzy jest tak długa, że odprawienie z kwitkiem greckiego premiera nawet się na niej nie mieści.

Zacznijmy od sondaży. Te oczywiście są dla Wielkiej Brytanii mniej reprezentatywne niż dla innych państw, bo na Wyspach głosuje się w okręgach jednomandatowych, więc monitorowanie poparcia na poziomie całego kraju daje ograniczony obraz rzeczywistości. Ale i tak pozostaje cenną wskazówką co do ogólnych trendów. Według agregatu sondażowego portalu Politico Partia Pracy ma w tej chwili 44% poparcia, podczas gdy torysi 24%. W dodatku po raz pierwszy w historii rośnie im realna konkurencja z prawej strony, bo Partia Reform, powstała dwa lata temu nowa wersja Brexit Party, może liczyć na poparcie 8% respondentów.

W praktyce przewaga laburzystów jest jeszcze wyraźniejsza, bo według symulacji firmy doradztwa politycznego Electoral Calculus z początku

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

listopada Partia Pracy zgarnęłaby dzisiaj aż 441 na 650 miejsc w Izbie Gmin. To i tak wynik uśredniony, bo w optymistycznym scenariuszu mogłaby mieć aż 534. Prawdopodobieństwo zdobycia przez lewicę większości wynosi w tej chwili według algorytmu firmy aż 96%. A jeśli czarne prognozy się ziszczą, deputowanych wprowadzonych do parlamentu przez torysów może być zaledwie 48. Najmniej w historii, ale i bez partyjnych rekordów w kolejnej kadencji będzie bardzo źle. W tej chwili uśrednione wyniki symulacji w okręgach dają Partii Pracy 232 mandaty przewagi nad nawet najszerszą koalicją opozycyjną. Ostatni raz porównywalny komfort rządzenia miał gabinet… Stanleya Baldwina w 1935 r.

Partia Konserwatywna, a przez to cała Wielka Brytania, przypomina w tej chwili samolot bez pilota, w którym trwa narada, kto powinien przejąć stery, podczas gdy maszyna już szoruje o ziemię. Sunak wygląda jak ktoś, kto do kokpitu wchodził z dużą pewnością siebie i przekonaniem, że zdoła przejąć stery i naprowadzić kraj na właściwy kurs, po czym nie był w stanie nawet przebić się przez kakofonię krzyków własnych ministrów.

Najlepszym dowodem na kryzys przywództwa i słabość autorytetu premiera była coraz bardziej radykalna krucjata byłej już minister spraw wewnętrznych Suelli Braverman. Urzędowanie pani minister zaczęła od słynnej już, stanowiącej pożywkę dla internetowych satyryków wypowiedzi, że źródłem wszystkich problemów w brytyjskim społeczeństwie są członkowie „jedzącej tofu i czytającej »Guardiana« liberalnej londyńskiej elity". Zaraz potem wyszła z propozycją drastycznego ograniczenia prawa migrantów do ubiegania się o azyl, oferując odsyłanie ich do Rwandy. Już półtora roku temu, na poziomie debaty w parlamencie, projekt ten wzbudzał sporo kontrowersji, bo niektóre jego zapisy były otwarcie sprzeczne z Europejską konwencją praw człowieka, której Wielka Brytania jest sygnatariuszem. Podobnego zdania byli sędziowie brytyjskiego Sądu Najwyższego, którzy 15 listopada stwierdzili niekonstytucyjność proponowanej ustawy, dodając argument, że Rwanda nie może zostać uznana za „bezpieczny kraj trzeci", do którego można by odsyłać azylantów z Wysp.

Suella Braverman zachowywała się tymczasem, jakby sądowej porażki w ogóle nie zauważyła, podgrzewając temperaturę sporu każdą kolejną wypowiedzią. Decyzja o migrantach zbiegła się w czasie z 300-tysięcznymi protestami przeciwko izraelskiemu odwetowi na Palestyńczykach, które członkini rządu uznała za antysemickie. Oskarżyła przy tym policję, która podlega jej resortowi, o sprzyjanie propalestyńskim demonstrantom i tolerowanie mowy nienawiści na wiecach. Mark Rowley, szef londyńskiej Metropolitan Police, odpowiedział jej oficjalnym pismem, w którym dowodził, że od lat nie może się doprosić od resortu nowych, uaktualnionych wskazówek co do definiowania mowy nienawiści i przestępstw na tle rasowym, bo stare wytyczne są nieprecyzyjne i upolitycznione.

Braverman apele podległych jej oficerów ignorowała, po czym oskarżyła ich o bierność. Dwa dni później straciła stanowisko. Ale nie wydawała się tym specjalnie przejęta. Jej dymisja tyleż była spodziewana, co wyglądała na wyreżyserowaną przez samą zainteresowaną. Marina Hyde i Gary Younge, publicyści „Guardiana", ale też Robert Shrimsley z „Financial Timesa" czy Nina dos Santos z CNN Europe, wszyscy ci autorzy zgodnie twierdzili, że Braverman chciała dać się wyrzucić, i to w spektakularny sposób, żeby stać się dominującym głosem coraz liczniejszego skrajnego skrzydła w Partii Konserwatywnej. Jej antyimigrancka retoryka doskonale wkomponowuje się w ideologiczny rysopis tych, którzy nadal wierzą w mające wkrótce się pojawić korzyści z brexitu. I nawet fakt, że do Wielkiej Brytanii nigdy dotąd nie przybywało tylu obcokrajowców – również tych nieudokumentowanych – niespecjalnie w tej wierze przeszkadza.

Sunak może zostać zapamiętany jako premier zostawiający kraj w stanie najgorszym w historii tej demokracji.

Brexit okazał się gospodarczą katastrofą i dowodem na to, że brytyjskie społeczeństwo nie jest już odporne na demagogię.

Dziwna strategia przetrwania

Zdymisjonowaną Suellę Braverman w resorcie spraw wewnętrznych zastąpił James Cleverly, przesunięty tam z fotela szefa dyplomacji. Nowym ministrem spraw zagranicznych został z kolei David Cameron, o którym mówiono kiedyś, że żadna śmierć w polityce nie była tak ostateczna jak jego. Cóż, okazało się, że nawet sprawca brexitu jest teraz wystarczająco dobrym politykiem, by wejść do rządu Sunaka – także dlatego, że ławka nie jest krótka, jej nie ma wcale! Kiedy Cameron przyjął nominację, w Brukseli i europejskich stolicach wybuchła

eprasa.pl 257ab95923

epidemia ataków śmiechu. Politico cytowało anonimowych eurodyplomatów, którzy całkiem poważnie zadawali pytanie o sens powierzania dyplomacji komuś, kogo nikt już nie chce słuchać. Sunak próbował uzasadniać reanimację Camerona jego dawnymi sukcesami, np. rolą pomysłodawcy i egzekutora wyrzucenia Rosji z G8 po aneksji Krymu w 2014 r., ale od kiedy w CV byłego premiera pojawiła się realizacja referendum brexitowego, wszystko inne straciło znaczenie.

Ta nominacja nie spodobała się partyjnym radykałom, od których Sunak obrywa zresztą regularnie za swoją politykę zagraniczną. Kolejny cios zadał mu szef MI5 Ken McCallum. W październiku, w czasie zorganizowanej w San Francisco konferencji poświęconej rosnącemu wpływowi Chin w zachodnich demokracjach, poinformował o aż 20 tys. znanych brytyjskiemu wywiadowi prób zrekrutowania obywateli Wielkiej Brytanii do współpracy z Pekinem. Dodał, że skala chińskiego szpiegostwa na Wyspach jest dwukrotnie wyższa od zakładanej, a szpiegów zidentyfikowano w bezpośrednim otoczeniu parlamentarzystów Partii Konserwatywnej. Mimo to Sunak wciąż odmawia uznania Chin za zagrożenie dla brytyjskiego bezpieczeństwa narodowego, za co został nawet wybuczany w parlamencie przez radykalnych torysów.

Trudno jasno zdefiniować jego strategię przetrwania w polityce, jeśli w ogóle taką ma. Regularnie robi ukłony w stronę coraz bardziej skrajnej prawicy, jak chociażby we wrześniu, kiedy zdecydował o zejściu brytyjskiej gospodarki ze ścieżki prowadzącej do zeroemisyjności, przytaczając popularne w tym środowisku hasła o „swobodzie wyboru środków transportu" i „ochronie praw kierowców". Jednocześnie ruchami takimi jak nominacja Camerona i pozbycie się Braverman zdaje się szukać sposobu na trafienie do bardziej umiarkowanego, centrowego elektoratu. Ekspremier, jak pisze Helen Lewis na łamach „The Atlantic", próbuje nawiązać do „innej ery brytyjskiego konserwatyzmu", wolnej od szaleństw antysystemowego nastawienia z czasów Borisa Johnsona, Dominica Cummingsa czy Theresy May.

Ostatnie posunięcia wskazują, że Sunak pogodził się z coraz słabszym poparciem dla jego partii zwłaszcza na północy kraju, w Szkocji oraz na obszarach wiejskich i w małych miastach. W tych dwóch ostatnich przypadkach, jak donosi konserwatywny „The Telegraph", torysi tracą sporo na rzecz Partii Reform – i choć nie przekłada się to na zysk tych drugich, doprowadza do straty pierwszych. W symulacjach Electoral Calculus Partia Reform otrzymuje maksymalnie jeden mandat w Westminsterze, ale stabilnym, kilkuprocentowym poparciem osłabia Partię Konserwatywną. Jak podsumowuje Helen Lewis, jedyne, co Sunak może osiągnąć w zaplanowanych na 2025 r. wyborach, to uniknięcie całkowitej anihilacji poprzez doprowadzenie do „zwykłej" porażki przy urnie.

Taktyczna porażka

O ile rzeczywiście wybory odbędą się dopiero za ponad rok. Niektóre przecieki z Downing Street sugerują, że premier może się zdecydować na skrócenie kadencji i rozpisanie przyśpieszonych wyborów. Od ubiegłego roku ponownie może to zrobić z własnej inicjatywy, wcześniej, w 2011 r., Izba Gmin przyjęła ustawę nakazującą zdobycie co najmniej dwóch trzecich głosów do przeforsowania dymisji rządu. Opinie na temat prawdopodobieństwa takiego bądź co bądź ryzykownego ruchu są wśród komentatorów podzielone. Stephen Bush z „Financial Timesa" sugeruje, że Sunak nigdy na to się nie zdobędzie, bo jego szanse na utrzymanie większości są prawie zerowe, a po nieco ponad roku na stanowisku premiera nie za bardzo ma się czym pochwalić. Od wyśmiewanej poprzedniczki, Liz Truss, odróżniłby się wtedy tylko stażem na Downing Street. Natomiast zdaniem Camilli Tominey z „The Telegraph" przyśpieszone wybory nie są wykluczone, Sunak sięgnąłby po ten wariant chociażby po to, żeby przeprowadzić w partii twardy reset.

14 mln Brytyjczyków żyje dziś na granicy ubóstwa. Z kraju odpływa kapitał intelektualny, a nowy tu nie trafia.

Przecieki z Downing Street sugerują, że premier może skrócić kadencję i rozpisać przyśpieszone wybory.

W tej chwili zaś nie tylko nie jest w stanie sprawować władzy w kraju, ale nawet nie do końca panuje nad własną partią. Może więc ewentualna porażka nie byłaby teraz dla Partii Konserwatywnej najgorsza? Pozwoliłaby na taktyczne przegrupowanie, rozprawienie się z wewnętrzną konkurencją (Braverman), uspokojenie nastrojów i stworzenie nowej wizji dla Wielkiej Brytanii. Pytanie tylko, czy będzie na to czas i czy na Wyspach jest jeszcze miejsce dla Partii Konserwatywnej w takim wydaniu, w jakim istniała ona przez ostatnie pół wieku.

Mrzonki o powrocie do stołu supermocarstw nie są nawet myśleniem życzeniowym. Brexit okazał się gospodarczą katastrofą i dowiódł, że brytyjskie społeczeństwo nie jest już odporne na demagogię, a tamtejsze instytucje na populistyczne zawłaszczanie ich niezależności. 14 mln Brytyjczyków żyje dziś na granicy ubóstwa, z czego 4,2 mln osób to nieletni. Z kraju odpływa kapitał intelektualny, a nowy tu nie trafia, bo studia są po brexicie zbyt drogie dla najlepszych uczniów z kontynentu. Szkocja coraz głośniej domaga się niepodległości, kryzys migracyjny uderza z siłą porównywalną do sytuacji w krajach południa Europy. Choćby nie wiadomo co robił, Sunak może zostać zapamiętany jako premier zostawiający kraj w stanie najgorszym w historii tej demokracji. A to przecież najstarsza demokracja na świecie.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 257ab95923

Wbrew Kremlowi

Gierek w odróżnieniu od Gomułki nie wchodził w spory z radzieckim hegemonem. Poszedł swoją drogą i pozostał głuchy na życzenia Kremla

Andrzej Werblan

Dekada rządów Edwarda Gierka, a zwłaszcza jej pierwsza połowa (wczesny Gierek), zapisała się pozytywnie w pamięci społecznej, uchodzi za najlepszy okres w 45-leciu Polski Ludowej. Pod wieloma względami zasłużenie, choć również nieco przesadnie. Dla interesu narodowego i pozycji Polski w świecie ważniejsze były drugie rządy Władysława Gomułki, po zwrocie październikowym 1956 r. Wtedy zostały załatwione trzy kluczowe dla Polski sprawy: uwolnienie rolnictwa od groźby destrukcyjnej kolektywizacji, autonomizacja zależności od Związku Radzieckiego oraz pierwszy, ale przełomowy krok na drodze do porozumienia z Republiką Federalną Niemiec w sprawie polskiej granicy zachodniej (pakt z Willym Brandtem). Te trzy kwestie skorygowały zasadniczo i korzystnie dla Polski decyzje powojenne konferencji jałtańskiej i poczdamskiej. Wywarły znaczący, a pod pewnymi względami decydujący wpływ na jej oblicze i sytuację. Wykraczający poza epokę Polski Ludowej, trwający do dziś. Wiekopomna zasługa Gierka polega na tym, że jako sukcesor Gomułki w okolicznościach dramatycznych i opozycyjnych do niego, niczego z tych fundamentalnych dla narodowego bytu osiągnięć nie uronił, z dużą zręcznością je umocnił i wzbogacił.

I sekretarz KC PZPR Edward Gierek i premier Piotr Jaroszewicz z kanclerzem Niemiec Helmutem Schmidtem i ministrem spraw zagranicznych Hansem-Dietrichem Genscherem podczas Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Helsinki, 2 sierpnia 1975 r.

Wstrzymane podwyżki

W czasie robotniczej rewolty na Wybrzeżu w piątek 18 grudnia 1970 r., dzień po kulminacji zamieszek w Gdyni (czarny czwartek – 18 ofiar śmiertelnych), najmłodszy wtedy członek Biura Politycznego KC PZPR Józef Tejchma udał się do Władysława Gomułki i wezwał go do rezygnacji ze stanowiska I sekretarza KC. Tejchma uchodził za pupila Gomułki, był wymieniany wśród kandydatów na jego następcę, wielu zatem miało mu za złe to wezwanie, dopatrując się w tym nagannego braku lojalności. Broniłem wtedy i później Tejchmy przed tym zarzutem. Wiedziałem, że w ten piątkowy poranek Tejchma był już świadomy, że polityczny los Gomułki jest przesądzony, że buntuje się przeciw niemu znaczna część aktywu partii rządzącej, a ponadto z krytyką jego polityki społecznej wystąpił w liście do członków KC PZPR radziecki hegemon, który też innymi kanałami zadeklarował, że popiera kandydaturę Gierka w miejsce Gomułki. Tejchma doszedł do wniosku, że najbardziej cywilizowanym wyjściem z tego kryzysu personalnego byłaby rezygnacja Gomułki. W każdym demokratycznym państwie europejskim szef rządu, którego decyzje spowodowałyby wielkie protesty społeczne z rewoltą robotniczą i ofiarami śmiertelnymi, podałby się do dymisji. Do tego Tejchma chciał skłonić Gomułkę. I uniknąć destrukcyjnych walk na szczycie na modłę radziecką, publicznej rozprawy na plenum KC, upokarzających seansów nienawiści, samokrytyki itp.

W istocie plan Tejchmy się powiódł, w sukurs przyszła choroba Gomułki, wezwany kardiolog rozpoznał pierwsze objawy udaru i zarządził hospitalizację, a następnego

eprasa.pl 257ab95923

dnia Gomułka na ręce odwiedzających go w szpitalu Cyrankiewicza i Kliszki złożył rezygnację. Plenarne posiedzenie KC zwołane ad hoc w niedzielę 20 grudnia rezygnację tę przyjęło i wybrało na I sekretarza Edwarda Gierka. Wieczorem wystąpił on w telewizji, poinformował o zmianie i zapowiedział gruntowną rewizję polityki. Gierek podtrzymał stanowisko Tejchmy i nadal konsekwentnie unikał publicznego rozliczania Gomułki. Obyło się bez powtórki czegoś na kształt plenum sierpniowo-wrześniowego z 1948 r. Zmiana na szczycie jednak tylko częściowo uspokoiła nastroje, ustały zamieszki i starcia uliczne, strajki jednak nadal wybuchały na Wybrzeżu i w głębi kraju, a wielki strajk włókniarek w Łodzi – dopiero w lutym 1971 r. Wymusił on decyzję o definitywnym wycofaniu się z grudniowej podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby, co na długo, bo na pięć lat, uspokoiło naród.

Nasuwa się komentarz. János Kornai w dziele „Economics of Shortage" (Gospodarka niedoboru, 1980, praca wydana w Polsce w 1985 r. pod mylącym tytułem „Niedobór w gospodarce") dowodzi, że wszystkie gospodarki w historii dzieliły się na dwie grupy: sterowane przez rynek i sterowane przez rządzącą biurokrację. Każda ma swój sens i logikę. Tę drugą cechują niskie i mało zróżnicowane płace oraz niskie, ale stabilne ceny podstawowych artykułów. Pracujący oczekują, że rządzący będą respektować tę logikę, w przeciwnym wypadku buntują się. Dzieje państw realnego socjalizmu to potwierdzają. Ciekawe, ale uchylenie w 1971 r. podwyżki cen uważanej przez Gomułkę za konieczną nie tylko nie zawaliło polskiej gospodarki, ale przeciwnie – nie przeszkodziło osiągnąć w następnym pięcioleciu jej rozkwitu. Okazało się, że ta grudniowa podwyżka cen nie była potrzebna.

Dekada rządów Edwarda Gierka, a zwłaszcza jej pierwsza połowa, uchodzi za najlepszy okres w 45-leciu Polski Ludowej.

Spotkanie na Kremlu

5 stycznia 1971 r. szefowie nowej ekipy rządzącej w Polsce spotkali się na Kremlu z Leonidem Breżniewem. Towarzyszący im kierownik Kancelarii Sekretariatu KC PZPR Stanisław Trepczyński zapisał przebieg tego spotkania. Breżniew nie krył radości z pozbycia się Gomułki, gratulował sukcesorom i podkreślał swoją rolę w doprowadzeniu do zmiany. Wyraził też dość obcesowo swoje oczekiwania wobec nowego polskiego kierownictwa. Zmiana struktury rolnictwa w kierunku kolektywizacji, zaostrzenie polityki wobec Kościoła, wyeliminowanie wpływów niemarksistowskich w naukach społecznych oraz zacieśnienie powiązań gospodarczych z krajami socjalistycznymi. Gierek słuchał tych pouczeń z uśmiechem, nie protestował, choć zamierzał coś zupełnie innego. Ani jedno z oczekiwań Breżniewa nie zostało spełnione. Gierek w odróżnieniu od Gomułki nie wchodził w spory z radzieckim hegemonem. Nie szczędził hołdowniczych deklaracji, w konstytucji zapisał nakaz przyjaźni, Breżniewowi w 1974 r. nadał Krzyż Wielki Orderu Virtuti Militari przewidziany jedynie dla wodza zwycięskiej wojny, ale w rzeczywistej polityce poszedł swoją drogą i pozostał głuchy na życzenia Kremla. Ta taktyka okazała się skuteczna.

Polityka rolna ekipy Gierka doprowadziła do pełnego utrwalenia chłopskiego rolnictwa. Wieś otrzymała podobną do miast publiczną służbę zdrowia i emerytury. Zniesiono dostawy obowiązkowe, a także limity ograniczające rozmiary chłopskich gospodarstw. Uchylono wprowadzone w czasach Gomułki ograniczenie dostępu chłopów do nowoczesnych maszyn rolniczych i dóbr inwestycyjnych. Za czasów Gierka wieś masowo się budowała, stare drewniane domy zastępując murowanymi. Chłopskie rolnictwo weszło na drogę przekształcania się w farmerskie. Odpowiednio też rosła produkcja rolna i dochody wsi.

W polityce przemysłowej oczekiwania Breżniewa spełniały jedynie Huta Katowice i poszerzony tor jednej linii kolejowej w celu ułatwienia

Najnowsza książka PRZEGLĄDU!

KTO MOŻE LEPIEJ ZNAĆ PRZESZŁOŚĆ NIŻ ŚWIADEK HISTORII, KTÓRY JĄ WSPÓŁTWORZYŁ

Prof. Andrzej Werblan zawsze był tam, gdzie działy się rzeczy najważniejsze

DODATKOWY PREZENT – AUTOGRAF!

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

78 zł

FOT. TADEUSZ ZAGOŹDZIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

dostaw surowca dla tej huty z Ukrainy. Prawdziwe natomiast otwarcie dokonało się w stronę Zachodu. Za stosunkowo łatwo dostępne i tanie kredyty zmodernizowano wiele gałęzi przemysłu. Efektem były liczne dobra eksportowe, ale też dostępne na rynku krajowym, nowoczesne samochody, telewizory, pralki itp. Gwałtownie przyśpieszyło budownictwo mieszkaniowe, po raz pierwszy i jedyny w polskich dziejach w pięcioleciu zbudowano ponad milion mieszkań w miastach, nie licząc setek tysięcy na wsi.

W naukach społecznych otwarcie na Zachód stało się powszechne, cenzorska ingerencja ograniczyła się w istocie do problematyki stosunków polsko-radzieckich. Rozwinęła się wymiana naukowa z uczelniami na Zachodzie. Nastała znacząca liberalizacja wymiaru sprawiedliwości. Przez kilka lat Polska była państwem autorytarnym bez więźniów politycznych, ale też bez nielegalnej opozycji antykomunistycznej. Karol Modzelewski, gdy pracowaliśmy nad wspólną książką „Polska Ludowa", powiedział, że w pierwszym pięcioleciu gierkowskiej dekady nie uprawiał opozycji politycznej, bo nie widział po temu powodów. Sądził, że w zakresie liberalizacji Polska ówczesna osiągnęła wszystko, co możliwe w radzieckiej strefie wpływów. Cień na ten stan rzeczy rzucała jedynie ustawiczna rozbudowa Służby Bezpieczeństwa, policji politycznej, na razie bezrobotnej, ale szykowanej na wszelki wypadek.

W relacjach z Kościołem również dokonał się zasadniczy zwrot ku normalizacji. Usunięto dotkliwe bariery utrudniające budownictwo sakralne, stopniowo znormalizowano stosunki z Watykanem, Gierek został przyjęty na audiencji przez papieża Pawła VI. Po pewnym wahaniu władze odniosły się z należną kurtuazją do papieża Jana Pawła II po wyborze i w czasie pierwszej pielgrzymki do ojczyzny. Prymas Stefan Wyszyński podczas wizyty w Westfalii w 1978 r. upomniał wiernych, aby refren hymnu „Boże, coś Polskę" śpiewali w wersji „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie". „Nie wszystko nam się w tej ojczyźnie podoba – powiedział – ale jest to nasza ojczyzna!". Już pod koniec gierkowskiej dekady, w pierwszych tygodniach strajków na Wybrzeżu Gierek zabiegał o spotkanie z Wyszyńskim. Prymas powiedział wówczas Stanisławowi Kani, który to spotkanie negocjował: „Spotkam się z Panem Gierkiem, jemu ta pociecha ode mnie się należy! Ale pamiętajcie, to spotkanie nie będzie miało wpływu na to, co w najbliższą niedzielę (był to sierpień 1980 r.) powiem w Częstochowie. Ta homilia jest już napisana i nic w niej nie zmienię!". W homilii wezwał strajkujących do umiaru i poczucia odpowiedzialności za kraj. Nie byli z tego zadowoleni.

Polityka rolna ekipy Gierka doprowadziła do pełnego utrwalenia chłopskiego rolnictwa. Wieś otrzymała podobną do miast publiczną służbę zdrowia i emerytury.

Przepowiednia Schmidta

Gospodarczy program Gierka załamał się w połowie realizacji głównie wskutek drastycznego pogorszenia warunków międzynarodowych, czego ekipa rządząca w swoich planach lekkomyślnie nie brała pod uwagę. Złą sytuację pogłębiły również błędy w samym programie, zwłaszcza nadmierny i ryzykowny entuzjazm inwestycyjny. W 1978 r. przewodniczyłem delegacji Sejmu PRL na dorocznej sesji Unii Międzyparlamentarnej w Bonn. Na zakończenie tej sesji kanclerz federalny Helmut Schmidt wydał zwyczajowy koktajl dla szefów narodowych delegacji. Z naszej delegacji oprócz mnie specjalnie zaprosił posła Ryszarda Wojnę, z którym łączyła go przyjaźń z czasów, gdy Wojna był korespondentem PAP w Bonn. Po zakończeniu przyjęcia gospodarz poprosił Wojnę i mnie o pozostanie, chciał porozmawiać o Polsce. Darzył sympatią Gierka i jego politykę, bardzo niepokoił się jej załamaniem. Na zakończenie wyraził taką opinię: „Przyczyną waszych kłopotów gospodarczych, podobnie jak radzieckich, są błędy polityki inwestycyjnej, zbytni entuzjazm i liczne nietrafione decyzje. RFN to bardzo bogaty kraj, ale tutaj wielkie i kosztowne decyzje inwestycyjne podejmuje się z dużo większym trudem niż u was. Potrzeba zgody kilku niezależnych sektorów: rządu federalnego, banków i wielkich korporacji. Wymaga to czasu i wnikliwych analiz. A u was wystarcza entuzjazm rządzących. Ja tu, na zachodzie Europy, cieszę się opinią kompetentnego polityka gospodarczego, ale wierzcie mi, że gdybym miał taką łatwość podejmowania decyzji inwestycyjnych jak pan Breżniew czy Gierek, to zapewne zrujnowałbym ten bogaty kraj".

Opowiedziałem o tej rozmowie Gierkowi, słuchał ze smutną miną, nie protestował, tylko powiedział: „Opowiedz o tym Piotrowi" (Jaroszewiczowi). Tę opowieść dedykuję współczesnym entuzjastom Centralnego Portu Komunikacyjnego. Pod naciskiem tegoż Piotra w 1976 r. Gierek zgodził się na ratowanie zachwianej równowagi rynkowej podwyżką cen, a więc popełnił ten sam błąd co Gomułka. Do strzelaniny na ulicach nie doszło, gdyż przezorny Gierek zarządził, że milicja tłumiąca rozruchy nie będzie wyposażona w broń palną. Skończyło się jak sześć lat wcześniej, odwołaniem podwyżki, ale po dwóch dniach, a nie po dwóch miesiącach, i bez ofiar śmiertelnych. Ale sytuacja gospodarcza i społeczna już nie wróciła do równowagi. Gierek odchodził we wrześniu 1980 r. podobnie jak Gomułka częściowo z powodu choroby, a głównie z powodu kryzysu, tym razem dużo głębszego. W odróżnieniu od Gomułki nie obciążało go strzelanie do protestujących. Doświadczył wielu upokorzeń, internowania w stanie wojennym, wykluczenia z partii itp. Pozostawił jednak po sobie w narodzie nadspodziewanie dobrą pamięć. Wydaną w 1990 r. książkę z przeprowadzonym z nim przez Janusza Rolickiego wywiadem rzeką pt. „Przerwana dekada" sprzedano w milionie egzemplarzy. Sprawiła duży kłopot rodzimym antykomunistom.

Andrzej Werblan

eprasa.pl 257ab95923

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Śmierć dziewczynki pod banerem. I Kissingera

Niewiele wiemy. Ale najważniejsze tak. 14-letnia dziewczynka zamarzła na śmierć w centrum Andrychowa. W jasny dzień. Tuż obok centrum handlowego. Kilkaset metrów od posterunku policji. Wkoło strefa kupowania, świątynia przy świątyni, „Fantazja, Figlopark", „Zawsze świeże produkty", „Celebruj święta", „Dla majsterkowicza", „Myjnia", „Dla całej rodziny", „Oddział banku", „Opakowania", „Dzień dobry", „RTV", „Paczkomat", „Promyczek", „kościół świętego", „Im. Marii Curie-Skłodowskiej". Pewnie mogłyby być inne nazwy, odmienne hasła, kolejne instytucje. W ogóle mogło to być inne miasto czy miasteczko, mniejsze, większe, olbrzymie, nawet pobliskie Wadowice, skąd policjanci prowadzą śledztwo. Nigdy tam nie byłem, nikogo nie znam. Wiemy też, że w końcu, po najprawdopodobniej kilku godzinach, jakiś mężczyzna dojrzał w zwiniętym, nieruchomym kłębku człowieka. Podszedł, zorientował się, że jest źle, zadzwonił po pogotowie, wziął dziecko na ręce i zaniósł do pobliskiego, dużego sklepu sieciowego. Pogotowie, szpital, hipotermia, doba w śpiączce, w zimnym, ostatnim śnie. Śmierć. Żałoba. Ustalenia, kto mógł pomóc, a tego nie zrobił, kto był blisko, ale zbyt daleko, komu nie wystarczyło wyobraźni, kto musiał szybko gdzie indziej, kto pomyślał, że to chyba śmieci, znowu w środku miasta.

Chcielibyśmy, żeby nie okazało się, że mogło być inaczej. Przecież padało, śnieżyło, wiało, zaspy powstały niemal natychmiast, ta zaspa była jak inne. Wszyscy się kulili, patrzyli pod nogi, kto by tam się rozglądał, jak nikogo nie szukał? Przeglądane teraz zapisy kamer przemysłowych, sklepowych niczego nie wyjaśnią, nikt nie miał złej woli, a dobrej nie było jak okazać. Do kogo mają być kierowane pretensje? Oskarżenia? Głosy potępienia? Do wszystkich, którzy byli gdzieś nieopodal. Wszystkich, czyli nikogo. Nikogo, czyli wszystkich. Nie ma komu wystawić rachunku. A nawet gdyby się znalazł, nawet obojętny, dlaczego od razu zły, ktoś nieuważny, zabiegany, ktoś z kimś innym pod powiekami, ktoś, kogo „wymiar z aparatem sprawiedliwości" mogłyby postawić w stan oskarżenia, to co? Ze stanu śmierci nie ma powrotu. Ewentualna kara dla kogoś, na kogo padnie, nie zaaplikuje nam na znieczulicę, której przecież mogło nie być, żadnej szczepionki. Nie możemy wszak mieć oczu dookoła głowy, wypatrywać wszędzie niewinnych nieszczęśniczek czy nieszczęśników. Jak mogliśmy przypuszczać, tu nigdy nic podobnego się nie wydarzyło.

Tu może nie, ale w Hajnówce, w Puszczy Białowieskiej, tuż obok granicy z Białorusią, tam, gdzie płotomur i zasieki żyletkowe bronią Polski, tam i owszem – zdarzyło się. Miała na imię Mahlet. Była dwa razy starsza, była z Etiopii, była radosna. Zamarzła blisko drogi. Bo ktoś nie chciał jej szukać, ktoś się nie zaangażował, ktoś jeszcze inny w śnieżnej bieli nie dostrzegł ciemnej twarzy. Ale wcześniej polska Straż Graniczna wypchnęła Mahlet, jej narzeczonego i kolegę na Białoruś. Wrócili. Dziewczynę rozbolał brzuch, nie mogła iść. Mężczyźni ruszyli po pomoc, wiedząc, że trafią w ręce mundurowych. Pukali do cerkwi, sądu, dozorca jakiejś firmy zadzwonił po policję. Przyjechała też Straż Graniczna. Do błagających o pomoc dla Mahlet nawet nie wyszli z furgonetki, milczeli, nie odpowiadali na apele i pytania. W raporcie znalazło się jednak, że „po sprawdzeniu terenu (patrol) nie znalazł tam żadnych osób". A ponadto, że „z prowadzonej rozmowy nie wynikało, że jest tam ktoś, kto potrzebuje pomocy medycznej".

Czy śmierć w Andrychowie polskiej dziewczynki może coś zmienić? Śmierć Mahlet niczego nie zmieniła, słyszała o niej nieliczna grupa aktywistów, czytelników niektórych gazet czy portali. Pojedyncze śmierci niczego nie zmieniają. Masowe – też niewiele.

A na czołówkach wszystkich światowych mediów króluje śmierć Henry'ego Kissingera, legendarnego sekretarza stanu USA, doradcy politycznego kilkunastu prezydentów amerykańskich, architekta wojny z Wietnamem i Kambodżą, laureata pokojowego Nobla za zakończenie wojny wietnamskiej, która się nie zakończyła. Określany mianem Metternicha XX w., do trzewi cyniczny, nazywający to Realpolitik („Ameryka nie ma ani stałych przyjaciół, ani wrogów, jedynie interesy"), podziwiany i znienawidzony, opoka rządów Nixona i Forda. Jego dewizą było: „Jeśli miałbym wybierać między sprawiedliwością i niestabilnością a niesprawiedliwością i stabilnością, zawsze wybiorę to drugie". „USA z Kissingerem u sterów rozpoczynały i inspirowały wojny oraz wspierały brutalne dyktatury, m.in. w Chile, Argentynie, Kambodży, Laosie, Pakistanie i Bangladeszu. W przypadku tych krajów Kissinger nie powstrzymywał się przed rozpoczynaniem pozbawionych legitymizacji i podstawy prawnej operacji wojskowych oraz obalaniem demokratycznych władz", napisał Stanisław Skarżyński.

Czy czegoś żałował w życiu? Owszem. Tego, że udzielił wywiadu Orianie Fallaci. Po śmierci kondolencje płynęły z Waszyngtonu, Moskwy i Pekinu.

Ma na rękach krew setek tysięcy osób. Świat będzie go pamiętał dekadami. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 257ab95923

Arcybiskup kontra papież

Atak abp. Gądeckiego na niemiecki Kościół jest tylko przykrywką. Tak naprawdę to krytyka Franciszka

Jarosław Makowski

1.

Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący polskiego episkopatu, postanowił, że będzie kopał się z koniem. Jak zazwyczaj kończą się takie harce, doskonale wiemy. Metropolita poznański napisał list do papieża Franciszka, w którym krytykuje kondycję niemieckiego Kościoła (niektórzy powiedzą, że pochyla się nad nią z troską). Chodzi o drogę synodalną, którą realizuje obecnie Kościół u naszych zachodnich sąsiadów. Abp Gądecki nie kryje, że proces rozmowy i wnioski, które wyciąga z niego niemiecki Kościół, nie przypadły mu do gustu. Ba, w liście do Franciszka, będącym de facto donosem na niemieckich biskupów, hierarcha wprost pisze, że nie można dopuścić do sytuacji, by synod został „zmanipulowany i wykorzystany do autoryzacji niemieckich tez, otwarcie sprzecznych z nauczaniem Kościoła katolickiego". Mówiąc wprost, by ewentualna niemiecka herezja rozlała się na cały Kościół.

Można oczywiście brać za dobrą monetę troskę abp. Gądeckiego o niemiecki katolicyzm. Można, gdyby nie fakt, że polski Kościół, na którego czele stoi metropolita z Poznania, znajduje się w głębokim kryzysie. Przywołam tylko kilka jego symptomów. Zamykane są seminaria duchowne, gdyż brakuje powołań. Młodzi ludzie masowo rezygnują z uczestnictwa w lekcjach religii. Opublikowane ostatnio dane ze spisu powszechnego pokazują, że Kościół od roku 2011 stracił ponad 6 mln wiernych. Wtedy przynależność do katolicyzmu deklarowało aż 87% ogółu populacji. W roku 2021 odsetek ten spadł do 71%. Kościół w Polsce nie rozliczył się ze skandali pedofilskich, a dodatkowo targają nim inne skandale obyczajowe, jak choćby ten w Dąbrowie Górniczej, gdzie na jednej z plebanii doszło do homoseksualnej orgii. Tak czy inaczej, zanim abp Gądecki zabierze się do naprawiania niemieckiego Kościoła, powinien się zająć Kościołem w Polsce.

Sęk w tym, że atak polskiego hierarchy na niemiecki Kościół jest jedynie przykrywką. Tak naprawdę w sposób zakamuflowany abp Gądecki krytykuje papieża Franciszka.

> Abp Gądecki próbuje bronić wizji Kościoła, której już nie ma. Kościoła, w którym duchowni mogli sobie pozwolić na luksus bagatelizowania głosu świeckich katolików.

A przede wszystkim to, jak Stolica Apostolska przeprowadziła październikową, pierwszą odsłonę synodu o synodalności w Rzymie. Spotkania biskupów i – o zgrozo – świeckich z całego świata, którzy zastanawiali się nad kondycją współczesnego katolicyzmu. A szczególnie nad jego źródłami. Cóż zatem nie podobało się abp. Gądeckiemu w sposobie obrad rzymskiego synodu? I dlaczego zamiast otwartej krytyki papieża Franciszka zdecydował się na krytykę niemieckiej drogi synodalnej?

2.

Odpowiedzi na te pytania nie znajdziemy w liście arcybiskupa do papieża. Znajdziemy je natomiast w rozmowie, którą z szefem polskiego episkopatu przeprowadziła Katolicka Agencja Informacyjna. Tu hierarcha jest bardziej wylewny. Być może dlatego, że znajduje się na swoim gruncie, a więc czuje się bezpiecznie. Żali się wobec tego dziennikarzom, że na rzymskim synodzie „wymogiem było słuchanie rozmówcy bez uprzedzeń i niewdawanie się w polemikę". A to, jak przekonuje dalej Gądecki, sprawiło, że „nie było okazji do autentycznej rozmowy". W skrócie: nasz arcybiskup jest raczej przyzwyczajony do mówienia, ba, wygłaszania i oznajmiania tez, mógł więc czuć się mało komfortowo w sytuacji, gdy poproszono go o posłuchanie, jak swoją wiarę przeżywają katolicy z innych części świata. Także w sposób, który – zdaniem abp. Gądeckiego – jest niekatolicki.

Zrozumiałe zatem, że gdy metropolita poznański słuchał tych wszystkich herezji wygłaszanych przez biskupów choćby z krajów zachodnich na temat miłosierniejszego traktowania osób żyjących w związkach niesakramentalnych czy osób LGBT+, chciał reagować, wykrzyczeć swoim kolegom po fachu w twarz, że sprzeniewierzają się katolickiej doktrynie i dziedzictwu św. Jana Pawła II. Dlatego zasugerował nawet, że Sekretariat Stanu, który ustalił reguły rozmowy, manipuluje debatą. Kłopot polega na tym, że Sekretariat Stanu jest narzędziem papieża – nie tylko działa na jego zlecenie, ale też w sposób ścisły realizuje zamierzenia i politykę Franciszka. Dlatego abp Gądecki, jak napisałem na początku, podjął ryzyko kopania się z koniem.

Ale za tą zawiłą, przypominającą zakulisowe walki z serialu „House of Cards" grą polityczną, w której abp Gądecki chce pokazać niezadowolenie z kierunku polityki papieża,

eprasa.pl 257ab95923

Abp Stanisław Gądecki na audiencji u papieża Franciszka. Watykan, 29 marca 2022 r.

uderzając przy okazji w niemiecki Kościół i narażając na szwank nasze dobre relacje, stoi głęboko fałszywa wizja Kościoła i jego rozwoju.

Po pierwsze, Sobór Watykański II, którego entuzjastą jest Franciszek, jasno wskazał, że Kościół ma czytać „znaki czasu". To one są słowami Boga, kierowanymi do wiernych. Jednym z takich „znaków czasu" – negatywnym – jest skandal pedofilski w Kościele. Fakt, że duchowni wykorzystywali seksualnie dzieci jak świat długi i szeroki, stanowi źródło współczesnego kryzysu katolicyzmu. Wie to Kościół w Niemczech – przede wszystkim jego świeccy. Choć warto przypomnieć również opinię bp. Heinera Wilmera, biskupa diecezjalnego Hildesheimu, który w roku 2019 mówił: „Dawniej mawiano, że w Kościele są pojedynczy grzeszni ludzie, ale Kościół jako taki jest czysty i bez skazy. Musimy pożegnać się z takim przekonaniem i przyjąć do wiadomości, że w Kościele jako wspólnocie istnieją struktury zła". Wie to także papież Franciszek. Wciąż ta trudna i bolesna prawda nie może jednak się przebić do świadomości polskiego Kościoła – przede wszystkim do duchownych z abp. Stanisławem Gądeckim na czele. Jakby było mało, że kilkunastu polskich hierarchów zostało ukaranych przez Watykan za tuszowanie skandali pedofilskich. Jakby było mało, że media – bo oczywiście nie komisje kościelne – wciąż odkrywają nowe skandale obyczajowe. Dopóki Kościół nie pogodzi się z faktem, że istnieją w nim struktury zła umożliwiające krzywdzenie dzieci, dopóty katolicyzm nie ma szans na odrodzenie.

To pod przywództwem Gądeckiego i Jędraszewskiego życie Kościoła nad Wisłą toczy się od kryzysu do kryzysu.

Po drugie, w liście do przewodniczącego niemieckiego episkopatu bp. Georga Bätzinga szef polskiego episkopatu pisze: „Synodale Weg domaga się, aby Kościół przyjął za swój ustrój polityczny dominujący dzisiaj na Zachodzie, wraz ze wszystkimi zasadami działania demokratycznej biurokracji, poczynając od nadzoru świeckich nad duchowieństwem, transparentnością procesów podejmowania decyzji, uczestnictwem świeckich w obsadzaniu stanowisk kościelnych czy kadencyjnością sprawowania urzędów. Władza papieża i biskupów powinna być ograniczona i podlegać nadzorowi świeckich zorganizowanych w równoległą do hierarchicznej strukturę władzy". Ten cytat najlepiej oddaje ból abp. Gądeckiego związany z tym, że niemieccy katolicy chcą mieć możliwość kontrolowania swojego Kościoła. Jest to dyktowane tym, że kryzys katolicyzmu, o którym piszę, ma źródło w działaniach i postawie nie świeckich, ale duchownych. Całej odpowiedzialności za skandale pedofilskie nie da się zrzucić na moralny relatywizm, laicką kulturę Zachodu czy świeckich katolików. Winę ponoszą papieże, biskupi i księża. Mają więc rację niemieccy katolicy, gdy domagają się zarówno większego udziału laikatu w kontroli instytucji kościelnych, jak i głosu przy obsadzie kluczowych kościelnych stanowisk.

Dlatego Franciszek jest jednym z największych antyklerykałów w Kościele. Bo uważa, i słusznie, że najbardziej zatwardziałą grupą stojącą na drodze do reformy są… księża. Przykładem, jak bardzo krytycznie papież odnosi się do duchownych, jest słynna mowa wygłoszona do kardynałów kurii rzymskiej, w której papież wymienił 16 grzechów duchownych. Ludzie Kościoła cierpią na patologię władzy, dotyka ich „duchowy alzheimer", sprowadzają swoją posługę do biurokracji i księgowości, nie unikają „rozwiązłego życia". Gdybyśmy nie wiedzieli, że tak gorzkie słowa pod adresem księży padają z ust papieża, pomyślelibyśmy, że są to zarzuty zatwardziałego krytyka Kościoła. Ten antyklerykalny

FOT. PA/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

ton również nie może się podobać abp. Stanisławowi Gądeckiemu.

3.

Można pytać, po co metropolicie poznańskiemu ta wojenka podjazdowa, i to w sytuacji, gdy za rok osiągnie on wiek emerytalny i zapewne odejdzie na emeryturę.

Raz, że abp Gądecki resztką sił próbuje bronić wizji Kościoła, której już nie ma. To znaczy, ona jest w jego głowie, ale nie ma jej w rzeczywistości. Donos do Franciszka na niemiecki Kościół jest zatem próbą zwrócenia na siebie uwagi, krzykiem, by ktoś wziął na serio jego wywody. Kłopot w tym, że nie ma powrotu do takiego Kościoła, w którym chciałby żyć i którym chciałby zarządzać metropolita poznański. Kościoła, w którym duchowni mogli sobie pozwolić na luksus bagatelizowania głosu świeckich katolików.

Dwa – odpowiedź szefa niemieckiego episkopatu, bp. Bätzinga, dowodzi, że za ten głos troski o kondycję niemieckiego katolicyzmu tamtejsi biskupi bardzo dziękują. Hierarcha pisze, że stanowczo odrzuca takie „postępowanie księdza arcybiskupa, ton Jego listu, a także sposób przedstawienia faktów". I rozwiewa złudzenia, że postawa abp. Gądeckiego mogłaby być za Odrą odczytywana jako nic nieznaczący wybryk. Mało tego, bp Bätzing dodaje, że insynuacje zawarte w liście polskiego hierarchy do Franciszka to „pomysły" należące „po prostu do sfery zawiłych teorii spiskowych".

Trzy – abp Gądecki wyłożył swoje kredo papieżowi Franciszkowi, gdyż nie ma nic do stracenia, i tak za kilkanaście miesięcy czeka go – o czym wspomniałem – emerytura. Ten gest zakamuflowanej krytyki staje się dla Watykanu koronnym argumentem, by po osiągnięciu przez metropolitę poznańskiego 75 lat zakończyć jego posługę w roli biskupa ordynariusza. I zapewne tak się skończy próba pokazania przez szefa polskiego episkopatu, że jest bardziej papieski od papieża. W sensie: jest gorliwszym strażnikiem katolickiej doktryny niż Franciszek. Bo obecny biskup Rzymu zaczyna tracić cierpliwość do swoich otwartych lub zakamuflowanych krytyków, reprezentujących tradycjonalistyczny i konserwatywny nurt. Najpierw z urzędem pożegnał się biskup diecezji Tyler w USA Joseph E. Strickland. A teraz kard. Raymond Burke, który mówi, że Franciszkowy synod popełnia błędy filozoficzne, teologiczne i kanoniczne. Na razie Watykan podjął wobec konserwatywnego kardynała „środki natury ekonomicznej i kary kanoniczne", m.in. stracił on mieszkanie w Rzymie i pensję.

4.

Pozostaje ostatnie pytanie: na ile krytyka abp. Gądeckiego jest jego indywidualnym stanowiskiem, a na ile to głos polskiego episkopatu. Przypomnijmy, że Kościół w Polsce na synodzie rzymskim reprezentowali prócz abp. Gądeckiego jego zastępca w episkopacie abp Marek Jędraszewski, nowy metropolita katowicki abp Adrian Galbas, który jest też koordynatorem rodzimego synodu o synodalności, i nowy kardynał Grzegorz Ryś. Dla łódzkiego metropolity rzymski synod to jedno z najważniejszych wydarzeń kościelnych roku. To potwierdza, że kard. Ryś będzie szedł drogą wyznaczoną przez Franciszka. Abp Gądecki ustawia się zaś w opozycji. O ile jednak kard. Ryś może mieć do odegrania w Kościele w Polsce kluczową rolę, o tyle obecny szef episkopatu i jego zastępca abp Jędraszewski są u schyłku kościelnej kariery. Ba, to pod ich przywództwem życie Kościoła nad Wisłą toczy się od kryzysu do kryzysu. Brakuje zarówno wizji, jak i strategii duszpasterskiej. Dlatego nie sądzę, by zaangażowani katolicy szczególnie rozpaczali, gdy obaj hierarchowie oddadzą ster polskiej kościelnej łodzi. Nie oznacza to, że abp Gądecki nie ma poparcia – ma, głównie wśród konserwatywnego kleru i tradycjonalistycznych katolików. I raczej jest ono wyrażane po cichu. Myślących jak on nie przybywa. Jedni odchodzą z Kościoła rozczarowani, drudzy lepiej się organizują i coraz głośniej wyrażają swoje opinie, co pokazuje choćby Kongres Katoliczek i Katolików, skupiający tych, którym bliska jest wizja papieża Franciszka.

Wszystko to nie zmienia faktu, że polski episkopat zajął pozycję wyczekującą. Z jednej strony, dochodzą informacje, że papież Franciszek podupada na zdrowiu. Z drugiej, hierarchowie przypatrują się, jaki kierunek przyjmie Watykan i jakie będą nadchodzące nominacje biskupie w rodzimym Kościele. Jest jednak jasne, że odwaga i charyzma to nie są przepustki do kościelnej kariery. Trzeba raczej być nijakim, nikomu się nie narazić, płynąć z głównym nurtem. To zdecydowanie skuteczniejszy sposób, by w Kościele – szczególnie w Polsce – odnieść sukces. Dlatego w nadchodzących miesiącach będziemy obserwować to, co jest cechą starej, dobrej szkoły, czyli wyczekiwanie i pozorowane ruchy. Z punktu widzenia duszpasterskiego to stagnacja. Biskupi mogą sobie na ten luksus pozwolić. Bo młyny kościelne mielą powoli. Dlatego nadzieja, że powstanie u nas jakaś grupa progresywnych reformatorów z kard. Rysiem czy prymasem Wojciechem Polakiem na czele, chcąca radykalnych zmian, jest złudna.

Jarosław Makowski

Nadzieja, że powstanie jakaś grupa progresywnych reformatorów z kard. Rysiem czy prymasem Wojciechem Polakiem na czele, jest złudna.

W nadchodzących miesiącach w polskim Kościele będziemy obserwować to, co jest cechą starej, dobrej szkoły, czyli wyczekiwanie i pozorowane ruchy.

eprasa.pl 257ab95923

Oko w oko

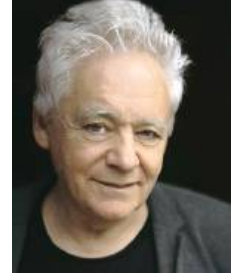

Tomasz Jastrun

Spektakl i otchłań

Żaden publiczny spektakl nie miał takiej oglądalności jak odnowiony polski Sejm na początku swoich obrad. Innym spektaklem było powołanie na dwa tygodnie nowego rządu. Celebrował prezydent Duda, w którym aż kipiał stan zadowolenia z siebie. Pan prezydent uwielbia celebrację, nawet fikcji. Ciekawe, jak za trzy tygodnie będzie przemawiał, zaprzysięgając rząd Tuska. To całe gadanie prezydenta można określić, używając języka staropolskiego, jako duby smalone, a właściwie dudy smalone.

Obrazek do zawieszenia w muzeum karykatur. W pierwszym sejmowym rzędzie siedzi trzech polityków: Terlecki, w środku prezes, dalej Błaszczak. Twarze szpetne ludzi przegranych, nieszczęśliwych i zaciekłych. To, co jeszcze mogą, to złorzeczyć, przeszkadzać i psuć. Ten kontrast między dwoma skrzydłami sali sejmowej jest uderzający i wieszczy dalsze przegrane PiS w wyborach samorządowych i prezydenckich.

•

Od kiedy stało się pewne, że propagandyści publicznej telewizji to skazańcy, wyrok został wydany, a jego wykonanie jest prawdopodobnie kwestią kilku tygodni, od kiedy to oczywiste, jestem nawet w stanie oglądać „Wiadomości" w TVP czy TVP Info. Ale nadal z wielkim trudem. I nie za długo. Scenariusz informacyjny ma tam swój schemat. Choćby z tego dnia, gdy piszę: polska suwerenność jest zagrożona przez zachodnią Europę, bardzo zagrożona, niedługo Polska przestanie istnieć. Głównym wrogiem Polski są Niemcy. Drugi wątek to szczucie na islam i Arabów, choćby w związku z atakiem nożownika w Dublinie. Nie szkodzi, że władze irlandzkie zaprzeczają, że to był atak terrorystyczny. „Wiadomości" sugerują, że tak samo będzie w Polsce, gdy „tuskowcy" wpuszczą obcych. Arabowie w tej figurze propagandowej zastąpili Żydów. Sam nie przepadam za islamem, w zbyt wielu miejscach zwyrodniał, i nie potrafię im darować tego, jak traktują kobiety, nie odpowiada mi też arabska kultura i obyczajowość. Ale to co innego, nie szczucie. Stałym tematem mediów reżimowych zaczyna być także zjadliwa krytyka Hołowni. Niedojrzały emocjonalnie narcyz, żaden z niego polityk, nie radzi sobie jako marszałek Sejmu, nie to co Witek, to był ktoś ta Witek, nawet reasumpcję potrafiła zrobić, kiedy głosowanie było nie po myśli, a Hołownia to tylko konferansjer. W sumie mały i podły człowiek.

•

Zapewne uda się ujawnić ukrytą sieć, podobną do tej z podziemnych korytarzy Hamasu, państwa PiS, zarządzanego przez mrocznych namiestników tej partii. Zaskakująco wielu moich znajomych nadal się boi, że PiS wytnie jeszcze jakiś numer. „Po nich można wszystkiego się spodziewać". Ja jestem dobrej myśli. Cokolwiek teraz wytną, to tylko sobie zaszkodzą.

•

Tomek Kozłowski u nas, jest na krótko w Polsce, bo mieszka teraz w Stanach, gdzie przygotowuje się do bicia rekordu świata w wysokości skoku ze spadochronem. To 45 km, więc już prawie przestrzeń kosmiczna. Skakać będzie w skafandrze kosmicznym, wyniesie go do góry balon wielkości Stadionu Narodowego. Tomek wykonał w życiu 1,5 tys. skoków spadochronowych i ma koncie różne rekordy. Skoki to jego nałóg. Mówi, że dopiero jak skacze, czuje się wolny. Nawet gdy o tym opowiada, zaczynam się bać, mam lęk wysokości. A on nagle patrzy mi głęboko w oczy i proponuje: „Może skoczymy w tandemie?". Zimny dreszcz ścina mi plecy – już gdy wyjdę na balkon na wysokim piętrze, strach mnie łapie za gardło. Od razu wyobrażam sobie, jak siedzimy z Tomkiem w otwartych drzwiach samolotu, smaga nas wiatr, w dole otchłań i szykujemy się do skoku. Wszystko we mnie krzyczy: „Nie!!!". „Jesteś tchórzem", mówi mój wewnętrzny oskarżyciel. „A właśnie, że skoczysz, dasz radę", oponuje mój adwokat. Tomek na szczęście leci do Stanów, więc horror na razie będzie oddalony. On podobnie jak ja ma poważny problem z depresją. Tym bardziej go podziwiam, inna sprawa, że te skoki to chyba jest lekarstwo na pozostałe lęki. A cel bicia rekordu jest charytatywny, zbieranie pieniędzy na domy dla bezdomnych. A może jednak skoczę? Już raz spróbowałem umrzeć, na szczęście się nie udało. To czemu nie spróbować skoku w inną otchłań?

Kontrast między dwoma skrzydłami sali sejmowej jest uderzający i wieszczy dalsze przegrane PiS w wyborach samorządowych i prezydenckich.

Karolina z Jerozolimy przesyła mi filmik, na którym jej malutka prawnuczka bawi się w alarm. Naśladuje głosy syren. Jednak większość izraelskich dzieci przeżywa traumę, gdy trzeba schodzić do schronów. Ale co przeżywają palestyńskie dzieci w Gazie? Nie potrafię nie myśleć o tym równolegle. Właściwie nie da się żyć, patrząc na ilość cierpienia i zła na świecie z różnych stron. Słowa filozofa, prof. Władysława Tatarkiewicza, znajomego mego ojca: „Biorąc pod uwagę ilość zła na świecie, wiara w Boga byłaby bluźnierstwem". ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 257ab95923

Nasza planeta to tykająca bomba

Za to dzisiejsza młodzież jest dużo mądrzejsza od nas, w niej cała nadzieja

Rozmawia Mateusz Demski

Kiedy zainteresowałeś się tematem kryzysu klimatycznego?

– Wszystko zaczęło się od mojego krótkiego filmu „PM 2.5", który opowiadał o smogu w Krakowie. Nigdy nie byłem ekologiem, temat był mi daleki, ale film został zaproszony na wiele międzynarodowych festiwali. Panowała na nich taka zasada, że twórcy zapraszają siebie nawzajem na swoje filmy. Pochodziłem na różne projekcje, wydarzenia i nagle w głowie zaświeciła mi się lampka, uświadomiłem sobie, że faktycznie zaniedbaliśmy naszą planetę i jest to poważny, jeżeli nie najpoważniejszy problem dla nas i świata. W ten sposób razem z moim przyjacielem Grześkiem Dukielskim wpadłem na pomysł założenia fundacji i zorganizowania festiwalu filmowego w Krakowie.

Mowa o BNP Paribas Green Film Festival, jedynym w Polsce i jednym z największych na świecie festiwali filmowych o tematyce ekologicznej. Jak działa to wydarzenie?

– Pokazujemy przede wszystkim filmy o tematyce ekologicznej. Co roku dostajemy setki zgłoszeń z całego świata: od 600 do 900 filmów. Łatwo policzyć, ile tych produkcji przez ostatnich siedem lat zobaczyłem. Przez ten czas spojrzenie filmowców na zagadnienie szeroko pojętej ekologii ciągle się zmienia. Filmy, które wybieramy podczas selekcji, są bardzo różne: od klasycznych dokumentów po fabuły, które próbują ująć temat w śmiałą i nowoczesną formę.

„W nich cała nadzieja", przechodząc już do twojego debiutu, to kino science fiction. Rozpoczyna się wizją zdegradowanej planety, na której przeżyła tylko jedna osoba.

PIOTR BIEDROŃ
– reżyser filmu „W nich cała nadzieja"

– Wiąże się to z tym, że chciałem dotrzeć z tymi wszystkimi tematami do młodych widzów. Postapokaliptyczny świat, który pokazuję w filmie, jest młodzieży bliski, pojawia się w grach komputerowych, w serialach streamingowych. A jednocześnie ten gatunek pozwala nam jako twórcom przemycić pewne treści na temat przemian w świecie. Poza tym to zawsze było moje marzenie, by zadebiutować filmem SF w klimacie postapo.

Masz swoje ulubione filmy w tym gatunku?

– Pamiętam pierwszy film, który oglądałem jeszcze na VHS i który zrobił na mnie ogromne wrażenie. Był to kultowy „Hardware" Richarda Stanleya. Pojawia się w nim robot M.A.R.K. 13, złożony ze złomu, który staje się śmiertelnym zagrożeniem dla bohaterów filmu. Innym takim tytułem był „Terminator". Dwie rzeczy zaimponowały mi w tej opowieści. Z jednej strony, pomysł na samego Terminatora, a więc maszynę, która ma jedno zadanie: zabić Sarę Connor. Z drugiej, motyw Skynetu, czyli sztucznej inteligencji, która spowodowała bunt maszyn. Tworząc postać robota, inspirowałem się filmem „Jestem matką" Granta Sputore'a. Jest to produkcja sprzed kilku lat, która skupia się na relacji człowieka z maszyną, a dokładniej opowiada o tym, jak robot matka wychowuje małą dziewczynkę: od embriona do osoby dorosłej.

Przykłady można mnożyć bez końca, ważne, że wyłania się z nich obraz naszego świata. Te filmy wyprzedziły swoją epokę, mówiąc o rzeczach, które dotykają nas dzisiaj.

– Nie trzeba daleko szukać. Kiedy kilka lat temu oglądałem filmy zgłaszane na nasz festiwal, był w nich poruszany temat tzw. uchodźców klimatycznych. Filmowcy snuli wizję, że w związku z globalnym ociepleniem i podniesieniem się temperatury może dojść do wielkich migracji. Pojawiały się przewidywania, że jeśli w Indiach zrobi się ekstremalnie

Piotr Biedroń – reżyser i scenarzysta. Pomysłodawca i współzałożyciel BNP Paribas Green Film Festival. W pracy skupia się na tematyce ekologicznej. Jego filmy „PM 2.5" (2017) i „Good Job" (2020), w których poruszał temat smogu i niebezpiecznego zanieczyszczenia powietrza, zostały docenione na wielu międzynarodowych festiwalach. Za pełnometrażowy debiut fabularny „W nich cała nadzieja" (2023) otrzymał wyróżnienie w Konkursie Filmów Mikrobudżetowych na FPFF w Gdyni, a także nagrodę dla najlepszego filmu fabularnego na Trieste Science+Fiction Festival we Włoszech.

eprasa.pl 257ab95923

„W nich cała nadzieja"

gorąco i zabraknie żywności, wszyscy ci ludzie będą musieli skierować się do krajów, gdzie będą mogli znaleźć cień, wodę i jedzenie. Wtedy określenie uchodźca klimatyczny było teorią. W tym roku w październiku w okolicach Lampedusy zatonął statek z uchodźcami z Somalii. Uciekali ze względu na suszę, nie na ekonomię. ONZ uznało ich za uchodźców klimatycznych. Po raz pierwszy oficjalnie użyto tego terminu.

W twoim filmie pojawia się pojęcie wojen klimatycznych. Jak realna jest to wizja?

– Naukowcy twierdzą, że dojdzie do nich w przyszłości, a pewne rzeczy już się dzieją. Na granicy między Indiami a Bangladeszem budowany jest mur, który dziś ma 3 tys. km długości. Ma on zapobiec przemieszczaniu się ludzi, którzy będą migrować z powodu kryzysu klimatycznego. Naukowcy uważają, że więcej niż 15 mln ludzi opuści Bangladesz do roku 2040. A to nie będzie dotyczyło tylko tego jednego kraju. Tak naprawdę cała Afryka rzuci się do ucieczki. Pytanie, czy kraje z północy globu są na to gotowe. Jeżeli nie są, dojdzie najprawdopodobniej do próby zablokowania drogi migrantom klimatycznym. Powstał już na to termin: I wojna klimatyczna.

Podobną wizję snujesz w filmie, gdzie słyszymy, że podczas tej wojny zabrakło wody w Indiach. Ludzie zaczęli uciekać na zachód, gdzie państwa postawiły na granicach tysiące robotów bojowych. Maszyny nie przepuściły nikogo, dokonały eksterminacji.

– Najprawdopodobniej – tak twierdzi ONZ – murów przy granicach będą w przyszłości pilnować nie ludzie, tylko maszyny. Będą wyposażone w specjalne czujniki i w reakcji na ruch będą oddawały strzał. Jeżeli te roboty faktycznie zostaną tam ustawione, to zostaną zaprogramowane przez anonimowych programistów. W ten sposób odpowiedzialność za tę zbrodnię się rozmyje. Człowiek prawdopodobnie odmówiłby strzelania do milionów ludzi. Ale maszyna nie odmówi. Nasz filmowy robot służył niegdyś w ten sposób, ale jego pamięć została wykasowana. To oznacza, że w przyszłości jednym przyciskiem, jednym kliknięciem będziemy mogli wykasować i wymazać tę historię.

W filmie jest również mowa o tym, że uchodźcy klimatyczni nie będą mieli żadnych praw w przeciwieństwie do tych politycznych. Nastąpi więc pewna gradacja.

– Tak, ona może nastąpić. Konwencje genewskie mają wiele luk i wad. Robot w naszym filmie zresztą powołuje się na nie, mówiąc, że uchodźca musi doznać poważnej szkody, a wojna – w jego mniemaniu – nie jest tą szkodą. Czytając ten konkretny artykuł, sam sobie zadałem pytanie, co w takim razie może być straszniejszego od wojny. W świetle tych rozporządzeń uchodźcy klimatyczni mogą stać się gorszą kategorią. Będzie ich też za dużo. Szacunki mówią o milionach ludzi z rodzinami, których nikt nie zatrzyma. To będzie desperacki odruch, dlatego boję się tego, co w perspektywie najbliższych 10 lat może się wydarzyć.

Nie widać, by ktoś te przewidywania traktował poważnie. Głowy państw co jakiś czas spotykają się na szczytach i konferencjach klimatycznych, na których wciąż nie doszło do wypracowania konkretnych rozwiązań.

– Mam przyjaciela w ONZ, który od lat jeździ na konferencje klimatyczne COP. Dużo o tym rozmawiamy i jest to trudny temat. Porozumienie w sprawie klimatu nie jest raczej możliwe. Świat jest podzielony na państwa wysoko rozwinięte i słabo rozwinięte. Przykładowo, jeśli odejdziemy od węgla, żeby zmniejszyć emisje gazów cieplarnianych, to tylko zwiększymy tę dysproporcję. Kraje biedne, takie jak Indie, gdzie gospodarka opiera się na pracy w hutach i kopalniach, nie poradzą sobie z przeobrażeniem. To patowa sytuacja, w której politycy, a tym bardziej korporacje, nie chcą nic realnego zrobić. Politycy bawią się w obietnice bez pokrycia, chociaż ja wierzę, że w przyszłości problem zostanie rozwiązany.

Poprzednie pokolenia nie miały świadomości tego, jak niszczą naszą planetę.

Kryzys klimatyczny i wyzwania z nim związane są w zasadzie studnią bez dna, otchłanią. W prologu słyszymy w twoim filmie, że wzrost globalnej temperatury to jeden z wielu problemów: podczas uwolnienia gazów do atmosfery może również dojść do uwolnienia bakterii, które były zahibernowane przez tysiące lat.

– To prawda. Prowadzone są badania na temat wirusów, które są ukryte w lądolodach. Naukowcy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, WIKTOR OBROK

eprasa.pl 257ab95923

znaleźli w wieloletniej zmarzlinie na Syberii wirusa, który ma zdolność infekowania pierwotniaków. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wirus ten był zamrożony przez ostatnie 30 tys. lat. Przez trzy lata badań naukowcy wykryli już ponad 25 grup wirusów nieznanych dotąd nauce. Nie wiemy, jak ludzki organizm zareaguje na obce i nieznane nam bakterie sprzed tysięcy lat. To się stanie, jeśli dojdzie do podniesienia temperatury o 7 st. C i roztopienia lądolodów, a przecież jesteśmy świadkami tego procesu. Kiribati na Oceanie Spokojnym będzie pierwszym krajem, który przestanie istnieć z powodu globalnego ocieplenia. Połowa tamtejszych wysp jest już zalana, ludzie stamtąd uciekają. Druga rzecz, że wraz z bakteriami uwolni się metan, który jest ukryty pod ziemią. Metan jest tu szczególnie niebezpieczny, ponieważ jego potencjał tworzenia efektu cieplarnianego jest wielokrotnie wyższy niż dwutlenku węgla. To już się dzieje nie tylko na Syberii.

A jednak w tytule twojego filmu pojawia się nadzieja.

– Tytuł „W nich cała nadzieja" ma wiele znaczeń. Dla mnie przede wszystkim jest to przekaz do świata, by pamiętać, że cała nadzieja jest w młodych ludziach. Nasze pokolenie i pokolenie moich rodziców zostawiło im świat w krytycznym stanie. To tykająca bomba. Poprzednie pokolenia nie miały świadomości tego, jak niszczą naszą planetę. Dzisiejsza młodzież jest za to dużo mądrzejsza od nas. Drzemie w niej potężna siła, a przede wszystkim chęć, by ten świat zmieniać. Kiedyś te nastolatki staną się ludźmi, którzy będą mieli władzę: zostaną prezesami dużych firm, korporacji, wejdą do polityki. Naprawdę, to w nich jest cała nadzieja.

Bardzo często w kontekście kryzysu klimatycznego mówi się o najczarniejszych, apokaliptycznych scenariuszach. A czy ty widzisz jeszcze szansę na ratunek?

– Na pewno nie można tego procesu zatrzymać, ale możemy go spowolnić. To musi się odbyć poprzez zmiany wdrażane przez poszczególne państwa. Niektóre już są widoczne, ale pamiętajmy, że nie da się zrobić wszystkiego od razu. Bardzo ważne są także małe kroczki, które każdy musi wykonać. Bo zmiana zaczyna się od nas. Ludzie nie kupują już tak wody w plastikowych butelkach, tylko noszą kranówkę w bidonie. Nie ma już plastikowych słomek w restauracjach. Kraków wprowadza strefę czystego powietrza. Każdy drobny krok to kamyczek, który w przyszłości spowoduje lawinę, której nie da się zatrzymać.

Zmiana zaczyna się od nas. Ludzie już tak nie kupują wody w plastikowych butelkach, tylko noszą kranówkę w bidonie.

Mateusz Demski

eprasa.pl 257ab95923

Śmierć w blasku słońca

Piękno natury było dla van Gogha kontrapunktem dla jego własnych cierpień

Daniel Wójtowicz

Przytłoczony był chorobą psychiczną, lękami i poczuciem odrzucenia. „Kim jestem w oczach większości ludzi? Nonsensem, ekscentrykiem lub nieprzyjemną osobą – kimś, kto nie ma pozycji w społeczeństwie i nigdy nie będzie mieć; w skrócie, najniższy z najniższych – uskarżał się Vincent van Gogh, za życia niedoceniany, a dziś uznany za jednego z największych malarzy w dziejach ludzkości.

Jego znakiem szczególnym stały się słoneczniki. Ten dziwny kwiat wydaje się obrazować syntezę prawdy o stanie ducha artysty: ponure wnętrze otoczone pozorną słoneczną radością. Rozmyślam o tym po odwiedzeniu głośnej multimedialnej wystawy prac tego wyjątkowego twórcy: „Van Gogh & Friends" w Soho Art Center w Warszawie.

Dzięki nowoczesnym technikom dziesiątki maksymalnie powiększonych obrazów van Gogha pojawiają się tam w ruchu, jednocześnie na wszystkich okalających widzów ścianach, na podłodze, a nawet wdzierają się na sylwetki oglądających. To prawdziwe – zgodne z podtytułem wystawy, „Immersive Experience" – zanurzenie. Czy jednak dotyka sensu tych dzieł? Może tak, może nie – to warte przemyślenia.

Van Gogh jak wielu malarzy przywiązywał bardzo dużą wagę do wymiarów tworzonych obrazów. Pewnie nie dopuściłby do żadnych ich naruszeń. Mało tego. W założeniu tym mieściła się również rama. Gdy zdarzyło się, że opiekun, lekarz i przyjaciel malarza, dr Gachet zaniedbał oprawy podarowanego mu pejzażu, van Gogh odebrał to jako obrazę i wystarczający powód do definitywnego zerwania przyjaźni. Trudno zatem wyobrazić sobie radość mistrza zza grobu na widok jego obrazów rozciąganych dziś na całe ściany.

Ale może byłoby inaczej? Van Gogh jako pierwszy w swojej epoce porwał się na wykonanie obrazu o nietypowych, bo panoramicznych rozmiarach. Zapewne chciał tym osiągnąć efekt podobny do tego, jaki dają dzisiejsze projektory. Wówczas jednak był to zamysł całkowicie niezrozumiały. Szokował współczesnych mu kolekcjonerów i zniechęcał ich do kupna tej pracy.

Może zatem dziś odczułby ulgę i satysfakcję, widząc, że potomni dostrzegają sens w powiększaniu jego dzieł, a nawet we wprowadzaniu oglądających do ich środka? To rzeczywiście daje wspaniały efekt, ale jednocześnie, jak mi się wydaje, obrazy te coś ważnego tracą.

Wszechogarniająca projekcja, totalny sposób przedstawiania obrazów, znany mi już z poprzedniej wystawy tego typu, nastawiona jest głównie na zachwycanie kompozycjami malarskimi i rozświetlanie przestrzeni wokół widza. A przecież van Goghowi nie o taki efekt chodziło. Nie dążył on – w przeciwieństwie do wielu innych, „typowych" impresjonistów – do epatowania rozbłyskami piękna natury. Przeciwnie, było ono dla niego swoistym kontrapunktem dla własnych cierpień. Ukazywał pustkę swojego życia i grozę losu. Nieprzypadkowo nad jego złotymi łanami pszenicy, na tle ciemnego jak atrament nieba, wirują złowrogo czarne kruki.

„Widziałem w tych żniwach obraz śmierci", wyznał kiedyś. I dodał, pewnie dla lepszego zrozumienia obrazu i całej jego przewrotności: „Ale w tej śmierci nie ma nic smutnego. Ma ona miejsce w biały dzień, ze słońcem, które zalewa wszystko blaskiem czystego złota".

Na takie właśnie pole, pełne złotych łanów, wyszedł Vincent w końcu lipca 1890 r. na swój ostatni plener.

I samobójczo wypalił z rewolweru. Potwierdził tym tragicznie, jak bardzo opętywały go myśli o śmierci. I zarazem zakotwiczył je na zawsze w wymowie większości swoich prac. Stały się one, jak ta śmierć w blasku słońca, postimpresjonistyczną wizją depresji.

To dramatyczne oddziaływanie prac van Gogha na psychikę widza leżało moim zdaniem u podstaw niepowodzenia tej twórczości u jemu współczesnych. Dziś emocjonalność, a nawet depresyjność dzieł van Gogha uznana została za wyraz jego geniuszu, który wyprzedził swój czas. Pojedyncze trafiające na aukcje obrazy osiągają cenę powyżej 100 mln dol.

A na wystawie „Van Gogh & Friends" dziesiątki tysięcy warszawiaków mogą dzieła mistrza mieć wręcz na wyciągnięcie ręki. To wspaniałe: oto wielkie malarstwo van Gogha „wkracza pod strzechy". A że w rozświetlonej, wszechogarniającej projekcji „totalnej"? Chyba nieprzypadkowo. Dzisiaj przecież wszystko musi być zamieniane na rozświetlone „bajty" i pokazywane na ekranach. No i przeważnie wyzute z głębszych treści i emocji. Zgodne z elektronicznym i zarazem populistycznym duchem naszych czasów.

Wystawa „Van Gogh & Friends", Soho Art Center, Warszawa, ul. Mińska 63, do 14 stycznia 2024

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 257ab95923

KURTYNA W GÓRĘ

Starość – rzecz ludzka

Spektakl na podstawie książki i podcastu Magdaleny Grzebałkowskiej i Ewy Winnickiej okazał się słodko-kwaśnym pokazem starzenia się, które na każdą/każdego przychodzi. Autorki z lekką ironią, dystansem opisują czas przełomu, kiedy kończy się wiek górny i durny, a zaczyna poważny. Pojawia się pierwszy siwy włos, dają o sobie znać rozmaite dolegliwości, objawy menopauzy, rozdrażnienie. Maciej Łubieński, sięgając po doświadczenia z Pożaru w Burdelu i czerpiąc z poetyki Klubu Komediowego, nasycił przedstawienie przemianami i dziwnościami. Na scenie zjawiają się spersonifikowane uczucia i pojęcia abstrakcyjne niczym w moralitecie. W tych ucieleśnieniach idei celuje Eliza Borowska, ale cały zespół zasługuje na pochwały za utrzymanie tempa oraz wyrazistość rysunku rozmaitych postaci i sytuacji.

„Jak się starzeć bez godności", adaptacja Maciej Łubieński, reżyseria Maciej Podstawny, Teatr Komedia, premiera 10 listopada 2023

W głównie damskiej obsadzie sprawdza się Tomasz Dedek jako mężczyzna wieloczynnościowy – a to trener, a to kochanek, a to mąż... Świetnym dopełnieniem są dokrętki wideo z baru mlecznego, w którym dochodzi do zwierzeń bohaterek, a całość spaja profesjonalny głos z offu komentującej akcję Sandry Korzeniak. Tak powstał spektakl, który wpuszcza trochę świeżego powietrza do nieco już anachronicznej formy teatru farsowego, dając nadzieję na bardziej zróżnicowany repertuar komediowy.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Zbigniew Rokita

Odrzania

Znak Literanova, Kraków 2023

Dzbanuszek ze srebrzystym „Zur Silberhochzeit 25", razem z kredensem, w którym latami stał, przewędrował z mieszkania dziadków, osiedleńców na Mazurach, do rodziców. Mam sentyment do tych śladów minionego – gdy było kogo o ich przeszłość wypytać, takie wspominki nie miały znaczenia, to wojna ciekawiła; gdy go nabrały, zrobiło się za późno. Tak jak Odrzanie Rokity szukam teraz ciągłości, zakorzenienia sięgającego dalej niż rok 1945. Bo z upływem czasu dawne, bardziej niż straszyć, zaczęło nowe pokolenia ciekawić, pojawiła się potrzeba zachowania go, nie negowania. Autor skupia się na zachodzie Ziem Odzyskanych i Gdańsku, ale jesteśmy – on pochodzący z Gliwic, ja z Ełku – z tej samej ziemi, z Poniemiecczyzny. Dlatego tak bliska jest mi jego wędrówka po terenach już „umojonych" przez obecnych mieszkańców, lecz wciąż odrębnych, co widać np. w napięciu między Odrzanią a Polską wiślanocentryczną i samą Warszawą. A przecież to książka wybitnie osobista, trochę autoironiczna, trochę kpiarska, ale odzwierciedla rozmowy z mądrymi ludźmi, nie ukrywa wątpliwości, relatywności, przekłuwa baloniki różnych mitów – zmitologizowanym terminem jest dla Rokity... historia.

Aleksandra Pańko

NA POWAŻNIE

Ewa zawiniła

„Raj utracony" Krzysztofa Pendereckiego pokazuje nasz świat po strasznej katastrofie. Adam w łachmanach, Ewa lekko utyka, a mimo to daje się skusić i doprowadza do nieszczęścia. Jej syn Kain zabija Abla, a potem to już się rozprzestrzenia. Nowością w łódzkiej inscenizacji są książki, które obok jabłek wiszą na biblijnym drzewie. Grzesznicy zbierają cenne tomy, wyrywają kartki i zjadają. Nadzieja na odrodzenie się czytelnictwa?

Bronisław Tumiłowicz

Krzysztof Penderecki, „Raj utracony", reżyseria Michał Znaniecki, dyrygent Rafał Janiak, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 24 listopada 2023

Szymanowski z szuflady

Co decyduje o wielkim sukcesie operetki? Parę powiedzonek w dialogach, ale przede wszystkim melodyjna, harmonijna muzyka, przynajmniej jeden hit, którego kawałek da się zapamiętać, powtórzyć. Czy któryś z tych elementów występuje w „Loterii na mężów…"? Muzycznego hitu tu nie ma, co nie oznacza, że dzieło nie brzmi operetkowo. Do niedawna nie było ono wystawiane, a że pełne libretto nie zachowało się, trzeba było skorzystać z usług dramaturga i scenarzysty Wojciecha Tomczyka, który w kilku miejscach odnosi się do współczesności. Temat operetki, zbudowany na klasycznych motywach marzenia o zamążpójściu i niby-konflikcie klubów starych panien i wdowców, został dość dobrze pokazany, nawet aktorsko było całkiem nieźle. Gorzej wypadli niektórzy śpiewacy. O ile Jarosław Bielecki czy Szymon Raczkowski w miarę dobrze się zaprezentowali, o tyle ma się wrażenie, że rola Tobiasza Helgolanda nie jest skrojona dla Tomasza Kuka, a Michał Kutnik jakby się zatrzymał w rozwoju. Możliwe, że ten gatunek im po prostu nie leży.

Karol Szymanowski, „Loteria na mężów, czyli narzeczony nr 69", reżyseria Marcin Sławiński, Opera Krakowska, premiera 17 listopada 2023

Paweł Dybicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI/KFP, DAWID STUBE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 257ab95923

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Teatralia końca kaczyzmu

Wzmaga się wiatr zmian, meteoalerty w komórkach kaczystów masowo ostrzegają przed huraganem Donald, który ma uderzyć około 12 grudnia. Skalę paniki w mediach publicznych oddaje ściągnięcie z półki moich „Pradziadów", które w dniu zaprzysiężenia nowego rządu TVP premierowo nada w Teatrze Telewizji. Państwo wybaczą tę odrobinę prywaty, ale ostatnio występowałem w mediach rządowych jako szatański pomiot w materiale „Wiadomości" o popełnionej przeze mnie felietonistycznej krotochwili na temat pobożności polskich skoczków narciarskich. Naczytałem się wtedy nienawistnych anonimów i miałem srogi ubaw, bo strollowałem pół Polski jednym wicem o obrazie uczuć ateistycznych, skądinąd pożyczonym od Stanisława Dygata. Teraz będę dramatopisarzem primetime'owym…

Przed zmianą władzy zawsze nadchodzi czas półkowników. Etatowi funkcjonariusze telewizji publicznej próbują awansem obłaskawić nowy zarząd. Bawi mnie to i cieszy, nawołuję krewnych i znajomych, żeby 12 grudnia zasiedli przed Teatrem Telewizji (na TVP Kultura), jak to drzewiej bywało, bez *guilty pleasure* lub innej zgrozy żenadnej.

Szykuje się także odzyskanie, tudzież odbicie prasy regionalnej, w ogóle retoryka wojenna zdaje się wciąż niewygaszalna, no ale jak to napisać: po wrogich przejęciach nadeszła pora na przyjazne przekazania? Jak przyjacielsko PiS oddaje władzę, właśnie się przekonujemy – przeciągają do ostatniej chwili wszystkie procedury, licząc na cud albo natchnienie Wodza, który być może uzna, że ojczyznę uratować może tylko zamach stanu. Właściwie to nie ma innego wyjścia, skoro wedle Kaczyńskiego grozi nam likwidacja państwa – racja stanu usprawiedliwia wszak „opcję atomową". Jeśli człowiek, który marzył o byciu zbawcą narodu, rzuca takie słowa na wiatr, żałosny to upadek. Jeśli mówi serio, czym prędzej należy go ubrać w kaftan bezpieczeństwa, bo tym razem 13 grudnia może się obudzić wcześniej. Licho nie śpi do południa.

Skądinąd nadchodzi też czas zmian nazw – o tym, że „Wiadomości" (cudzysłów obowiązkowy, jak w radzieckiej „Prawdzie") dołączą do lamusa tytułów historycznie haniebnych, obok „Dziennika Telewizyjnego", już wiemy – trwają deliberacje wokół stosownego nazwania nowego główniaka informacyjnego w odpartyjnionej telewizji. Tymczasem prezes PiS uznał, że należy także przemianować partię, aby do kolejnych wyborów wystartować „na czysto", co trochę się kłóci z tonami propagandy sukcesu, którymi byliśmy przygniatani przez osiem lat.

Zresocjalizowani kryminaliści często, „wychodząc za żon", przyjmują nazwisko małżonki, żeby symbolicznie odciążyć konto poczynionych łajdactw. Kaczyński liczy na to, że nowa nazwa uruchomi w elektoracie nową energię i wywoła powszechną sympatię, a jak znam jego uzurpatorskie pragnienia, będzie to nazwa jeszcze bardziej bałamutna niż „Prawo i Sprawiedliwość". Wedle moich przeczuć Jarosław Kaczyński zechce się pocieszyć utratą władzy nad Polską sprawowaniem władzy nad „Polską". Taka nazwa partii byłaby logiczną konsekwencją utożsamienia interesu partyjnego z narodowym. Głosuj na „Polskę". „Polska" jest najważniejsza. „Polska" mistrzem Polski. Nikt nie ośmieli się skrócić takiej nazwy. Nikt nie ośmieli się podnieść ręki na taką partię. Jednym genialnym posunięciem prezes zniewoli umysły patriotów. A gdyby to nie wystarczyło, jeśli ryży niemiecki wasal bezpowrotnie zahipnotyzuje obywateli swoimi *Wolfsaugen*, Jarosław Kaczyński i tak będzie rządził swoją „Polską" niepodzielnie i dozgonnie. Spektakl marzeń prezesa będzie trwał, zmieni się tylko scena – z narodowej na skromny teatr marionetek.

Spektakl marzeń prezesa będzie trwał, zmieni się tylko scena – z narodowej na skromny teatr marionetek.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTubie i LinkedIn

eprasa.pl 257ab95923

Najwyżej dostaniesz tróję

Rodzina może być zarówno przyczyną perfekcjonizmu, jak i skutecznym czynnikiem ochronnym

Rozmawia Michał Sobczyk

Czym jest perfekcjonizm? Najczęściej mówi się o nim jako o cnocie lub swego rodzaju obsesji.

– Jest pewnym względnie stałym wzorcem funkcjonowania, dlatego możemy go nazwać cechą osobowości. Przejawia się ona w perfekcjonistycznych dążeniach, jak nazywamy stawianie sobie bardzo wysokich oczekiwań, często niemożliwych do spełnienia: nigdy nie powinnam popełniać błędów, zawsze powinienem być na czas itd. Często towarzyszą im też perfekcjonistyczne obawy, a więc utrzymujący się lęk przed niespełnieniem tych oczekiwań oraz przekonanie, że zostanie to surowo ocenione i doprowadzi do innych negatywnych konsekwencji. Te dwa aspekty są oczywiście powiązane, bo osoby, które dużo od siebie oczekują, mają tendencję do przejmowania się bardziej tym, co będzie, jak im się nie uda. Związek między nimi nie jest jednak bardzo silny i dlatego można wskazać różne typy perfekcjonistów.

Przez długi czas psycholodzy koncentrowali się na klinicznym wymiarze perfekcjonizmu, m.in. na jego współwystępowaniu z zaburzeniami odżywiania czy wypaleniem zawodowym. Od jakichś 30 lat wiemy, że może on mieć również pozytywne skutki. Niewykluczone, że współczesny świat jest po prostu dobrym miejscem dla pewnej kategorii perfekcjonistów.

Co wyróżnia tę grupę?

– Perfekcjoniści, których nazywamy adaptacyjnymi lub zdrowymi, mają silne dążenia perfekcjonistyczne, którym nie towarzyszy wysoki poziom perfekcjonistycznych obaw. Takie osoby mają ambitne cele, ale lepiej radzą sobie z porażkami, o których potrafią myśleć w kategoriach: tym razem się nie udało, ale następnym razem włożę więcej wysiłku, wtedy się uda. Tymczasem dezadaptacyjni czy niezdrowi perfekcjoniści bardzo wówczas się krytykują, długo rozpamiętują błędne decyzje itp.

Jak się żyje takim ludziom?

– Perfekcjoniści pierwszego typu, choć są narażeni na pracoholizm i przemęczenie (aczkolwiek w znacznie mniejszym stopniu niż należący do typu drugiego), w wielu obszarach funkcjonują bardzo dobrze. Wiele badań pokazuje, że w porównaniu z niezdrowymi perfekcjonistami oraz nieperfekcjonistami nie tylko częściej awansują i lepiej zarabiają, ale także są bardziej zadowoleni z życia. Chyba uprawnione będzie stwierdzenie, że nauka wykazała już, iż perfekcjonizm może być nie tylko związany z psychopatologią, ale i stać się źródłem życiowego sukcesu, rozumianego jako spełnianie się w rolach rodzinnych, edukacyjnych i zawodowych. Aby jednak tak się stało, perfekcjonista musi być względnie elastyczny w swoich dążeniach do perfekcji i dobrze sobie radzić z negatywnymi emocjami. Niestety, w większości przypadków tak nie jest.

W efekcie perfekcjonizm często jest przede wszystkim źródłem cierpień, nawet gdy pozwala zdobyć podziw otoczenia czy dobrze płatną pracę.

– Najwcześniej zaobserwowano, że zwiększa ryzyko anoreksji, dla której charakterystyczny jest nierealistyczny obraz własnego ciała

Dr hab. Konrad Piotrowski – psycholog rozwojowy. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół rozwoju osobowości w okresie dzieciństwa, dorastania i wczesnej dorosłości oraz wypalenia rodzicielskiego. Zastępca dyrektora Instytutu Psychologii Uniwersytetu SWPS, kierownik Centrum Badań nad Rozwojem Osobowości na tej samej uczelni, wiceprezes Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Rozwoju Człowieka.

FOT. UNIWERSYTET SWPS

eprasa.pl 257ab95923

i celów wobec niego. Jest też mocno powiązany z zaburzeniami afektywnymi. Badania, również moje, wykazały, że ciągłe poczucie, iż nie jest się wystarczająco dobrym, prowadzi u dezadaptacyjnych perfekcjonistów do spadku samooceny i w konsekwencji do obniżenia nastroju, które z czasem może się przerodzić w zaburzenie afektywne.

Perfekcjonistom niejednokrotnie towarzyszą także zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Wbrew częstym wyobrażeniom zachowania takie jak nieustanne przestawianie rzeczy – obrusik zawsze musi być na samym środku stołu, a samochód zaparkowany idealnie wzdłuż krawężnika – to nie perfekcjonizm, ale właśnie zachowania kompulsywne, które mogą, choć nie muszą, być z perfekcjonizmem związane.

Nasza kultura sprzyja perfekcjonizmowi.

Dezadaptacyjnych perfekcjonistów prześladują też uzależnienia. Są na nie bardziej narażeni, gdyż żyją w ciągłym napięciu i często doświadczają negatywnych emocji. Wielu sięga po alkohol czy narkotyki, żeby po prostu poczuć się lepiej, wyluzować.

Co sprawia, że niektóre osoby już w dzieciństwie mają obsesję doskonałości, a inne są od niej dalekie przez całe życie?

– Kiedy postawimy obok siebie pięciu perfekcjonistów, to każdy może mieć inną ścieżkę, która doprowadziła go do perfekcjonizmu, ale znamy czynniki zwiększające prawdopodobieństwo pojawienia się tej cechy albo napędzające jej rozwój.

Mało możliwe, że kiedykolwiek znajdziemy „gen perfekcjonizmu", bo osobowość nie rozwija się w ten sposób, ale jednocześnie zyskaliśmy już niemal pewność, że perfekcjonizm ma jakiś komponent biologiczny. Prawdopodobnie chodzi o jego związek z dwiema podstawowymi cechami osobowości, które przynajmniej częściowo podlegają dziedziczeniu. Ważniejsza jest tu neurotyczność, czyli niska stabilność emocjonalna. Już u paromiesięcznych dzieci możemy zaobserwować, że niektóre są bardziej lękliwe, a inne spokojniejsze – pozytywnie reagują na nowości itd. Wysoki wrodzony poziom neurotyczności jest wczesnym czynnikiem ryzyka dla rozwoju wielu negatywnych charakterystyk, w tym perfekcjonistycznych obaw.

A druga cecha, która sprzyja perfekcjonizmowi?

– Jest nią sumienność, czyli skłonność do planowania i działania zgodnie z planem, a więc dążenie do unikania nieprzewidywalności. Dzieci, które lubią mieć wszystko uporządkowane i chcą z góry wiedzieć, co będzie się działo, są bardziej zagrożone tym, że wyrosną na perfekcjonistów.

Perfekcjonista to po prostu sumienny neurotyk?

– Żeby te cechy zamieniły się w perfekcjonizm, muszą nałożyć się na nie dodatkowe czynniki. Duże znaczenie ma kultura, w której wzrastamy. Większość kultur krajów wysoko rozwiniętych kładzie nacisk na dążenie do osobistego sukcesu i promuje rywalizację. Także w Polsce już małe dzieci są uczone, że trzeba bardzo się starać i być lepszym od innych, żeby mieć udane życie, a jeśli komuś się nie powiedzie, będzie to wyłącznie jego wina. Ten sposób myślenia sprawia, że zaczynamy podwyższać standardy – sami sobie, ale również innym. Można zatem powiedzieć, że nasza kultura sprzyja perfekcjonizmowi.

Już małe dzieci są uczone, że trzeba bardzo się starać i być lepszym od innych, żeby mieć udane życie.

Jeszcze większą rolę odgrywają uwarunkowania rodzinne, bo to rodzice są dla dzieci głównym źródłem oczekiwań, a ich podejście do życia może osłabiać lub wzmacniać wpływy kultury. W jednych domach można usłyszeć, że każdy czasem popełnia błędy i nie ma w tym nic strasznego, w drugich reakcją na czwórkę jest klasyczne: „A dlaczego nie piątka?". Gdy psycholodzy pytają dorosłych perfekcjonistów o dzieciństwo, przeważnie słyszą, że nie czuli się akceptowani, bo wiecznie dawano im do zrozumienia, że nie są wystarczająco dobrzy.

Polską szkołę nazywa pan kuźnią perfekcjonistów.

– U wielu osób jest ona ważnym zaczątkiem perfekcjonizmu, gdyż nie akceptuje błędów i ciągle ocenia oraz porównuje ze sobą uczniów. Ponadto z badań wiemy, że im bardziej perfekcjonistyczny jest nauczyciel, tym bardziej perfekcjonistyczni z czasem stają się jego podopieczni. Rodzice muszą bardzo się napracować, żeby osłabić te oddziaływania.

Nieustające dążenie do doskonałości i lęk przed jej nieosiągnięciem muszą silnie rzutować na wszystkie sfery życia.

– Perfekcjonizm zbiera największe żniwo w obszarach, w których funkcjonujemy w sposób zadaniowy, zwłaszcza gdy dodatkowo jesteśmy rozliczani z naszych działań. W szkole i w pracy może być zarówno źródłem wielkich sukcesów jednostki, zwłaszcza ten zdrowy, jak i zarzewiem bardzo poważnych kłopotów, jeżeli ujawni swój neurotyczny wymiar.

W tym miejscu zrobię ważne zastrzeżenie: cały czas rozmawiamy o perfekcjonizmie zorientowanym na siebie, tymczasem ta cecha może też się przejawiać w oczekiwaniach wobec otoczenia. Perfekcjonizm zorientowany na innych, czasem nazywany narcystycznym, ma bardzo poważne konsekwencje dla relacji społecznych.

Perfekcjonista perfekcjoniście nierówny.

– Niektórzy oczekują bardzo dużo zarówno od siebie, jak i od otoczenia, ale są i tacy, którzy mówią: „Nie każdy musi dawać z siebie wszystko, ale ja muszę, bo to dla mnie ważne". Z kolei perfekcjoniści narcystyczni najwięcej oczekiwań zgłaszają nie pod własnym adresem, ale wobec partnerów, dzieci, przyjaciół i współpracowników. Nie tolerują ich błędów, złoszczą się, gdy ci robią coś na pół gwizdka, zaczynają o nich negatywnie myśleć

eprasa.pl 257ab95923

i głośno krytykują, gdy coś stale im nie wychodzi. Cierpią szczególnie bliscy perfekcjonisty – on sam ma zazwyczaj bardzo pozytywny obraz samego siebie, uważa, że reszta świata nie dorasta mu do pięt – ale po jakimś czasie jego zachowania rykoszetem trafiają także w niego samego. Nikt nie lubi ciągle wysłuchiwać połajanek, więc kolejne osoby zaczynają go unikać, ukrywać przed nim różne rzeczy, zrywać relacje.

Co ciekawe, badania pokazują, że częściej żądamy perfekcji od partnera niż od dzieci, które traktujemy bardziej refleksyjnie.

Niezdrowy perfekcjonizm jest błędnym kołem myślenia o tym, że stanie się coś strasznego, jeśli zrobimy coś nie tak.

Wróćmy do perfekcjonistów zorientowanych na siebie. Jak mogą o siebie zadbać?

– Zacznę od tego, że bardzo często trafiają oni do specjalistów od zdrowia psychicznego nie z powodu perfekcjonizmu, tylko jego konsekwencji. Gdy psychoterapeuta albo psychiatra zaczyna badać osobę uzależnioną, cierpiącą na depresję lub ataki paniki, skarżącą się na zaburzenia nerwicowe bądź bezsenność, czasem okazuje się, że jednym z towarzyszących symptomów jest właśnie bardzo silny perfekcjonizm. Nie ma na niego żadnych tabletek, choć oczywiście farmakoterapia może być konieczna do leczenia jego skutków, natomiast specjalista zapewne powie, że wskazana jest jakaś forma pomocy psychologicznej.

Wiele badań pokazuje, że bardzo wysokie oczekiwania wobec siebie czy sztywne przekonanie o tym, że trzeba być idealnym, można dość dobrze przepracować podczas terapii, zarówno indywidualnej, jak i grupowej. Najwięcej danych mamy zapewne na temat skuteczności terapii poznawczo-behawioralnej, skupionej na tym, żeby wspólnie z pacjentem zmieniać szkodliwe wzorce myślenia, ale potwierdzono też skuteczność innych nurtów, które nieco inaczej podchodzą do tematu. Jeżeli ktoś z czytelników doświadcza negatywnych konsekwencji perfekcjonizmu, to zachęcam, żeby udać się do psychoterapeuty.

Coraz popularniejsze są metody odwołujące się do koncepcji uważności, szerzej znanej jako mindfulness.

– One również pozwalają uzyskać dobre efekty w odniesieniu do perfekcjonizmu. Przykładem może być ośmiotygodniowa terapia poznawcza oparta na uważności, *mindfulness-based cognitive therapy* (MBCT). Nie jest to psychoterapia sensu stricto, ale fajne, ciekawe i skuteczne oddziaływanie psychologiczne, które uczy bardziej świadomego funkcjonowania – wyłapywania automatyzmów i niepoddawania się im. Przydatne mogą być także książki samopomocowe, *self-help books*, zawierające zalecenia i ćwiczenia składające się na swego rodzaju kurs radzenia sobie z perfekcjonizmem. Niestety, nie spotkałem się jeszcze z żadną taką publikacją wydaną w języku polskim.

Niezdrowy perfekcjonizm jest błędnym kołem myślenia o tym, że stanie się coś strasznego, jak tylko zrobimy coś nie tak. Okazuje się ono nie tak trudne do przerwania, jednak często potrzebna jest do tego ingerencja specjalisty, do której należy bardzo zachęcać.

Dorośli perfekcjoniści przeważnie w dzieciństwie nie czuli się akceptowani, bo wiecznie dawano im do zrozumienia, że nie są wystarczająco dobrzy.

A jak wygląda profilaktyka perfekcjonizmu?

– Także w tej sferze istnieje kilka metod, których skuteczność została potwierdzona naukowo. Testowano np. interwencje w szkołach, polegające na zaledwie kilkudniowych zajęciach z odpowiednio wytrenowanym psychologiem. Okazuje się, że w następstwie takich oddziaływań u dziewczynek spada poziom tzw. gotowości anorektycznej, a uczniowie obu płci mniej krytycznie myślą o sobie, kiedy np. słabo wypadną na jakimś sprawdzianie.

Wspomniałem już, że również rodzina może być zarówno ważnym przekaźnikiem czy wręcz źródłem perfekcjonizmu, jak i skutecznym czynnikiem ochronnym. Ma to coraz większe znaczenie, gdyż trwa ciągła pogoń za pieniędzmi, posadami, awansami oraz popularnością i naprawdę nie trzeba wiele, żeby zostać perfekcjonistą.

Co zrobić, kiedy dziecko wraca do domu przytłoczone ciągłymi porównaniami do innych czy krytyką ze strony nauczycieli?

– Przytulić i powiedzieć, że wiemy, co czuje, i żeby spróbowało nie przywiązywać znaczenia do pewnych uwag. Albo przyznać się, że też nie mieliśmy samych piątek i jakoś nam się życie nie rozwaliło z tego powodu. Stwórzmy po prostu bezpieczną przestrzeń, która będzie przeciwwagą. Najgorsze, co może spotkać dziecko w takiej sytuacji, to kiedy po przyjściu ze szkoły drugi cios dostanie w domu.

Ciągle mówimy młodszym pokoleniom: „Uczcie się! Biegnijcie!", tymczasem, gdyby przyjrzeć się ludziom, którzy są zadowoleni z siebie, mają fajną pracę i ciekawe hobby, to bardzo wielu z nich wcale nie było fantastycznymi uczniami. Nie chodzili na trzy języki, jazdę konną i szermierkę, nie mieli szóstek na świadectwach, a jakoś sobie poradzili i mają się całkiem nieźle. Myślę, że warto wprowadzać taką perspektywę we własnych rodzinach. Byłoby cudownie, gdyby zamiast wiecznego burczenia na dzieci, że mają lepiej się przygotować do klasówki, ktoś im powiedział: „Odpuść sobie trochę, najwyżej dostaniesz tróję". Jeśli każdy od czasu do czasu usłyszy coś takiego w swoim domu, będzie to świetna profilaktyka perfekcjonizmu.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 257ab95923

MOJE CIAŁO JEST MOJE

W rozmowie o otyłości nie o samą otyłość chodzi, tylko o sposób mówienia o niej

Małgorzata Majewska

Kilka lat temu siedziałam ze znajomymi w prywatnym mieszkaniu. Koleżanka była w trudnym emocjonalnie stanie, gdyż tydzień wcześniej jej ówczesny mąż oznajmił, że ma inny pomysł na życie niż małżeństwo i się wyprowadza. Wszyscy byliśmy tym zaskoczeni. Gospodyni co rusz donosiła jakieś przekąski. Pojawiły się też słodkie jagodzianki. Koleżanka sięgnęła po ciastko, na co znajomy natychmiast zareagował: „Ej, może ty nie powinnaś? Wiesz, jak tak będziesz jadła i tyła, to trudno ci będzie nowego chłopa znaleźć". Reakcja była natychmiastowa i przybrała formę wulgaryzmu: „Spier…". Kolega poczuł się mocno urażony, bo przecież „chciał dobrze", a „grubej dziewczynie jest trudniej".

Inna znajoma para na każdej imprezie odgrywała ten sam scenariusz. Gdy on nie patrzył, ona jadła. Ale jak przyłapał ją na jedzeniu, natychmiast rozpoczynał tyradę, dlaczego akurat tego nie powinna jeść. I że on to mówi, bo o nią dba i chce, żeby dobrze się czuła we własnym ciele. Spotkałam ją po latach. Wróciłam do tamtego tematu: „Moje ciało należało do X. Mogłam się dobrze w nim czuć tylko wtedy, gdy on mnie pochwalił, zauważył, pogłaskał. Nie miałam ciała. On je posiadał i jak w starożytnym Rzymie, gdy cesarz unosił kciuk, gladiator miał prawo żyć. Gdy kciuk wędrował w dół, dla pokonanego gladiatora był to wyrok śmierci. Tak było w moim związku, to mój partner decydował, jak mam się czuć: szczupła czy gruba, a jeśli gruba, to natychmiast uruchamiał we mnie poczucie winy, że powinnam coś z tym zrobić. Zobacz, w tych komentarzach o ciele wcale nie o ciało mu chodziło". Dopytałam o co więc. „O kontrolę. Dzięki komentowaniu zyskiwał nade mną władzę. A właściwie to ja mu tę władzę w pełni oddałam".

Plus size? My size!

Ashley Graham, ikona ruchu *body positive*, staje przed lustrem ustawionym na scenie podczas konferencji TED, najpopularniejszej platformy wykładów online na świecie. Mówi do swojego odbicia: „Jesteś silna. Jesteś mądra. Jesteś piękna". Opowiada o swojej karierze modelki, wskazując, że świat nazywa ją modelką „plus size". Ona woli mówić „my size". Ta scena jest idealną ilustracją mechanizmu społecznego, który umiejscawia każdego z nas w jakimś punkcie na osi. Ta oś ma dwa skrajne punkty: JA i MY. JA to ta część nas samych, która ma swoje potrzeby, emocje do wyrażenia, szuka więc strategii, by je w świecie zaspokajać. Drugi, równie ważny punkt to nasza potrzeba przynależności do wspólnoty, a więc MY. MY to mechanizm ewolucyjny, który mówi: przetrwasz tylko w grupie. Im wyższy twój status społeczny, tym większe szanse na przetrwanie dla ciebie i twojego potomstwa. Warto zatem się rozeznać, co ów status winduje, a co go obniża.

Z ewolucyjnego punktu widzenia wspólnota ma dwa cele: przetrwanie i rozmnażanie się. I na przestrzeni

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 257ab95923

wieków obserwuje, które cechy sprzyjają przetrwaniu, a które mu zagrażają. Tak wypracowuje się cały skomplikowany system norm, zakazów i nakazów, które mówią: jeśli jesteś NORMALNA, to weźmiemy cię pod swoje skrzydła, a więc twoje szanse na przeżycie wzrosną. Jeśli jednak z jakiegoś powodu nie umiesz się zmieścić w tej normie, to zostaniesz wykluczona. Na poziomie emocjonalnym niektórzy z nas mogą to odbierać jako komunikat „umrzesz". Zresztą w dawnych czasach śmierć rzeczywiście miała fizyczny, a nie symboliczny wymiar. Brak przynależności społecznej oznaczał brak opieki. Pamiętajmy, że założenie, iż każdemu dziecku należy się troskliwa opieka, jest zdobyczą ostatnich stu lat. (…) Kobieta niezamężna nie miała żadnych praw. Każdy musiał zasłużyć na przynależność do kategorii „człowiek" poprzez spełnienie pewnych oczekiwań społecznych dotyczących moralnego prowadzenia się, wyglądu czy zachowania.

Aby było prościej zorientować się, co robić, by przetrwać, wspólnota owe normy utrwaliła w języku. Możemy więc usłyszeć w reakcji na nasze zachowanie: Czy ty nie możesz zachowywać się NORMALNIE? Przy czym owa „normalność" ma różne, często przeciwstawne znaczenia. Norma może być postulowana, czyli odpowiadać na pytanie, jak według społeczności być powinno, i rzeczywista, czyli odnosząca się do tego, jak jest. Dlatego mimo że w społeczeństwie mamy więcej ludzi otyłych niż szczupłych i wysportowanych, „normalna" w znaczeniu promowanym przez media kobieta ma płaski brzuch i jędrne piersi. Chociaż norma rzeczywista zdecydowanie temu zaprzecza. Innymi słowy, gdyby przybysz z obcej planety miał zbudować swoje przekonanie na temat tego, jak wygląda typowa kobieta czy typowy mężczyzna, na podstawie mediów oraz ulicy, to dostałby dwie przeciwstawne informacje: media mówią, że typowy człowiek jest szczupły, a obserwacja zwykłego życia podpowiada, że typowi kobieta czy mężczyzna mają nadwagę. I to czasem sporą. Tyle że z pewnego powodu bardziej ufamy temu, a czasem wręcz traktujemy to jako wyznacznik siebie i swojej tożsamości – co nam sugeruje świat zewnętrzny. I wyraża to w języku.

Mamy więc ustalone i utrwalone, co znaczy być „normalną kobietą/normalnym mężczyzną", czyli kimś, czyje szanse na seksualne zainteresowanie ze strony płci przeciwnej rosną, co obiecuje potomstwo. Nazywamy to „seksownością", a potoczna warstwa języka wypracowała sobie rozmaite określenia: laska, ciacho, dupeczka, przystojniak itp.

Ten mechanizm przejęła i bezlitośnie eksploatuje kultura masowa, podpowiadając nam, która osoba publiczna zasługuje na to, by ją naśladować, co zwiększy nasze szanse na wskoczenie na wyższy poziom w strukturze społecznej. Jeśli więc ktoś uzyska pupę Jennifer Lopez czy sześciopak Ryana Goslinga, to świat mu obiecuje, że jej/jego szanse na przetrwanie wzrosną. Obok niezauważalnie pojawiają się reklamy produktów, które nam tę pupę czy brzuch pomogą doprowadzić do wyidealizowanego stanu. Nikt nam nie powie, że stan idealny nie istnieje. Takie odkrycie odcięłoby bowiem od stałego dochodu duże segmenty rynku oraz branże kosmetyczną, medyczną i fitnessową. Najlepiej więc trzymać każdego członka wspólnoty w niepewności, czy mieści się w kategorii atrakcyjności, czy nie.

Czy ideał istnieje?

Seksowna kobieta ma określone wymiary. Takie, jakie prezentowane są na okładkach czasopism i w teledyskach. Przekaz jest taki: jeśli będziesz wyglądać tak jak te dziewczyny, twoja pozycja w hierarchii społecznej będzie wyższa. Oczywiście to prawo psychologii ewolucyjnej. W praktyce oznacza zaś: im bliżej ci do ideału z okładki, tym bardziej atrakcyjna masz prawo się czuć. Im plasujesz się dalej od tego modelu, tym niżej spadasz w rankingu atrakcyjności. I powinnaś odczuwać wstyd. Wstyd, czyli emocję, która zdaniem Brené Brown wyklucza możliwość zbudowania prawdziwie głębokiej relacji. Gdy czegoś się wstydzimy, to w tle skrywa się przekonanie, że jeśli druga osoba dowie się o mnie tego, czego się wstydzę, to mnie odrzuci. Zatem w naturalnym odruchu człowiek ukrywa przedmiot swojego wstydu. Ale im mniej o tym mówimy, tym większą władzę ma nad nami wstyd. Brené Brown umieszcza wstyd na punkcie osi przeciwległym do empatii i wskazuje na trzy jego wzmacniacze: strach, poczucie winy i brak poczucia łączności z drugą osobą.

Tymczasem w świecie, w którym norma dotycząca wyglądu jest tak wyśrubowana, osoby postrzegające swoje ciało jako niedoskonałe mają zazwyczaj mocno wdrukowane poczucie wstydu. W związku z tym czują presję, by filtrować swoją opowieść i własny wizerunek przez pryzmat tego, czego świat oczekuje. A oczekiwania względem osób z nadwagą są często dokładnie sprecyzowane: „powinnaś/powinieneś wstydzić się tego, ile ważysz". Przybiera to formę rad: „Z takim brzuchem nie powinnaś takich spodni nosić", „Na twoim miejscu przy takich biodrach nie odważyłabym się na tak obcisłą bluzkę". Wybrzmiewa w nich założenie, że gdyby dana osoba miała mniejszy brzuch czy biodra, to te same spodnie czy bluzka byłyby OK. Czyli coś jest nie tak z człowiekiem, a nie z ubraniami.

> Komentowanie naszego wyglądu z założenia jest naruszaniem naszych granic.

Czy światu wolno to robić?

Zawstydzając w ten sposób innych, ludzie podpierają się nauką, która nie ma wątpliwości, że otyłość jest groźną chorobą. Nadwaga, obok depresji, jest wymieniana jako główny czynnik śmiertelności w XXI w. Hasło: cukier groźniejszy niż proch z każdym rokiem zyskuje na aktualności. Medal dla akceptujących

eprasa.pl 257ab95923

ciało niemieszczące się w kanonie pism typu „Vogue" ma też drugą, smutniejszą stronę. Otyłość to słowo klucz XXI w. Yuval Noah Harari w książce pod znamiennym dla naszego tematu tytułem „Homo deus. Krótka historia jutra" wskazuje na skalę problemu: „Po raz pierwszy w dziejach więcej ludzi umiera dlatego, że jedzą za dużo, a nie dlatego, że jedzą za mało. […] W XVIII w. Maria Antonina miała podobno radzić głodnym tłumom, by skoro skończył im się chleb, zaczęli jeść ciastka. Dzisiaj ubodzy stosują tę radę dosłownie. Podczas gdy bogaci mieszkańcy Beverly Hills jedzą sałatę i tofu gotowane na parze z komosą ryżową, w slumsach i gettach ubodzy obżerają się ciastkami Twinkie, cheetosami, hamburgerami i pizzą. W 2014 r. ponad 2,1 mld ludzi miało nadwagę, gdy tymczasem niedożywieniem było dotknięte 850 mln. Przewiduje się, że do 2030 r. nadwagę będzie miała ponad połowa ludzkości. W 2010 r. głód i niedożywienie łącznie spowodowały śmierć mniej więcej miliona ludzi, podczas gdy otyłość zabiła 3 mln".

Ponadto uprawianie sportu uruchamia skojarzenia, słuszne zresztą, z pracowitością i samozaparciem. A stąd już niedaleko do często nieuprawnionego wniosku, że osoby z nadwagą nie ćwiczą. Stereotypowo nie dostrzega się innych poza obżarstwem powodów nadwagi, takich jak choroba, niektóre leki sterydowe czy uwarunkowania genetyczne. Narracja o atrakcyjnym świecie jest jedna i to kultura masowa ją prowadzi. Wstydzić powinniśmy się tego, co nas sytuuje niżej w hierarchii, a w świecie jednej narracji jest to wałek na brzuchu czy cellulit na udach.

Wspólnota ciałopozytywna

W 2016 słowem roku zostaje POSTPRAWDA, czyli zgoda na wielość narracji. A wirtualny świat, który powoli zyskuje status świata równorzędnego z rzeczywistym, czasem zaś buduje z nim jedną wspólną przestrzeń, tworzy kolejne wspólnoty. Przedtem wspólnota *body positive* zapewne ograniczała się do koleżanek, które na babskim wyjeździe dawały sobie nawzajem wsparcie. Odkąd powstały portale społecznościowe, w dowolnym momencie dnia i nocy każda osoba znajdzie wspólnotę, która jej powie: „Możesz być taka, jaka jesteś, i dalej masz prawo przynależeć". Co więcej, wspólnoty te wypracowują sobie własny język, narrację i zgodę na zdefiniowaną na nowo NORMĘ.

Hasło: cukier groźniejszy niż proch z każdym rokiem zyskuje na aktualności.

Oczywiście wielość narracji oznacza też miejsce dla tych, które zawstydzają. Na stronie motywujemy24.pl na tapecie widnieje hasło: „Swojego ciała się nie wstydź, tylko swojego lenistwa, bo ze swoim ciałem możesz zrobić wszystko". A jeśli nie robisz, to jesteś leniwy i lecisz w dół w hierarchii społecznej. Ale jest też ogromny wybór grup wspierających osoby, które szukają innych niż siłownia i diety strategii na swoją cielesność: poprzez akceptowanie i przyzwolenie na ciało niespełniające nierealistycznych oczekiwań.

Co ważne, zachowania punktujące nadmiarowe kilogramy zyskały już nazwę fat shamingu, czyli zawstydzania kogoś ze względu na masę ciała. A skoro mamy nazwę, to powoli zyskujemy też narzędzia do nazywania tego typu komentarzy przemocą.

W moim przekonaniu w rozmowie o otyłości nie o samą otyłość chodzi. Tylko o sposób mówienia o niej. Język jest wytworem kultury, wspólnoty i ma do spełnienia kilka zadań. Jednym z nich jest udzielanie zgody na zaistnienie. Jeśli coś ma nazwę i ta nazwa budzi pozytywne skojarzenia, to osoba, która czuje, że to określenie jakoś ją wyraża, buduje sobie na tej podstawie pewną tożsamość. Kiedy Ashley Graham podaje w jednym z wywiadów, że waży 91 kg, i nazywa siebie *barrier-breaking body activist,* to tak jakby innym kobietom mówiła: „Macie prawo tyle ważyć i nazywać się aktywistkami, które przełamują bariery dotyczące ciała. Zarówno w myśleniu, jak i działaniu".

Kiedy więc ruch *body positive* z każdym dniem rośnie w siłę, przybywa też w języku określeń, które nazywają nadwagę i nie wartościują jej negatywnie, tak by osoba, która się z tym utożsamia, nie czuła się wykluczona, bo jest „tłuściochem, spaślakiem, grubą świnią". Pozwala na narrację, która buduje przestrzeń na własne potrzeby seksualne, wyrażanie kobiecości czy męskości, ważność we wspólnocie „normalnych". Im więcej w przestrzeni publicznej pojawia się osób, które mówią o swojej cielesności w sposób pozytywny, tym więcej sygnałów zwrotnych dostają osoby, które do tej pory czuły się wykluczane.

Jak obronić się przed fat shamingiem

Nasze ciało i wszystkie elementy związane z naszą cielesnością należą do sfery prywatnej. Zatem komentowanie naszego wyglądu z założenia jest naruszaniem naszych granic. Nigdy nie wchodź w polemikę na temat swojego ciała, jeśli nie masz na to ochoty. Powiedz: „Moje ciało jest elementem mojej prywatności i komentowanie go narusza moje granice. Nie życzę sobie tego". Tłumaczenie się i dyskutowanie z zarzutami dotyczącymi naszego ciała jest równoznaczne z wystawieniem go na widok publiczny. To trochę tak, jakby wprowadzić na scenę zdarzeń nasze ciało i pozwolić je komentować publiczności. Oczywiście można to zrobić, ale warto pamiętać, że raz upubliczniony element naszej prywatności staje się publiczny i trudno się potem chronić przed przemocą psychiczną.

Fragmenty książki Małgorzaty Majewskiej *Mówię, więc jestem. Jak wyrażać swoje potrzeby i uczucia, chronić własne granice oraz skutecznie komunikować się z innymi,* Rebis, Poznań 2023

eprasa.pl 257ab95923

KANADA – kraj wody

Kanadyjskie jeziora biją wiele rekordów

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Toronto

Najcenniejsza substancja na świecie, bez niej nie możemy istnieć. Moglibyśmy nie jeść nawet kilka tygodni, ale bez wody nie przetrwalibyśmy dłużej niż kilka dni. Wody na naszej planecie jest dużo – 71% powierzchni Ziemi, lecz ponad 96% to oceany. Czyli woda słona, nienadająca się do picia. Tej „dobrej" jest zaledwie 2,5%. Najwięcej – aż 61% – to lodowce i śniegi Antarktydy. A reszta? Niestety, rozkład wody na naszej planecie jest nierówny i niesprawiedliwy.

Są miejsca, gdzie wody jest niezwykle mało i nigdy jej dosyć. Jeśli dotyczy to krajów bogatych, np. Kuwejtu czy Kataru, dzięki ogromnym nakładom jest to nieodczuwalne. Ale w krajach afrykańskich brak wody to stały problem, a mieszkańcy często są zmuszeni do picia wody zanieczyszczonej albo do noszenia jej na ogromne odległości.

Jeziora nie do policzenia

Kanada jednak to kraj wody. Liczby powalają. Ponad DWA MILIONY jezior, przy czym 567 ma powierzchnię ponad 100 km kw. Dokładną liczbę trudno ustalić, bo ponad połowa obszaru Kanady to tereny niezamieszkane. Jeziora pokrywają 4% naszej planety, a w Kanadzie zajmują 8% powierzchni kraju (drugiego, po Rosji, pod względem wielkości). Porównajmy: w Polsce jezior jest nieco ponad 7 tys. i zajmują mniej niż 1% jej powierzchni.

Kanadyjskie jeziora biją wiele rekordów. Zacznijmy od wielkości. Za największe jezioro świata uważane jest zwykle Morze Kaspijskie o powierzchni prawie identycznej jak Bałtyk – 371 tys. km kw. Technicznie to jezioro, ponieważ nie jest połączone z żadnym oceanem, ale to zbiornik wody słonej. Aby wyobrazić sobie wielkość tych gigantycznych światowych jezior, warto pamiętać, że Śniardwy, nazywane mazurskim morzem, mają powierzchnię 113 km kw., a wszystkie polskie jeziora – 2,8 tys. km kw.

1. **Jezioro Górne** – 82 410 km kw. (Kanada i USA)
2. **Jezioro Wiktorii** – 68 800 km kw. (Kenia, Uganda, Tanzania)
3. **Huron** – 59 596 km kw. (Kanada i USA)
4. **Michigan** – 57 850 km kw. (USA)
5. **Tanganika** – 32 893 km kw. (Zambia, Burundi, Demokratyczna Republika Konga, Tanzania)
6. **Bajkał** – 31 500 km kw. (Rosja)
7. **Wielkie Jezioro Niedźwiedzie** – 31 080 km kw. (Kanada)
8. **Niasa** – 30 800 km kw. (Malawi, Tanzania, Mozambik)
9. **Wielkie Jezioro Niewolnicze** – 28 919 km kw. (Kanada)
10. **Erie** – 25 700 km kw. (Kanada i USA)
11. **Winnipeg** – 24 400 km kw. (Kanada)

eprasa.pl 257ab95923

Aż sześć z tych gigantów to jeziora przynajmniej w części kanadyjskie. Siódme wprawdzie jest amerykańskie, ale wchodzi w skład systemu słynnych pięciu Wielkich Jezior Ameryki Północnej.

Wielkie Jeziora

Niewątpliwym fenomenem wśród światowych jezior jest owa piątka. Cztery: Ontario, Erie, Górne i Huron, Kanada dzieli z USA – granica przebiega przez te ogromne akweny, a piąte, jezioro Michigan, należy wyłącznie do Stanów Zjednoczonych. Jeziora te mają łącznie 244 tys. km kw. (więcej niż amerykańskie stany Nowy Jork, New Jersey, Connecticut, Rhode Island, Massachusetts, Vermont i New Hampshire razem!) – to aż 84% powierzchni słodkiej wody na tym kontynencie. Zawierają 2% wszystkich zapasów słodkiej wody na Ziemi.

Turysta przyjeżdżający do Toronto, stając nad brzegiem Ontario, nie może uwierzyć, że to naprawdę jezioro – takie jest ogromne. Ze szczytu torontońskiej CN Tower, do niedawna najwyższej budowli wolnostojącej na świecie (553 m), czasami widać drugi, amerykański brzeg. A przecież Ontario (numer 14. na świecie) jest najmniejsze z tej piątki – cztery razy mniejsze od Jeziora Górnego (Lake Superior), które pomieściłoby wodę z pozostałych czterech. Ono samo zawiera 10% światowych zasobów słodkiej wody powierzchniowej; ma powierzchnię równą ponad 729 jeziorom Śniardwy! To prawdziwy gigant.

Nie jest natomiast najgłębszym jeziorem, bo Wielkie Jezioro Niewolnicze (Great Slave Lake, numer 9. na liście) ma aż 614 m głębokości, czyli druga najwyższa wolnostojąca budowla świata, Tokyo Skytree, wystawałaby ponad jego taflę na zaledwie 60 m! Jezioro to jest bardzo młodą formacją jak na ziemskie standardy, ma zaledwie 10 tys. lat.

Wodospady Niagara – cud świata – są miejscem, gdzie rzeka Niagara, łącząca dwa z tych jezior, Erie i Ontario, musi pokonać spadek wysokości ponad 50 m.

To te pięć monstrualnych jezior zapewnia czystą wodę pitną ok. 40 mln ludzi w ośmiu stanach amerykańskich i w kanadyjskiej prowincji Ontario. 40 mln to tyle, ile w ogóle ludności ma Kanada. Wielkie Jeziora bezpośrednio generują ponad 1,5 mln miejsc pracy. Są także środowiskiem naturalnym dla ponad 3,5 tys. gatunków roślin i zwierząt – niektóre nie występują nigdzie indziej na Ziemi.

Wielkie Jeziora i wypływająca z jednego z nich, Ontario, Rzeka Świętego Wawrzyńca stanowią poza tym fenomenalny system żeglugi. Kiedy w 1959 r. otwarto St. Lawrence Seaway – Drogę Wodną Świętego Wawrzyńca (o długości 3762 km), śródlądowy szlak wodny z Atlantyku do Wielkich Jezior poprzez Rzekę Świętego Wawrzyńca, pozwoliło to na wpływanie wielkich, pełnomorskich okrętów z oceanu do interioru.

Powstanie tej sieci wymagało dekad wysiłków i było polem do popisu dla geniuszy inżynierii (m.in. Polaka sir Casimira Gzowskiego), ponieważ wymagało budowy śluz i kanałów na Rzece Świętego Wawrzyńca i pomiędzy poszczególnymi Wielkimi Jeziorami. Pozwoliło to omijać odcinki rzeki niedostępne dla żeglugi (np. Welland Canal umożliwił ominięcie wodospadu Niagara). Wiele odcinków wymagało pogłębienia.

Na tych pięciu megajeziorach znajduje się 35 tys. wysp, wiele niezamieszkanych. Jedną z nich jest Manitoulin Island, największa na świecie wyspa położona na jeziorze słodkowodnym. Na niej samej jest 108 jezior!

W 1988 r. Komisja Wielkich Jezior stworzyła malowniczą trasę Circle Tour, pozwalającą objechać wszystkie pięć jezior dookoła. Przebiega ona przez osiem stanów i kanadyjską prowincję Ontario. Jej długość to 10 460 km. Łącznie linia brzegowa tych pięciu jezior ma długość prawie 44% obwodu Ziemi. Z ciekawostek – wzdłuż brzegów jeziora Michigan rozciągają się największe na świecie wydmy słodkowodne!

Ale widok!

Jeziora kanadyjskie wyglądają zupełnie inaczej niż polskie, mazurskie. Nie mają sitowia, zamulonego dna; są krystalicznie czyste, a woda w nich ma szmaragdowy kolor, jak w Adriatyku. To dlatego, że dno wielu jest skaliste. Często skaliste są także brzegi – widoki bywają więc niezwykłe. Na zachodzie Kanady jeziora otoczone są Górami Skalistymi, co dodaje im majestatu. Turkusowe Garibaldi Lake na wysokości prawie 1500 m czy znajdujące się w najstarszym parku narodowym w Kanadzie, Banff, szmaragdowe Lake Louise i słynne Moraine Lake na wysokości 1880 m są zapierającymi dech w piersiach pomnikami przyrody.

Kanadyjskie jeziora nie mają sitowia, mulistego dna; są krystalicznie czyste, a woda w nich ma szmaragdowy kolor.

Są też prawdziwe ciekawostki, jak Little Manitou Lake w prowincji Saskatchewan, zwane kanadyjskim Morzem Martwym. Przyjezdni uwielbiają unosić się na jego powierzchni, bo zawartość soli w wodzie jest pięciokrotnie wyższa niż w oceanie. Inne niezwykłe jezioro to Spotted Lake na terenach pustynnych w Kolumbii Brytyjskiej, uważane przez rdzenną ludność za miejsce święte. Zawiera duże ilości minerałów oraz śladowe ilości srebra i tytanu. Latem, gdy woda wyparowuje, pojawiają się na nim wielokolorowe koła.

Kanada jest krajem jezior, ale i rzek, a także trzech oceanów – Atlantyku na wschodzie, Pacyfiku na zachodzie i Oceanu Arktycznego na północy. Woda daje życie, jest ważnym źródłem energii (dlatego energię elektryczną w kilku prowincjach, np. w Ontario, nazywamy hydro), wspaniałym elementem rekreacji i sportów, pomaga w rozwoju kraju poprzez sieć żeglugi. Szkoda, że nie możemy się podzielić tymi bogatymi zasobami tak potrzebnej innym wody… ■

FOT. PIXABAY

eprasa.pl 257ab95923

JOLKA

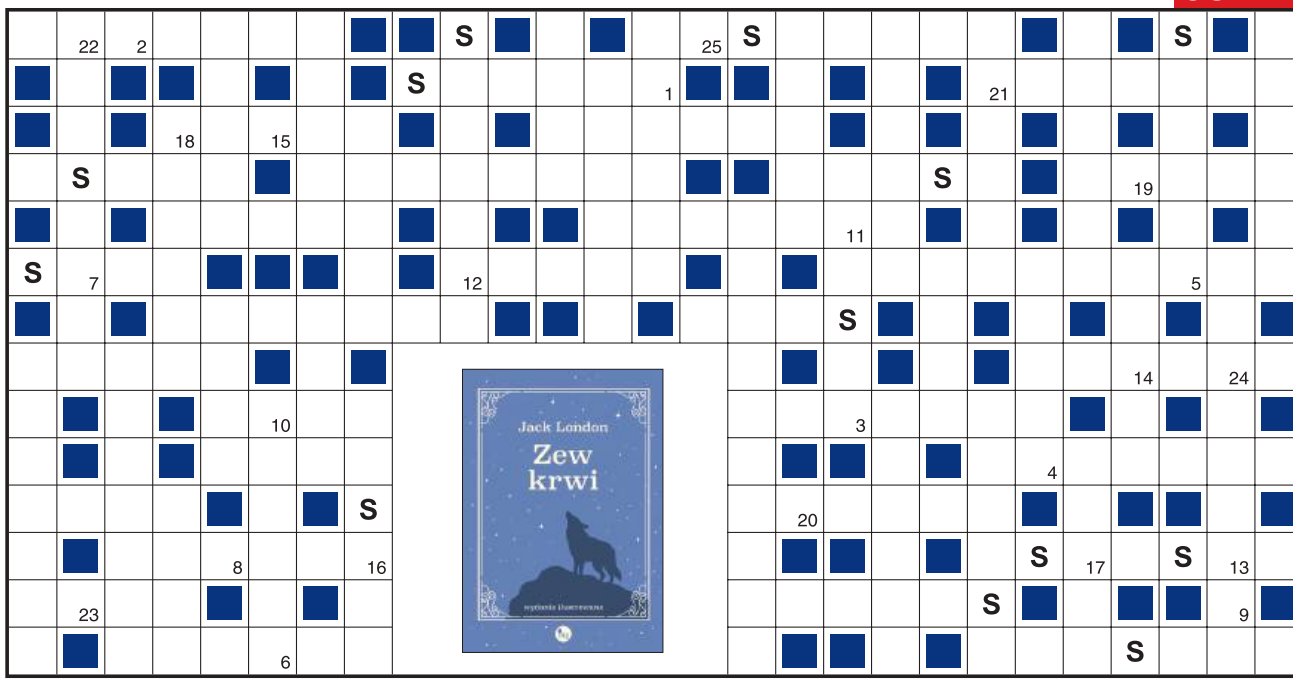

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- wyje przy próbie włamania
- żelazne – uwalnia od podejrzeń
- jest nią wehikuł Pana Samochodzika
- wedle kliszy w meloniku i z parasolem
- o objawach neurologicznych przed migreną
- opalacz jak atol
- wyklepuje w warsztacie
- walka na pięści
- wrota wjazdowe
- wiązanka lub zestaw jarzyn
- królestwo na Półwyspie Jutlandzkim
- krąg ludzi wokół panującego
- Javier Milei przed zaprzysiężeniem
- spóźniony naśladowca
- piłkarz Wilimowski lub Bejda z CBA
- autor szkiców literackich
- wprowadza nowe, lepsze rozwiązania
- imię matki Anny German
- wiara w Allaha
- potrzeba na niego niewiele pierza
- wymiar, wielkość (nie tylko lufy)
- luźny kawałek papieru
- bezwartościowy produkt twórczych działań
- mama źrebaka
- śmieszy cyrkową publikę
- historyjka obrazkowa z dymkami
- zatykanie butelek lub ulic
- …lekarski na walerianę
- o osobie bez fachowej wiedzy
- zawodzenie skrzypiec, wiatru
- i wierzba, i witka wierzbowa
- mówi się, gdy zostaje jedna karta
- Wereszczakówna lub Rodowicz
- do rozdrabniania, mieszania, ubijania
- płynny lek z kilku składników
- „…z chmurek prześwitywał jesienny”
- na ambonę wchodzi z bronią
- kwota doliczana do ceny
- pod nim skóra właściwa
- kamień wprawiony w pierścionek
- kamień wygładzony przez wodę
- potocznie o flircie, zalotach
- palmowe łodygi (spolszczone) na meble
- „…mistrza Polikarpa ze Śmiercią”
- nie pomyl go z mleczajem wełnianką
- grupa podwyższonego – bardziej narażona
- krążek jako cel dla strzelca
- narciarski lub konik szachowy
- pańska albo pomarańczowa
- …bajońskie – olbrzymie pieniądze
- ciemnowłosy mężczyzna
- uczenie zwierzęcia
- intensywnie karmiona świnia
- tęgi… – o bardzo mądrym
- protestacyjny lub wyborczy
- rozróba na stadionie
- atrofia, uwiąd
- drobnoustrój wywołujący chorobę
- „okrutny… nie zwycięży nas nigdy, tralala!”
- kiełkuje w glebie
- przyprawa angielska z nazwy
- potocznie o rozgałęziaczu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1146”. Do rozlosowania książki „Zew krwi” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 grudnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1143” z nr. 46: *Gdy głowa głupia, to i nogom źle.*
Nagrody otrzymują: Krzysztof Ostrowski z Mieleszyna, Ignacy Popis z Poznania, Aleksandra Szmidt ze Słubic.

eprasa.pl 257ab95923

Po co ci urzędnicy?

Od Brukseli nie uciekniemy. Blokada, która ma miejsce na polsko-ukraińskiej granicy, ma swoje powody.

W 2022 r. została podpisana umowa między Ukrainą a Unią Europejską. Jednym z jej postanowień była rezygnacja z ówczesnego systemu wydawania zezwoleń dla ukraińskich przewoźników na pracę w Unii. Innymi słowy, Unia zgodziła się, by ukraińskie firmy mogły jeździć po Europie do woli. Uderzało to w interesy polskiej branży transportowej, bardzo mocnej w Unii, ale polski rząd to zlekceważył. Ba, premier Morawiecki poganiał wszystkich i łajał, by z Ukrainą szybko podpisywać umowy, szybko wiązać ją z Unią. Był w awangardzie.

O klimacie tamtego czasu mówił w Sejmie ówczesny minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, który wyjaśniał, że o podpisaniu samej umowy w 2022 r. dowiedział się po fakcie.

Innymi słowy, premier parł do umowy, nie za bardzo zdając sobie sprawę, jakie mogą być jej skutki.

Ale w roku 2023 przyszedł czas, by zastanowić się, czy ją przedłużyć, czy nie. Kłopot w tym, że przy owym zastanawianiu się Polski nie było.

Mamy ambasadę przy Unii Europejskiej, pracują w niej dyplomaci, których obowiązkiem jest reprezentować Polskę w pracach gremiów unijnych. Mamy w Polsce ministerstwa, które powinny w takich sprawach utrzymywać kontakt z naszą placówką. Jak widać po efektach – nikt niczym się nie przejmował. Ministerstwo Infrastruktury, mimo że o sprawie przewoźników już było głośno, rzecz zlekceważyło.

1 marca podczas posiedzenia ambasadorów wszystkich krajów Unii Europejskiej (w tym Polski) zaakceptowano projekt przedłużenia umowy Ukraina-Unia. Ambasador Andrzej Sadoś siedział cicho. Umowę przedłużono kilka dni później, na posiedzeniu Rady Unii Europejskiej. Wysłani na nią wiceministrowie, sprawiedliwości – Sebastian Kaleta i spraw wewnętrznych – Bartosz Grodecki, też nie odezwali się ani słowem. Okazuje się więc, że państwo polskie wydaje miliony na urzędników, ich podróże, ich obecność w Brukseli, a oni ani be, ani me.

W ciemno można zakładać, że na pytanie naszych dyplomatów z Brukseli jeszcze ze stycznia-lutego br., jak mają się zachować w sprawie przedłużenia umowy Ukraina-Unia, z polskich ministerstw nie przyszła żadna odpowiedź. Ministerstwo Infrastruktury nie miało do tego głowy, a MSW – wiedzy. Natomiast kancelaria premiera i MSZ walczyły z Unią i to je interesowało, a nie negocjacje i uzgadnianie.

Nawiasem mówiąc, Bartosz Grodecki powinien mieć pojęcie w tej sprawie, bo jakieś informacje do MSWiA musiały spływać. A on sam wcześniej pracował w MSZ, był m.in. dyrektorem departamentu konsularnego. W MSZ, dodajmy, czas jego dyrektorowania nie jest dobrze wspominany – to on bowiem jeździł po placówkach i mocno lobbował, żeby podpisywać umowy z firmami zewnętrznymi pośredniczącymi w procesie wizowym. Ze słynną VFS na czele.

Są zatem duże szanse, że szersza publiczność będzie mogła go sobie obejrzeć podczas zeznań w sejmowej komisji ds. afery wizowej.

Smaczkiem w całej historii jest to, że pisowscy urzędnicy pytani, dlaczego sprawę przewoźników zawalili, odpowiadają, że oni nic nie wiedzieli, że to wina Unii. Do katalogu pisowskich oskarżeń wobec Brukseli dopiszmy więc jeszcze jedno: Unia nie potrafi się domyślić, jakie są polskie interesy, kiedy polscy urzędnicy siedzą cicho.

Attaché

Zmarł Henry Kissinger, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego i sekretarz stanu za prezydentury Richarda Nixona i Geralda Forda. Miał 100 lat. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, autor normalizacji stosunków między USA i Chinami, winiony za bombardowania w Kambodży i Laosie podczas wojny w Wietnamie. Nieformalnie doradzał kolejnym amerykańskim prezydentom. Nz. z Mao Tse-tungiem w Pekinie, 12 listopada 1973 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 257ab95923

PENETRACJE

odra

PIOTR GAJDZIŃSKI,
PUBLICYSTA

Niebawem, gdy opadnie bitewny kurz, wielu nawet spośród najbardziej zagorzałych stronników Doradcy zrozumie, że w istocie nie dorósł on do roli przywódcy. Był jednym z najgorszych premierów nie tylko po przełomie 1989 r., ale także po II wojnie światowej. Że w istocie był jedynie propagandzistą obsadzonym przez Jarosława Kaczyńskiego w roli prezesa Rady Ministrów, czego dowodem jest nie tylko słynne zdjęcie z sali posiedzeń Rady Ministrów, na którym Doradca siedzi u szczytu stołu obok „naczelnika". Nie sposób zbudować swoją legendę człowiekowi, który dawał się poniewierać nie tylko własnym ministrom, ale nawet ich zagończykom w rodzaju Kowalskiego, Jakiego, Ociepy…

Press

RYSZARD PARKA,
PUBLICYSTA

Najczęstszą ogólną przyczyną dziennikarskiego stresu jest wymaganie gotowości do szybkiego reagowania przez większość czasu pracy – stres z tego powodu odczuwało ponad 63% badanych dziennikarzy. Nieco ponad sześciu na dziesięciu respodentów było pod wpływem stresu ze względu na konieczność długotrwałego koncentrowania uwagi oraz wymaganie dyspozycyjności. Połowę badanych stresowały też ograniczone możliwości awansu oraz to, że wykonanie i jakość ich pracy były uzależnione od tego, jak wykonali ją poprzednicy. (…) Połowa badanych dziennikarzy czuła się zestresowana z powodu możliwości zetknięcia się w pracy z ekstremalnymi i nieprzewidywalnymi reakcjami ludzkimi.

na szczycie

TOMASZ CYLKA,
REDAKTOR PROWADZĄCY

Niektóre wejścia czołowych himalaistów z całego świata kwestionuje Eberhard Jurgalski, kartograf i kronikarz gór. W przypadku Messnera chodzi o wejście bez tlenu na Annapurnę w 1985 r. Na nic jednak Polaków nadzieje, bo drugi na liście zdobywców Korony Himalajów i Karakorum Jerzy Kukuczka – według Jurgalskiego – też nie jest bez grzechu. Niemiecki badacz kwestionuje zdobycie przez Polaka Manaslu. Kolejni wspinacze – z piątym człowiekiem na liście, Krzysztofem Wielickim – też mają mieć nieczyste sumienie. Jurgalski podważa też wyczyn 20. zdobywcy Korony, Piotra Pustelnika. Oczywiście Księga rekordów Guinnessa to dla świata górskiego zabawny komiks, a nie żadna Biblia. Sami bohaterowie podważają ustalenia Jurgalskiego, ale ten broni się swoją metodologią.

Twój STYL

KINGA PREIS,
AKTORKA

Uwielbiam kobiety reżyserki. Fascynuje mnie, że dają aktorom możliwość emocjonalnego podejścia do historii, opowieści. Mężczyźni często traktują scenariusz literalnie, bo… czym się tu emocjonować? Reżyserki pozwalają frunąć w nieznane. Facet często nie wie, o co chodzi, kiedy aktorka chciałaby „pohisteryzować". A przecież z tego może się urodzić coś fajnego. Kinga Dębska pozwala nie być *correct*. Bo dużo więcej może się zdarzyć, kiedy się odkryjemy.

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA (2) SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 257ab95923

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

BIDAEMTOMRAJĘ

STUKTCRKAOLNOCI

KADYKOKOSAWAŚAD

ROZWIĄZANIA: BIADA TEMU KTO MA RACJĘ, STUKA TO CÓRKA WOLNOŚCI, KAŻDY KROK ZOSTAWIA ŚLAD

Aby język giętki…

JAN PESZEK O ANDRZEJU DUDZIE

To jest dno, w które już nic nie puka, dalej nie można się stoczyć.

STANISŁAW TYM DO RYSZARDA TERLECKIEGO

Imprezkę i ubaw po pachy mieliście przez ostatnie osiem lat. Teraz zostały wam tylko niszczarki i pan prezydent.

ADAM ZIELIŃSKI „ŁONA" O OCZEKIWANIACH WOBEC WŁADZY

Mozolna i niewdzięczna robota, która nigdy nie ma końca.

JAN PIŃSKI O HAŚLE „POLSKA W RUINIE"

Okazuje się, że to słynne hasło z kampanii PiS w 2015 r. nie było diagnozą, ale planem, który udało się zrealizować.

KRYSTYNA JANDA O WZRUSZAJĄCEJ KSIĄŻCE KUCHARSKIEJ

W mojej rodzinie jest bezcenna książka kucharska dwóch ciotek mojego męża, którą pisały podczas wojny, w obozie, w Auschwitz. Z pamięci i z głodu. Pisały ją, żeby nie oszaleć.

MAGDALENA POPŁAWSKA O NATURZE CZŁOWIEKA

Fascynuje mnie skomplikowanie ludzkiej natury. To, że potrafimy być okrutni i bezwzględni, a w innych sytuacjach wrażliwi i kochający.

EWA BŁASZCZYK O WYBUDZENIACH PACJENTÓW

Ponad setka dzieci i ok. 40 osób dorosłych w Budziku w Olsztynie.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 257ab95923

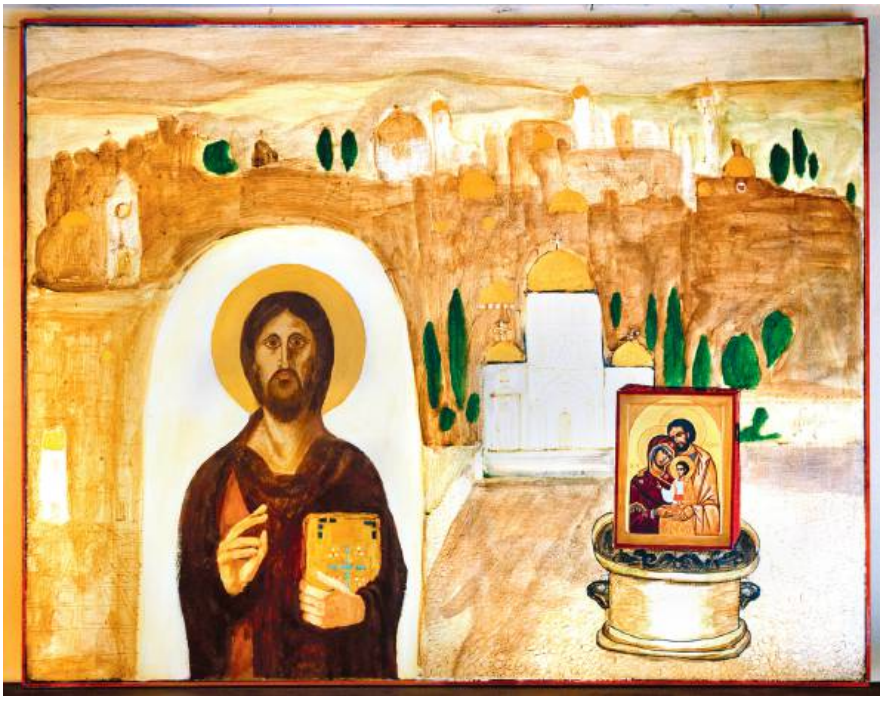

Emeryt z wielkiej płyty

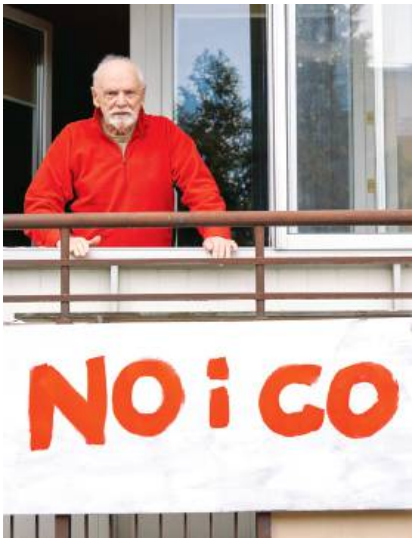

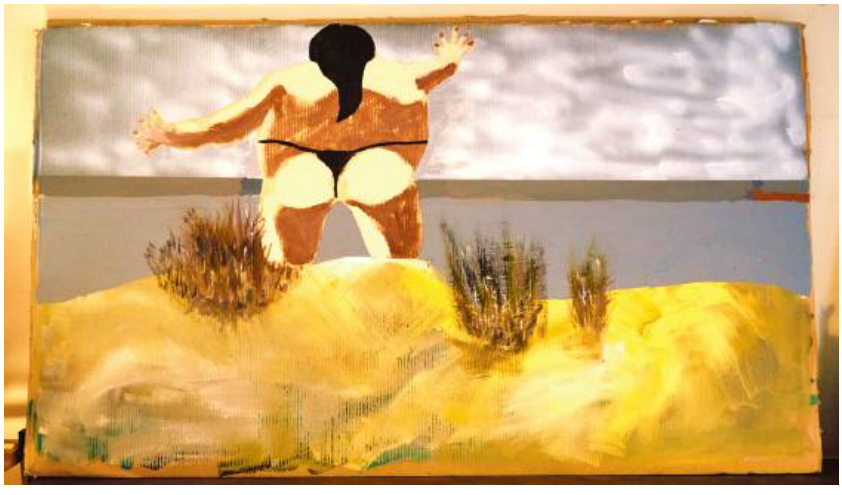

Krzysztof J. Nowakowski, 87-letni emeryt, gorycz doznanej krzywdy łagodzi, stając przed sztalugami. Jego obrazy poza ścianami mieszkania w bloku z wielkiej płyty na warszawskim Ursynowie nigdy nie były prezentowane szerszej publiczności.

Warszawa, Ursynów, ul. Koncertowa

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 257ab95923

TEATR CAPITOL

RETRO sylwester 2023/2024

z Hirkiem Wroną!

KOMEDIA ODLOTOWA, CZYLI LUMBAGO

Duża Scena - g.17:30 i 21:00

Prezent urodzinowy

AUTOR Robin HAWDON

Scena Mniejsza - g.18:00 i 21:30

NASTĘPNEGO DNIA RANO

autor Peter Quilter

przekład Elżbieta Woźniak

reżyseria Ewelina Pietrowiak

Scena Amfiteatr - g.21:30

Po wieczornych spektaklach retro impreza z Hirkiem Wroną do samego rana!

KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 • www.teatrcapitol.pl/sylwester

Patroni Medialni: RMF MAXX, onet, Rzeczpospolita, Tele Tydzień, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd

Partnerzy Teatru: kicket, Obag, mokosh cosmetics, Aktywna Warszawa, Strefa Music, mzo, Chesscake Corner

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 257ab95923

NAGRODA ZA NAJLEPSZĄ ROLĘ KOBIECĄ
NA SUNDANCE FILM FESTIVAL 2023

NAJLEPSZA ROLA KOBIECA
sundance
film festival
2023

KIEDY STOPI SIĘ LÓD

REŻYSERIA
VEERLE
BAETENS

AURORA

Kreatywna Europa
MEDIA

w kinach
od 1 grudnia

Jesteś gotowa
stawić czoła
demonom
przeszłości?

eprasa.pl 257ab95923